

Sandemo Margit

Mężczyzna z Doliny Mgieł

Saga o Królestwie Światła 04

Z norweskiego przełożyła

IWONA ZIMNICKA

POL-NORDICA

Otwock 1997

Miranda, życzliwa ludziom dusza, zawsze troszczy się o innych. Tym razem pragnie zanieść światło nieszczęsnym mieszkańcom Królestwa Ciemności, chociaż wie, że żyją tam złe, niebezpieczne istoty.

Po przejściu przez terytorium potworów, rozciągające się w pobliżu muru, Miranda spotyka dwóch Waregów, Harama i Gondagila. Nie przypuszcza, że na zawsze rozdzieli przyjaciół...

RODZINA CZARNOKSIĘŻNIKA

LUDZIE LODU

INNI

Heinrich Reuss von Gera, zły rycerz, który przeszedł na stronę dobra.

Ponadto w Królestwie Światła mieszkają ludzie z rozmaitych epok, ponieważ dla wszystkich czas zatrzymuje się bądź cofa do wieku trzydziestu, trzydziestu pięciu lat i umierają tylko ci, którzy tego pragną. Inni, którzy zmarli nie zaznawszy w pełni smaku życia, otrzymują tu możliwość ponownej egzystencji. Są tu także Obcy wraz ze Strażnikami, Lemurowie, Madragowie, duchy Móriego, duchy przodków Ludzi Lodu, które zdecydowały się pójść za Markiem, elfy wraz z innymi duszkami przyrody, istoty natury zamieszkujące Starą Twierdzę oraz wiele różnych zwierząt.

Poza tym w południowej części Królestwa Światła żyje pewna grupa, której bohaterowie jeszcze nie spotkali i nie wiedzą nawet o jej istnieniu.

Są też nieznanne plemiona z Królestwa Ciemności oraz to, co kryje się w Górach Umarłych, źródło pełnego skargi zawodzenia. Nikt nie wie, co to jest.

STRESZCZENIE

Do Królestwa Światła dotarli już wszyscy ci, których historię kolejno postaramy się przedstawić.

Głównymi bohaterami opowieści będą reprezentanci młodszego pokolenia. Pojawić się mogą wprawdzie nowe, dotychczas nie znane postaci, lecz trzon niepoprawnej grupy przyjaciół stanowią następujące osoby:

Jori, chłopak o brązowych, kręconych włosach, który odziedziczył po ojcu łagodne spojrzenie, a po matce katastrofalny brak odpowiedzialności. Wzrostem i urodą nie dorównuje przyjaciołom, lecz te braki kompensuje szaleństwem i śmiałością.

Jaskari, grupowy siłacz, długowłosa blondyn o bardzo niebieskich oczach i mięśniach, które grożą rozerwaniem koszuli i spodni. Kocha zwierzęta.

Armas, w połowie Obcy, wysoki, inteligentny, o jedwabistych włosach i przenikliwym spojrzeniu. Obdarzony nadzwyczajnymi zdolnościami i wychowany znacznie surowiej niż pozostali.

Elena, o beznadziejnej, jak sama twierdzi, figurze. Spokojna i sympatyczna, lecz wewnętrznie niepewna, za wszelką cenę pragnie być taka jak wszyscy. Ma długą grzywę drobno wijących się loczków.

Berengaria, o cztery lata młodsza od pozostałych. Romantyczka o smukłych członkach, długich, ciemnych, wijących się włosach i błyszczących, ciemnych oczach. Jej charakter to wachlarz wszelkich ludzkich cnót i słabości. Bystra, wesoła, skłonna do uśmiechu, ma swoje humory. Rodzice bardzo się o nią niepokoją.

Oko Nocy, młody Indianin o długich, gładkich, granatowoczarnych włosach, szlachetnym profilem i oczach ciemnych jak noc. O rok starszy od czworga opisanych na początku.

Tsi-Tsungga, zwany Tsi, istota natury ze Starej Twierdzy. Niezwykle przystojny młodzieniec o szerokich ramionach, cętkowanym zielonobrunatnym ciele, szybki i zwinny, wprost tchnie zmysłowością.

Siska, mała księżniczka, zbiegła z Królestwa Ciemności. Z wyglądu podobna do Berengarii. Ma wielkie, skośne, lodowato szare oczy, pełne usta i bujne włosy, czarne, gładkie, lśniące niczym jedwab. Dystansuje się od młodego Tsi i jego pupila Czika, olbrzymiej wiewiórki

Indra, gnuśna i powolna, obdarzona wielkim poczuciem humoru, z przesadą podkreśla swoje wygodnictwo. Ma wspaniałą cerę i elegancko wygięte brwi. W tym samym wieku co czworo pierwszych.

Miranda, jej o dwa lata młodsza siostra. Rudowłosa i piegowata. Wzięła na swe barki odpowiedzialność za cały świat, postanowiła go ulepszyć. Zagorzała obrończyni środowiska, o nieco chłopięcych ruchach, wciąż nie jest zakochana.

Alice, zwana Sassą, jedna z najmłodszych, przybyła do Królestwa Światła wraz dziadkami. Jako dziecko uległa strasznym poparzeniom. Marco usunął jej wszystkie blizny, lecz dziewczynka wciąż pozostaje nieśmiała, nie chce pokazywać się ludziom ani z nimi rozmawiać. Ma kota o imieniu Hubert Ambrozja.

Dolgo, noszący niegdyś imię Dolg. Ponieważ dwieście pięćdziesiąt lat spędził w królestwie elfów, wciąż ma dwadzieścia trzy lata, posiada jednak niezwykłą mądrość i doświadczenie. Nie jest stworzony do miłości fizycznej. Jego najlepszym przyjacielem jest pies Nero.

Marco, wiecznie młody, choć liczący sobie już ponad sto lat. Niezwykle potężny książę Czarnych Sal. On także nie może poznać miłości.

Ani on, ani Dolgo nie należą do grupy młodych przyjaciół, są jednak dla nich ogromnie ważni. Marco, podobnie jak Indra, Miranda i Sassa, pochodzi z Ludzi Lodu.

1

- Dnieje, Gondagilu.

Haram, mężczyzna z krainy Timona, siedział wyprostowany na szczycie skały, rozglądając się czujnie po Dolinie Cieni. W dole nie drgnęło nawet źdźbło trawy.

- Dnieje? - odparł jego towarzysz z goryczą w głębokim, chrapliwie twardym głosie. - To słowo jest przeżytkiem z czasów, kiedy nasi przodkowie żyli na powierzchni Ziemi. Tutaj nie ma dnia.

Miękkim ruchem drapieznika podniósł się ze swego posłania za skalnym grzebieniem i przyłączył do przyjaciela. Obaj byli wysocy, jasnowłosi, pięknie zbudowani, ale w oczach mieli wilczą dzikość, a surowe twarze naznaczyła niepewność egzystencji, która przypadła im w udziale.

Mała Siska widziała ich niegdyś ze swej kryjówki w koronie drzewa podczas ucieczki przed współplemieńcami, którzy chcieli złożyć ją w ofierze.

- Dostrzegam oznaki, że pora snu w Królestwie Światła minęła - stwierdził Haram, młodszy z nich dwóch. Strażnicy wypuszczają więcej światła w obrębie murów.

Ich lud tak długo żył w tej krainie, od czasów gdy Timon Wielki i garstka z jego plemienia zabłąkali się tu z powierzchni Ziemi, że poznali już trochę szczegółów o Królestwie Światła. Nie za wiele, domyślali się istnienia towarzyszącego światłu ciepła. Szczęśliwe

istoty, które mogą tam zamieszkać! Zorientowali się też, ku swemu wielkiemu żalowi, że mury znajdują się pod stałą obserwacją istot zwanych Strażnikami.

Gondagil, najdzikszy wojownik plemienia, przeciągnął się. Mięśnie zagrały pod skórą. Obaj wciąż jeszcze byli młodzi, ponieważ jednak mieszkali w Królestwie Ciemności, musieli zestarzeć się i umrzeć w Zwyczajny sposób, chyba żeby udało im się przedostać za mur. Na razie jednak nikomu z krainy Timona się to nie powiodło.

Po pierwsze, mury były zbyt szczelne, a po drugie, oddzielał je od nich wróg z Doliny Cieni: przerażające bestie, które porywały kobiety Timona i pożerały je. Potwory miały jedno jedyne pragnienie związane z małą krainą Timona: zabić całą jej ludność. Pomimo bowiem otaczającego teren lasu ziemia rodziła tu bujniej, obszar był więc bardziej atrakcyjny.

Kraina Timona liczyła niewielu mieszkańców, od bestii natomiast wprost się roiło, naprawdę umiały się mnożyć. Pełne nienawiści, skore do walki, nie potrafiły się śmiać. Kiedy zdołali zadręczyć ofiarę, rozlegało się jedynie ich pełne podniecenia wycie. Zawsze pozostawać czujnym w obawie przed ich atakiem, taki los przypadł ludowi Timona. Tej nocy kolejna pełnienie straży wypadła na Harama i Gondagila.

Żałosne jest mówienie o nocy, gdy wszystkie pory doby wyglądają jednakowo, pomyślał Gondagil, który przerażał plemienne dziewczęta, budząc w nich jednocześnie marzenia o jego oswojeniu. Dotychczas jednak żadnej się to nie udało. Przodkowie opowiadali kiedyś o czarnych jak węgiel nocach na powierzchni Ziemi, o blasku poranka i białym dniu, i o wieczorze, gdy wszystkie serca przytłaczał lęk i melancholia.

Pewne zróżnicowanie w rytmie doby istniało także i tutaj, wyćwiczonym wzrokiem, takim jaki mieli wojownicy leśnego plemienia, dawało się dostrzec zmierzch, a o „poranku” rosa parowała z trawy i mgła bawiła się ponad domami w wiosce i nad łąkami wśród lasów. Gondagil, który rzadko przebywał w osadzie, cały niemal czas spędzając w lesie, lubił obserwować te ledwo zauważalne zmiany.

Zjawisk tych nie wywoływało wschodzące i zachodzące słońce, lecz po prostu ciepło ziemi. Poza tym w Ciemności odbijała się także migotliwa gra światła w jasnej krainie. Pewien zły człowiek, który przed wielu laty wyszedł z Królestwa Światła i padł później ofiarą bestii, zdążył im sporo opowiedzieć o swojej krainie. Ludzie Timona wiedzieli więc, że Strażnicy potrafią sterować światłem Świętego Słońca, tak aby w nocy było bardziej przytłumione. Różnicę ledwie dawało się zauważyć, bo przecież regulowane osłony zbudowano tylko wokół jednej złocistej kuli, tej nad stolicą.

Harama przeszedł dreszcz. Od strony Gór Umarłych dobiegło wycie. Stałe docierało do krainy Timona, położonej w pobliżu rozciągających się na horyzoncie czarnych szczytów. Myśli Gondagila poszybowały do tamtego niezwykłego dnia, gdy wraz z Haramem stali dość wysoko w punkcie obserwacyjnym na granicy kraju i spoglądali w dół w stronę muru.

Coś się tam wydarzyło. Niczego podobnego nie widzieli ani wcześniej, ani później. Znajdowali się zbyt daleko, by dostrzec wszystko, co się działo, spostrzegli jednak, jak bestie gonią niedużą dziewczynkę uciekającą ku murom Królestwa Światła. Nie wiedzieli, że mała ma na imię Siska, zresztą raczej wcale by ich to nie zainteresowało.

Marny jej los, pomyśleli obaj. Żywcem pożrą ją potwory, nie będące ni ludźmi, ni zwierzętami, lecz jakimiś pośrednimi istotami. Mutantami, w których skumulowały się najgorsze cechy żywych istot, tworząc śmiertelnie niebezpieczną kombinację. Nie znali tej dziewczyny, musiała dotrzeć tu z daleka. Błada, delikatna, zapewne wywodziła się z jakiegoś nieznanego plemienia, może przybywała z owianych legendą ziem, ciągnących się po drugiej stronie łańcucha gór, dzielącego ich świat na dwie części. Dotychczas jednak nikt stamtąd nie zdołał się przedostać na drugą stronę. Nastąpiły kolejne dziwy. Dziewczynka musiała być boginią, dokonała bowiem czegoś, co nigdy wcześniej nikomu się nie udało. Przeszła przez mur! Co prawda nie od razu, wiele przedtem musiała znieść.

Zrozumienie wydarzeń rozgrywających się w dole zajęło Gondagilowi i Haramowi sporo czasu. Potwory zgubiły ślad dziewczynki, biegając na czworakach obwąchiwały ziemię jak psy, chociaż zwykle poruszały się na dwóch nogach. Dziewczynka stała przyciśnięta do prawie niewidocznego muru, jakby błagając, by wpuszczono ją do środka. Głupia, pomyśleli wtedy, rozważali między sobą możliwość zejścia na dół i ocalenia jej przed losem karmy dla drapieżników, ale gromada prześladowców była zbyt liczna. Zresztą ludziom Timona nigdy nie udało się przejść przez wrogą krainę, bestie broniły swego cennego terytorium na styku z Królestwem Światła zębami i pazurami. Ujrzeni potem, że dziewczynka wspina się na drzewo. Mądrze!

Haram okazywał większą chęć ratowania młodej dziewczyny. Zdarzało się, że od czasu do czasu porывał dla siebie jakąś kobietę i parzył się z nią, gdy chuć nie dawała mu już spokoju. Gondagila jednak nie zajmowały podobne historie. W głowie miał jedno jedyne fanatyczne marzenie: wykraść z otoczonego murem królestwa światło i zanieść je swemu ludowi. Ich obecne życie było nieznośne, ponadto gdyby mu się to udało, przypuszczalnie zostałby wodzem, przeszedł do historii tak jak Timon Wielki. Lecz najważniejsze jednak było światło i ciepło dla całego ludu.

Wówczas, już dość dawno temu, zdarzył się nagle niepojęty cud. Wprawdzie dwaj mężczyźni nie zauważyli żadnego otworu w murze, ale wyszła spoza niego dziewczynka, podobna do uciekającej niemal jak dwie krople wody, i zaraz obie przekroczyły niewidzialną ścianę.

Gondagil i Haram popatrzyli na siebie bezmiernie zdumieni. Nie kryli wzburzenia, a jeszcze większy szok przeżyli na widok innych istot przechodzących przez mur. Tamci próbowali wnieść coś do środka, musiały to być drzwi, dla dwóch mężczyzn na wzgórzu pozostające niewidzialne tak jak i ściana.

Wtedy właśnie bestie z Doliny Cieni przystąpiły do ataku.

Istoty w dole najwidoczniej nie zdołały umieścić drzwi na miejscu, a potwory porwały jedną z nich i triumfalnie poniosły w głąb swej krainy. Przenikliwe wrzaski zwycięstwa i radości z udanego polowania mieszały się z żalonym zawodem jeńca.

Ot, nieszczęsny, pomyślał Gondagil.

Nagle zdrętwiał. Kilka innych potworów przedarło się do Królestwa Światła. Jak to możliwe? Nie wolno do tego dopuścić! Co będzie, jeśli ci barbarzyńcy zgaszą wytęsknione światło?

Ale czas cudów jeszcze się nie skończył. Z wyrwy w murze wyłonili się potężni ludzie. Dwaj z owych nieznajomych, którzy, chociaż sprawiali wrażenie obcych, posiadali władzę w Królestwie. Trzeci był zupełnie nowy, ciemny jak czarne góry. Nawet z tej odległości Gondagil poczuł, że ogarnia go wielki szacunek dla wszystkich trzech.

Nie mógł pojąć, w jaki sposób zdołali uwolnić więźnia Ze szponów potworów, wyglądało to, jakby rzucili na nie czar. Potężni władcy zabrali biedaka Ze sobą.

Gondagil przestał się interesować jego losem, przed jego oczami bowiem rozegrała się kolejna zaskakująca scena.

Potwory, które zdołały wdrzeć się do środka, zostały wyniesione na zewnątrz przez innych mieszkańców Królestwa Światła i jak martwe lalki ułożone w równym szeregu na ziemi.

Później tamci wrócili za mur i zniknęli im z oczu.

A bestie leżące w dole?

Martwe?

Gondagil i Haram postanowili zaczekać trochę i sprawdzić.

Nie, po pewnym czasie wszystkie się ocknęły. Stało się to mniej więcej w tej samej chwili, kiedy pozostałe potwory przybiegły pod mur w poszukiwaniu swych zaginionych kamratów. Gwałtownie pokrzykując i gestykulując, powróciły do swych nędznych siedzib. Haram się skrzywił. Zawsze uważał mieszkańców Królestwa Światła za słabeuszy, mieli miękkie serca. Żałował, że nie pognął w dół i nie zarąbał wszystkich potworów i tak już leżących jak trupy.

Haram nie chciał przyznać, że czuł wielki respekt przed Strażnikami z Królestwa Światła, a jeszcze większy przed ich zwierzchnikami, nieznajomymi o czarnych oczach.

Strażnicy różnili się między sobą wyglądem, spostrzegł to, kiedy wraz z Gondagilem kilkakrotnie obserwowali z ukrycia ich wyprawy poza mur. Tylko nieznajomi byli do siebie podobni: zdumiewająco wysocy, o jedwabistych włosach i migdałowych oczach, wielkich, skośnych i całkiem czarnych, jak u niektórych zwierząt czy też owadów. Nie, Haram sam sobie nie potrafił ich opisać. Wiedział jedynie, że te istoty obcego rodzaju napawają go lękiem.

Twarz Harama szpeciła długa blizna, pamiątka po walce z potworami. Inna głęboka szrama na lewej nodze przypominała o ukąszeniu bestii, jej ostre zęby wyrwały po prostu kawałek ciała. Gondagil także miał blizny, lecz udało mu się oszczędzić twarz. Haram popatrzył na przyjaciela i ze zdziwieniem po raz kolejny stwierdził, jak bardzo go fascynuje jego osoba. Gondagil nie był piękny w zwyczajnym rozumieniu tego słowa, miał jednak w sobie coś niebywale pociągającego, niezwykle sugestywnego, czego nie dało się nazwać. Nic dziwnego, że dziewczęta tak za nim wzdychają! Ale jego uparty przyjaciel samotnik jedno tylko miał w głowie: dostać się za mur i przynieść światło do ich części świata. „Później, Haramie - odpowiadał zwykle. - Później zacznę myśleć o kobiecie, nie mogę pozwolić, aby takie głupstwa przeszkodziły mi w wypełnieniu mego zadania”. Haram drżał, słysząc w głosie przyjaciela taką zaciętość.

Gondagil oderwał się od wspomnień i powrócił myślą do teraźniejszości. Dolina Cieni pogrążona była w ciszy, potwory jeszcze się nie przebudziły. Wiedział jednak, że wszędzie dookoła czuwają straże, wystarczy jeden ich ostrzegawczy okrzyk, a cała

dolina zapełni się bestiami i wraz z Haramem będą musieli uciekać, by ratować życie. Dlatego właśnie nie mogli nigdy zbliżyć się do muru i dokładniej go zbadać. Tyle razy już próbowali dotrzeć do miejsca, w którym wtedy otworzyły się drzwi, ale właśnie tam krwiożercze bestie wystawiały dodatkowe posterunki. I one także dostrzegły słaby punkt w murze, postanowiły więc trwać w gotowości na wypadek, gdyby wrota jeszcze raz się otworzyły.

Kraina potworów była dość rozległa, sięgała od jednej góry do drugiej. Dwaj przyjaciele z krainy Timona podkradali się oczywiście pod niewidzialny mur, dotykali go, szukali miejsca, w którym mogliby się przedostać na drugą stronę, nigdy jednak nie mieli dostatecznie dużo czasu na poszukiwania. Zawsze pojawiały się owe zniechęcone wrzeszczące hordy, zmuszając ich do odwrotu. Trudno policzyć starcia, które przyszło im stoczyć z dzikusami. W prawdzie mogli z gorzką radością rachować powalonych wrogów, lecz liczba małych złośliwych stworów i tak się przez to nie zmniejszała. Gondagil jednak nie porzucał nadziei. Pewnego dnia zdoła przedrzeć się przez mur. A może przynajmniej nawiąże kontakt ze Strażnikami? Niestety, oni pojawiali się bardzo rzadko, na ogół tylko od współplemieńców słyszał, że widzieli któregoś z nich wędrującego przez Królestwo Ciemności i zaraz znikającego.

Jemu samemu nigdy nie udało się żadnego spotkać.

Wiedział, że wódz jego plemienia zawarł ze Strażnikami umowę. Obie strony szanowały się nawzajem, lecz nic więcej, nie dało się mówić o jakiegokolwiek przyjaźni. Każda ze stron po prostu akceptowała istnienie drugiej i jej prawo do życia.

Gdyby tylko Gondagilowi udało się spotkać Strażnika! Gdyby wkrótce coś się wydarzyło! I nagle, stojąc tak na szczycie wzgórza o wczesnym poranku, obaj znieruchomieli, natężyli uwagę, niemal przestali oddychać.

Coś zaczęło się dziać. Przy murze.

2

Zapał Mirandy do reform zdawał się nigdy nie słabnąć. Palił się wiecznym płomieniem. Za swoją pasję i misję uznała zanieśenie światła nieszczęsnym ludziom z Ciemności. Wygląd młodszej córki Gabriela dość wyraźnie się zmienił od czasu, kiedy była ślicznym dzieckiem, noszącym w bagażu podręcznym nadzieje rodziców na to, że przeobrazi się w równie śliczną młodą kobietę. Jasnorude włosy, niegdyś przewiązane błękitną kokardą, przybrały odcień niemal miedziany i teraz już zdecydowanie nie zdołała ich żadna kokarda. Pod wieloma względami Miranda była zupełnym przeciwieństwem Eleny. Na przykład włosy, Elena upierała się przy swej długiej, nietwarzowej fryzurze i kiedy wreszcie zdecydowała się obciąć loki, okazała się prawdziwą piękną. Miranda natomiast zawsze krótko się strzygła, a zapewne wiele by zyskała nosząc dłuższe włosy. Bardziej dziewczęca fryzura przesłoniłaby wrażenie chłopiwości, wywoływane przez proste ramiona i wąskie biodra.

Miranda jednak rzadko zajmowała się podobnymi błahostkami.

Przeprowadziła z Ramem rozmowę dotyczącą możliwości większego rozprzestrzenienia słońca, obdzielenia światłem innych ludzi. On jednak tylko kręcił głową. „Sądziś, że nie myśleliśmy o tym, Mirando o płomiennej woli i gorącym sercu? To niemożliwe, wiesz przecież, że Słońce nie może zostać zbezczeszczone złem, a bestie poza murem są nim

przesiąknięte na wskroś. Stałyby się jeszcze gorsze, gdyby czarne słońce wzmogło ich zło”. „Ale są chyba jeszcze jakieś inne plemiona” - zaprotestowała Miranda. „Owszem, lecz nie możemy do nich dotrzeć. A gdyby nawet udało nam się ofiarować im Słońce... Jak myślisz, co by się z nim stało? Potwory uczyniłyby wszystko, by je wykraść, i takie plemię długo by nie przetrwało”. „A czy nie można wobec tego sprowadzić tych tak zwanych dobrych plemion do Królestwa Światła? Przecież z Siską wszystko ułożyło się pomyślnie”.

Ram odparł, że te plemiona nie są wcale aż tak dobre, a poza tym potwory uniemożliwiają wszelkie podobne eksperymenty.

Indra w tym momencie mruknęłaby beztrąsko pod nosem o „spuszczeniu tego wszystkiego w klozecie”, lecz Miranda była inna niż jej siostra. Oczy jej zwilgotniały i Ram, chociaż nie wierzył własnym uszom, to usłyszał jednak, jak szepcze: „Biedne potwory”.

W tajemnicy podjęła pewne działania. Jako wielkiej miłośniczce przyrody przydzielono jej zadanie gromadzenia rozmaitych znalezisk z lasów i pól i przekazywania ich do laboratorium w stolicy. Taka praca doskonale jej odpowiadała, a najważniejsze, że w tym samym czasie mogła poczynić własne obserwacje. Nikt tak naprawdę nie pilnował, czym zajmuje się dziewczyna.

Właściwie takie postępowanie należałoby uznać za niezbyt przyzwoite, ale Miranda specjalnie się tym nie przejmowała.

Miała w domu niedużą, bardzo szczelną kasetkę, w której chowała zdobyte własnym przemysłem cenne znaleziska, a mianowicie drobniutkie kawałki Świętego Słońca. Jak w ogóle było to możliwe? Cóż, światło Słońca wykorzystywano do wielu różnych celów. Miranda zaczęła od własnej latarki kieszonkowej, kształtem przypominającej cieniutkie jak długopis latarki używane na Ziemi. Różnica polegała na tym, że światełko w niej płonące było wieczne i miało delikatny ciepły blask, jaki dawało słońce, tylko w miniaturze. Istniały też inne źródła światła, na przykład malusieńkie lampeczki w korytarzach pod powierzchnią ziemi. Gdyby zabrała jedną z długiego ich szeregu, nikt pewnie by tego nie zauważył.

Oczywiście własny dom niemal doszczętnie ogolociła z wszelkich źródeł światła. Ludzie wykonujący usługi w domach nie mogli pojąć, na cóż Mirandzie tyle dodatkowych lamp. Miała jeden problem, za to dość poważny: co prawda cieszyła się z posiadania drobnych kawałków dających światło, ale w jaki sposób połączyć je w jedno słońce? Lampki, nieduże pojemniki z materiału przypominającego szkło, wypełnione świętym światłem, przypominały nieco ziemskie neonówki. Miranda nie była fizykiem czy chemikiem, a bała się prosić kogokolwiek o radę w obawie, że jej plan zostanie odkryty. Gromadziła więc światełka z nadzieją, że być może czas jakoś jej pomoże.

Innym, właściwie na dobrą sprawę nierozwiązywalnym problemem była kwestia przedostania się przez mur.

Nagle jednak, w ciągu paru zaledwie tygodni, wszystko zaczęło się układać.

Miranda wędrowała akurat po lesie, zajęta zbieraniem okazów, które mogłyby zainteresować laboratorium w stolicy. Miała zgłaszać przede wszystkim znaleziska świadczące o chorobach roślin czy też o wzrastającej bądź malejącej populacji różnych

gatunków zwierząt. Starła się przy tym jak najczęściej zbliżyć do muru, uznała bowiem, że należy dokładnie go zbadać.

Otrzymała pozwolenie poruszania się po Srebrzystym Lesie, byle tylko trzymała się z daleka od okolicy, gdzie pracowali Madragowie i gdzie ziemia niekiedy drgała od wibracji umieszczonych pod jej powierzchnią wielkich maszyn. Na ogół chodziła sama, od czasu do czasu tylko pożyczając sobie do towarzystwa Nera.

Tego dnia jednak samotnie wybrała się na przechadzkę do Srebrzystego Lasu. Nieczęsto się tam zapuszczała, gdyż las położony był daleko.

Wówczas to usłyszała glosy.

Skuliła się instynktownie, nie dlatego by w Królestwie Światła było coś, czego powinna się bać, raczej po prostu zareagowała odruchowo. Przez las nadeszli trzej mężczyźni, kierowali się wprost do muru, który, jak się orientowała, znajdował się w pobliżu za drzewami.

Ze swego miejsca miała doskonały widok.

Ujrzała dwóch Strażników prowadzących między sobą więźnia, którego wcześniej, całkiem niedawno, widziała przez moment. Siostra powiedziała jej, że ten człowiek ma na imię John i był dyrektorem personalnym ratusza w nieciekawym mieście nieprzystosowanych. Wiedziała także, że został skazany za straszne zbrodnie popełnione na kobietach i że Elena się w nim zakochała, o mało przez to nie tracąc życia. Wszystkie te wydarzenia miały jednak miejsce na peryferiach świata Mirandy, nie śledziła ich z uwagą.

Co Indra mówiła? Że karą dla niego ma być nowa szansa?

Miranda zorientowała się, w czym rzecz. Ten John miał wyjść w Ciemność.

Zdała sobie wówczas sprawę, czego będzie świadkiem, i poczuła ogarniające ją podniecenie.

Otworzą mur, już ona postara się zorientować, w którym miejscu.

Zauważyła teraz coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi. W rosnącej w lesie trawie ledwie widocznie zaznaczał się ślad, mogący przypominać ścieżkę. Nigdy by go nie dostrzegła, gdyby mężczyźni nie wskazali jej kierunku.

John irytował się, zachowywał ogromnie arogancko. Wykrzykiwał, że nie jest ot, takim sobie pierwszym lepszym, twierdził też, że Strażnicy robią mu wielką przysługę, pomagając opuścić nędzne Królestwo Światła, w którym nie można awansować, zdobyć wyższego stopnia czy stanowiska, gdzie nie ma nawet sił zbrojnych. Był żołnierzem, wysokim oficerem i tutaj traktowano go nieodpowiednio do jego pozycji!

Zapowiadał także, co zrobi, gdy pewnego dnia wróci na powierzchnię Ziemi, odgrażał się i przeklinał.

Ten człowiek jest chory na umyśle, doszła do wniosku Miranda, ale prędko zapomniała o jego upokorzonej dumie, zobaczyła bowiem, w jaki sposób Strażnicy otwierają mur!

Wyglądało na to, że potrzebna jest kombinacja rozmaitych zmysłów. Dotyk - Strażnik przyłożył dłoń z rozstawionymi palcami do pewnego punktu w murze, którego położenie Miranda starannie zanotowała w pamięci: tuż nad krzaczkiem obsypanym żółtymi kwiatkami. Słuch - Strażnik wypowiedział dwa krótkie słowa, Miranda zdziwiona pomyślała, że Baśnie z Tysiąca i Jednej Nocy musiały o setki lat wyprzedzać swój czas,

wszak rozbójnicy, wypowiadając słowa: „Sezamie, otwórz się”, wykorzystywali czujnik dźwięku do otwarcia wrót w skale. Oczywiście nie tą formułą posłużyli się Strażnicy, lecz zasada pozostała taka sama. Następnie kolej przyszła na wzrok - Strażnik skierował na mur promień światła i omiół nim to, co musiało być wyjściem.

Tyle Miranda mogła zaobserwować z daleka. Gdyby jednak zamierzali wykorzystać również zmysł powonienia i smaku, mogłaby mieć kłopoty.

Skończyło się jednak tylko na trzech zmysłach. Ponieważ mur był niemal całkowicie niewidzialny, ledwie się zorientowała, że nieco się uchylił i wypuszczono więźnia. Potem mur zamknięto wykorzystując te same czynności, tylko w odwrotnej kolejności. Miranda starała się zapamiętać wszystko jak najdokładniej.

Strażnicy zniknęli, a wtedy ona na palcach przeszła przez miękką trawę i prześliczne, przypominające dzwoneczki różowe kwiatki, aż do muru. Starła się zarejestrować każdy najdrobniejszy szczegół otoczenia. Znalazła znak wskazujący, w którym miejscu przyłożyć dłoń, miała przy tym nadzieję, że jej także się powiedzie, że nie jest to znak dla konkretnej wyznaczonej osoby, której odciski palców potrafią otworzyć wrota.

Wyteńczywszy wzrok dostrzegła kontury ukrytych drzwi, nie próbowała ich jednak otwierać. Gdyby postanowiła wyjść, musiałyby zabrać ze sobą święte światło.

Starannie oznaczyła ścieżkę, aby następnym razem bez trudu do niej trafić.

Kiedy tak stała tuż przy murze, usłyszała zduszone krzyki strachu. Zduszone, ponieważ dochodziły z Królestwa Ciemności. Ktoś śmiertelnie przerażony krzyknął jeszcze raz, potem zapadła cisza.

Mirandzie ciarki przebiegły po plecach. Potwory... I ona się tam wybiera!

Zrozumiała, że wszystko musi zaplanować naprawdę starannie. Nie wystarczy tak po prostu wyjść i zanieść światło i radość ciemnemu, zimnemu światu. Jej misja nie przedstawiała się już tak różowo.

Zanim wszystko ułożyło się do końca, wydarzyło się coś jeszcze. Coś kompletnie nieoczekiwanego, niewytłumaczalnego. Miranda przeżyła prawdziwy wstrząs.

Jej brat powrócił ze świata zmarłych. Miała wiele wątpliwości, czy ojciec prosząc o to rzeczywiście postąpił słusznie.

Indra natomiast nie posiadała się z zachwytu. Pomyśleć tylko, odzyskała starszego brata, który przeobraził się w młodszego braciszka! Kiedy zdarzył się wypadek, Filip miał dziesięć lat, Indra osiem, a Miranda sześć, ale wiek Filipa pozostał nie zmieniony. Na spotkanie ojcu wyszedł dziesięcioletek, sprowadzony z objęć Śmierci przez Marca i duchy Móriego.

Mirandzie po matce pozostało tylko niejasne wspomnienie. Zawsze wesoła, zawsze w ruchu. Starszego brata Filipa pamiętała jeszcze mniej. Teraz wydawał jej się trochę obcy, wszak to nadzwyczaj dziwne: spotkał swoje dwie młodsze siostry jako dorosłe, podczas gdy on sam wciąż był dzieckiem. Tylko Gabriel nie posiadał się ze szczęścia, a Indra uznała sytuację za bardzo emocjonującą, wręcz śmieszną. Miranda nie podzielała jej odczuć, ale serdecznie przywitała chłopca, który kiedyś ciągnął ją za włosy i kopał w łydkę w czasie bratersko-siostrzanych potyczek.. Obecny stan rzeczy wcale nie wydawał jej się zabawny, czuła ściskanie w gardle na myśl o tragicznym losie brata.

Sam Filip jednak wydawał się zadowolony z takiego obrotu sprawy. Nie zamieszkał wprawdzie z nimi, gdyż jego miejsce było w dolinie duchów, i wszyscy to zaakceptowali. Mogli się natomiast spotykać tak często, jak tylko chcieli, a właściwie Filip przychodził do nich, do doliny duchów bowiem ludzie się nie wyprawiali, chyba że w bardzo ważnej sprawie, jak na przykład wtedy, gdy Marco i Móri prosili o pomoc w odzyskaniu małego Filipa.

Co innego jeszcze zastanawiało Mirandę, nie chodziło tu wcale o zazdrość, raczej budziło się w niej swego rodzaju zdumienie. Skoro Filip znalazł się w gromadzie Ludzi Lodu wraz z dotkniętymi i wybranymi, którzy dzięki temu mogli żyć dalej pod postacią duchów... To jaka jest jej pozycja? Wmówiła sobie, że ma trochę tych upragnionych nadprzyrodzonych zdolności, ale to przecież Filip musiał je mieć, nie ona.

Na myśl o tym odczuła pustkę.

Będzie musiała spytać kiedyś Marca, jak to naprawdę jest.

Akurat teraz jednak nie miała na to czasu. Ostatni kawałek układanki bowiem trafił na odpowiednie miejsce.

Trzeba przyznać, że właściwie stale deptała po piętach Ramowi, pragnąc dowiedzieć się jak najwięcej o Królestwach Światła i Ciemności. Ramowi jej zaciekawienie sprawiało przyjemność, lecz gdyby wiedział, co się za nim kryje, zapewne nie zabrałby jej do wielkich magazynów pod laboratoriami w stolicy. Miranda znalazła w lesie interesujący okaz, nie podczas tej wyprawy, kiedy odkryła drzwi w murze, tamtego dnia wróciła do domu z pustymi rękami, za to z głową pełną myśli i planów. Nowe znalezisko, nieznanego rodzaju nadrzewnego grzyba, wzbudziło zainteresowanie Rama. Strażnik musiał zejść do dolnych rewirów, żeby stwierdzić, czy wcześniej nie odkryto czegoś podobnego. Uznał, że nic się nie stanie, jeśli Miranda będzie mu towarzyszyć.

Niczego nie znaleźli. Natrafili jednak na ciemny, nie oświetlony kąt i wtedy Ram poszedł po światło do sali, w której Miranda nigdy wcześniej nie była.

Sala ta została jak najstaranniej odgradzona od pozostałej części magazynów, przechodzili przez wiele drzwi, które Ram otwierał kodami.

Obcy i ich podwładni, Strażnicy, mogli urządzić Królestwo Światła w sposób hipernowoczesny, zdecydowali jednak inaczej, w każdym razie w tych rejonach krainy, do których dostęp mieli inni jej mieszkańcy. Obcym zależało, by ludzie czuli się tu dobrze, aby wszystko zorganizowano w zrozumiały sposób, bez całego mnóstwa zaawansowanej elektroniki, sztucznego pożywienia i zapładniania, bez komputerów i uniwersalnych robotów. Co znajdowało się w części krainy należącej do Obcych, pozostawało ich tajemnicą.

Niemniej tu, na dole, królowała nowoczesność. Miranda była niepomniecznie zdumiona tym, co widzi. W pewnej chwili musiała wraz z Ramem wejść do wąskiego szybu i tam nagle rozplłynęli się w powietrzu. Dziewczyna przeraziła się nie na żarty, ale zaraz znaleźli się na niższym piętrze. Dotarli do sali, o której mówił Ram.

Wręczył jej parę ciemnych okularów, ale nawet one nie dawały wystarczającej ochrony, musiała zasłonić oczy przed bijącym ze środka oślepiającym światłem. Zrozumiała, co to za pomieszczenie: sala, w której przechowywano święte słońca.

Ram wyjaśnił: Gdy Lemurowie dostali płomień Wielkiej Światłości, bardzo się o niego troszczyli. Okazało się jednak, że trudno jest trzymać go w całości. Podzielili więc płomień na większe i mniejsze słońca. Największą część wykorzystano oczywiście w wielkim słońcu świecącym nad stolicą, miało wszak rozjaśniać całą krainę. Złocista kula błyszcząca nad Sagą była tą pozostawioną na Ziemi, którą zdobyć pragnęli źli rycerze i którą w końcu odnalazł i przyniósł do Królestwa Światła Dolgo.

Światło jednak potrzebne jest przy wielu okazjach, sporządzono więc mniejsze słońca różnych rozmiarów. Niektóre miały wielkość odpowiednią do oświetlenia nowych miast, najmniejszych używano w małych latarkach w kształcie długopisu. Wszystkie je zamykano w pojemnikach z materiału przypominającego szkło i w ten sposób płomień pozostawał pod kontrolą.

- Ach, czy nie mogłabym dostać jednego słońca? - spontanicznie wykrzyknęła Miranda. Ram przyjrzał się jej badawczo.

- A do czego?

Miranda wiedziała, że tym razem nie opłaca się mówić prawdy.

- Chciałabym poeksperymentować w domu, w piwnicy - odparła szybko. Brzydziła się kłamstwem, ale teraz czuła się do tego zmuszona. - Nie mówię o żadnym wielkim słońcu, ot, takim sobie, średnim. Mniej więcej takim.

Pokazała ręką. Takie, które zmieściłoby się w dłoni.

- Nie ma problemu - stwierdził Ram, nic nie przeczuwając, a Mirandę ogarnęły najczarniejsze wyrzuty sumienia. - Co to za eksperyment? - spytał z uśmiechem.

- Eee... takie... zarodniki - wyjąkała niepewnie. - Chciałabym doprowadzić do ich rozwoju, przekonać się, co z nich właściwie wyrosnie.

Doszła do wniosku, że nie jest to całkiem niezgodne z prawdą, rzeczywiście na pewnym korzeniu drzewa znalazła coś, co ją zainteresowało. Ale zajmować się rozwojem?

Ram skinął głową.

- Tylko bądź ostrożna z zarodnikami - ostrzegł. - Za mało wiemy o nieznanym gatunku, a w najgorszym przypadku może się zdarzyć, że zaczną się rozmnażać zbyt szybko i gwałtownie.

- Będę uważać - obiecała, zadowolona, że nie musi dalej brnąć w kłamstwa.

Miranda poczuła, że wśród wszystkich tych słońc miłości sama staje się lepsza.

Natychmiast powiedziała o tym Ramowi.

- Bo jesteś dobrym człowiekiem, Mirando - uśmiechnął się do niej ciepło. - I słusznie nazywasz je słońcami miłości. Ale tak samo jak miłość może zmienić się w gorycz i nienawiść, tak i te słońca mogą zwrócić się ku złu, jeśli poddane zostaną wpływowi złych istot. Takich, jakimi są na przykład kryminaliści z miasta nieprzystosowanych.

No tak, potrafiła sobie wyobrazić ten proces.

Ram, który dawno już zapomniał o ich krótkiej rozmowie na temat ofiarowania światła Królestwu Ciemności, wyszukał niedużą kulkę wielkości mniej więcej piłeczki do tenisa. Z magazynu przyniósł światłoszczelną kasetkę, umieścił w niej słońce i zamknąwszy ją dokładnie, dał Mirandzie, życząc jej powodzenia w hodowli. Sumienie Mirandy nie było już czarne jak noc, przypominało raczej śnieg w fabrycznej dzielnicy.

Jeszcze raz weszli do owej niezwyklej „szafy”, w której rozpadli się na cząsteczki, zdolne przenikać ziemię, przestrzeń, każdą materię. Wkrótce byli już na górze i znów Ram otwierał kolejne drzwi za pomocą swej tabliczki z kodem. Miranda zrozumiała, że do sali słońc raczej nigdy już nie wróci, jeszcze raz więc podziękowała Ramowi za jego pomoc. Mało brakowało, a dodałaby: „Nie pożałujesz tego, co zrobiłeś”, w porę jednak się zorientowała, że te słowa mogłyby obudzić podejrliwość Strażnika.

Miranda ukryła klejnot w piwnicy swego domu i zabrała się do opracowywania planu. Musiała się dobrze przygotować do opuszczenia Królestwa Światła. Zarówno Ram, jak i Siska, a także rodzina czarnoksiężnika opowiadali o innych ludach mieszkających poza rejonem potworów. Jeśli oczywiście w ogóle można nazywać ich ludami. Miranda postanowiła dotrzeć do nieszczęsnych. Nie mogła już więcej wypytywać Rama, lecz byli przecież jeszcze inni Strażnicy i oni właśnie, wprawdzie dość niejasno, lecz opowiedzieli jej o najbliższych, roślących jasnowłosych wojownikach, twardych, niebezpiecznych, lecz nie tak krwiożerczych, jak bestie zza muru. Mówili, że z ludem Timona da się przynajmniej porozmawiać, jeśli trafi się na' ich odpowiedni nastrój. Wyżej na górskich zboczach żyło też inne plemię, no i jeszcze zostawali ci mieszkający po drugiej stronie łańcucha wysokich, niedostępnych gór. Do nich należało plemię Siski, a także osobliwe miękkie stwory, z którymi znajomość zawarła rodzina czarnoksiężnika podczas przeprawy do świata we wnętrzu Ziemi. Istniały też oczywiście istoty, których Strażnicy nie znali, zwłaszcza po drugiej stronie łańcucha gór. No, a Góry Czarne? dopytywała się Miranda. Ale Strażnik, z którym rozmawiała, umilkł. Nawet jeśli coś wiedział, nie chciał nic zdradzić.

Wypytywała się przede wszystkim o potwory. O to, jak nad nimi zapanować. Odpowiedzi, które usłyszała, nie dodały jej wcale otuchy, ale usłyszała kilka dobrych rad. Dowiedziała się o ich strażach i o tym, czego przede wszystkim należy się wystrzegać. Zapanować nad potworami potrafili jedynie Obcy, a Miranda przecież się do nich nie zaliczała. Zdała sobie sprawę, że jeśli bestie ją zauważą, mogą ją pożreć, zanim zdąży choćby krzyknąć. No cóż, i tak zdołała pokonać najtrudniejsze przeszkody, miała słońce i wiedziała, w jaki sposób przedostać się do Królestwa Ciemności. Innymi sprawami będzie się zajmować w miarę, jak będą się pojawiały.

3

Upłynęło sporo czasu, zanim uznała wreszcie, że wszystko jest gotowe. Wyruszając na swą wielką ekspedycję ratunkową, musiała być pewna, że nic ją nie zawiedzie. Tymczasem napawała się samotnością w lasach. Miranda żyła życiem lasu. Potrafiła rozpoznać strumyk po jego szemraniu, znała kryjówki maleńkich zajęczków, lecz nigdy ich nie dotykała, wiedziała, gdzie rosną najsmaczniejsze jagody, często wyciągała się na mchu, wsłuchana w szum srebrzystych liści, potraconych delikatnym wietrzykiem. Zdarzało się niekiedy, że czuła się obserwowana. Wiedziała oczywiście, że las pełen jest elfów i innych istot natury, lecz to wrażenie było bardziej namacalne. Domyślała się, kto może się jej przyglądać. Nieraz podczas swych wędrówek spotykała Tsi-Tsunggę i ucinała sobie z nim pogawędkę. Pomagał jej w szukaniu okazów, wszystko jedno, czy

chodziło o minerały czy o rośliny. Zaprzyjaźnili się i potrafili mówić tym samym językiem, językiem miłości do przyrody. Z jakiegoś jednak powodu Tsi-Tsungga budził w dziewczynie niepokój. Miranda nie bardzo wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Bardzo polubiła Tsi i chciała mu pokazać, że jest jego przyjaciółką, coś jednak ją przed tym powstrzymywało. Lęk, by zanadto się do niego nie zbliżyć? Nie potrafiła lepiej określić tego uczucia, wiedziała, że jest ono wręcz idiotyczne, bo przecież była pewna przyjacielskich zamiarów Tsi, on nigdy by jej nie zdradził, nie zawiódł w żaden sposób. Pozostawało jednak to coś, trudne do zdefiniowania. Nie niechęć, nie, nie potrafiła znaleźć właściwszego słowa niż „lęk”. A może niepewność? Strach? Jakie to niemądre z jej strony!

W pewien jasny dzień, kiedy czuła, jak narasta w niej zniecierpliwienie, niemal zmuszając do natychmiastowego podjęcia dobroczynnej misji na rzecz nieszczęśliwych mieszkańców Królestwa Ciemności, postanowiła wybrać się do lasu, by choć na pewien czas zająć myśli innymi sprawami. Roztargniona zbierała zioła, tym razem mając na uwadze uzdrawiające napary, które przygotowywał Móri. Miranda często przynosiła mu potrzebne rośliny.

Znalazła się wśród jasnozielonych cieni, gdzie Święte Słońce przeświecało przez liście, gdy nagle nieopodal w głębi lasu usłyszała świergot wzburzonych ptaków. Pospieszyła tam, lecz ostrożnie, żeby nikogo nie wystraszyć. Dostrzegła parę niedużych ptaszków unoszących się niewysoko nad ziemią, Miranda przysunęła się bliżej, żeby zobaczyć, co się stało.

Na ziemi leżało gniazdo, które żadną miarą nie powinno się tam znaleźć. Młode pisklęta w gnieździe piszczały żałośnie, być może już od dłuższego czasu nie dostały nic do jedzenia.

Miranda popatrzyła w górę i w głowie jej się zakręciło na widok strzelistego pnia przypominającego sosnę drzewa, którego korona wznosiła się wysoko, wysoko nad nią. Nie potrafiła powiedzieć, jak doszło do nieszczęścia, zauważyła tylko, że jedna z gałęzi na górze jest złamana.

- Och, nie, nigdy sobie z tym nie poradzę - mruknęła pod nosem. - Kto może się wspiąć po takim gładkim pniu?

Rozejrzała się dokoła. W pobliżu niewielki wodospad opadał w zielonobłękitną zatoczkę, obrośniętą żółtymi kwiatami. Skala z tyłu leżała skąpana w promieniach słońca. Żaden z tych cudów jednak nie mógł teraz pomóc ani jej, ani ptakom.

- Tsi! - zawołała cicho. Poczula się głupio. Jak on miał ją usłyszeć? Podniosła więc nieco głos: - Tsi-Tsungga! Potrzebuję twojej pomocy!

Jak można być tak niemądrym, jak można wierzyć, że on będzie akurat gdzieś w pobliżu?

Ach, biedne ptaki, tak bardzo cierpiały, widząc swe bezradne pisklęta. Co mogła począć? Szukać innego drzewa albo krzewu czy...?

Dostrzegła coś kątem oka, na górze, na skale koło wodospadu.

Tsi-Tsungga! Brunatnozielony elf ziemi, tak jak i ona zdomowiony w lesie. O, dużo bardziej.

Buzię Mirandy rozpromienił uśmiech.

- Ach, jak się cieszę, że byłeś niedaleko i mnie usłyszałeś! - wykrzyknęła naiwnie. - Chodź tutaj, szybko!

Tsi jednym susem zeskoczył ze skały i wylądował obok dziewczyny na miękkim mchu. Pospiesznie wyjaśniła, co się stało.

Tsi zaraz ukląkł przy gniazdku i delikatnie wziął je w ręce. Skrzydlaci rodzice zanieśli się histerycznym piskiem, lecz on zaraz coś do nich powiedział i ptaki się uspokoiły, krążąc teraz tylko wokół niego i Mirandy.

Tsi popatrzył na dziewczynę i uśmiechnął się czarująco.

- To wy, przyjaciele, nauczyliście mnie rozmawiać ze zwierzętami - wyjaśnił.

- Naprawdę? Ach, tak, aparacik Madragów, jeszcze go masz?

- Nie tylko - odparł z dumą. - Dostałem też jeden z tych innych. Ten, który sprawia, że druga istota rozumie, co się do niej mówi, chociaż sama nie ma aparatu.

- Wspaniale! To zapewne dlatego ptaki się uspokoiły. Że też ja o tym nie pomyślałam, mam przecież podobne urządzenie.

Jakże niepokojące było patrzeć w te zielone oczy! Miranda zmieszana przeniosła wzrok na gniazdo z piskletami w rękach Tsi. Wydawało się w nich takie bezpieczne. Tsi powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Jedno z małych chyba zrobiło sobie krzywdę - rzekł zatroskany, palcem delikatnie badając pisklę.

Miranda próbowała mu pomóc, ale kiedy dotknęła dłoni elfa, miała wrażenie, że jej ciało przeszły prąd. Poczowała bijącą od niego zmysłowość i cofnęła się przerażona. Miała wrażenie, że w jej ciele i duszy zapanował szalony chaos, że jakaś siła ciągnie ją ku niemu.

Tsi nie zauważył reakcji dziewczyny, całą swą uwagę skupił na ptaszku. Ponieważ Miranda wiedziała naprawdę bardzo dużo o przyrodzie w Królestwie Światła, знаła też nazwę tego ptaka, który należał do gatunku nieznanego na powierzchni Ziemi. Dość niepozornego, wielkości skowronka, o całkiem niebieskim łepku.

- Nie, na szczęście nic mu się nie stało - stwierdził Tsi-Tsungga. - Tylko nóżka utkwiała mu pod gałązką. Wobec tego zaniosę gniazdo na górę. Przytrzymasz mi koszulę?

Zaskoczona Miranda wzięła od niego zieloną koszulę z cieniutkiej skóry. Nie miała pojęcia, w jaki sposób Tsi zdoła się wspiać z gniazdem w rękach, ale uznała, że to jego sprawa.

Odruchowo przycisnęła koszulę do piersi, obserwując, jak lekko i bez wysiłku Tsi posuwa się po pniu. Ptasi rodzice nerwowo krążyli wokół niego. Miranda nawet nie zauważyła, że podnosi koszulę do twarzy, że wacha ją, chłonie aromat lasu, świeżego powietrza i... i... mężczyzny? Samca? Prędko ją odsunęła, oddychała szybko, nerwowo, nie rozumiejąc własnych reakcji. Tsi, towarzysz dziecięcych zabaw jej znajomych, przyjaciel, który wiedział wszystko o lesie podobnie jak ona. Co się z nią dzieje?

Miranda nie była taka jak Elena, nie tęskniła za człowiekiem, którego mogłaby kochać i iść z nim do łóżka. Myśli Mirandy nie krążyły tym torem, całą swą wolę skupiła na pomaganiu nieszczęśliwym, najpierw w świecie na zewnątrz, a teraz w Królestwie Światła. Tu jednak nie było nieszczęśliwych, dlatego skoncentrowała się na mieszkańcach Ciemności. A miłość? Romantyczność? Erotyka? Nie, to mogło poczekać.

Najpierw musiałyby znaleźć kogoś, w kim mogłyby się zakochać. Niezdarne próby podjęte w świecie na powierzchni wcale się nie liczyły. Nie było wtedy mowy o żadnych burzliwych uczuciach.

Rozmyślenia przerwał jej dobiegający z gór głos Tsi-Tsunggi. Szczęście, że on jest tak wysoko!

- Zbudowały gniazdo na spróchniałej gałęzi, umocuję je w lepszym miejscu! - zawołał, a jego wesóły głos poniósł się po lesie.

- Dziękuję, Tsi, jesteś taki dobry! - odrzyknęła. Ale targające nią uczucia sprawiły, że jej głos nie zabrzmiał czysto. - Myślisz, że to zaakceptują?

- Na pewno.

Niemądre pytanie, wszystkie zwierzęta pogodziłyby się z tym, co robił Tsi. Był kimś wyjątkowym.

Miranda zawsze żywiła podziw dla samotnego ziemnego elfa. Teraz bała się nawet tego uczucia.

- Już - usłyszała, a potem dobiegły ją ciche słowa pociechy, wypowiedane do ptaków. Zobaczyła, że Tsi schodzi niżej i zatrzymuje się, obserwując reakcje skrzydlatych rodziców. Poczekał, aż usiadły przy gnieździe. Zszedł do połowy pnia, a stamtąd zeskoczył na ziemię. Faunia twarz jaśniała uzasadnioną dumą.

- Już po wszystkim. Wykapiemy się?

Swoją radością zaraził Mirandę. Ale kąpiel? Czyżby mieli się kąpać nago?

Nie, nie czekał na jej odpowiedź, po prostu wskoczył do przejrzystej zielonej wody.

- Chodź! - zawołał zachęcająco.

Miranda wahała się tylko przez sekundę. Zaraz poszła w jego ślady. Wskoczyła do wody w krótkiej cienkiej sukience. Zadrżała, kiedy woda zamknęła się wokół niej, ale była ciepła, miała temperaturę powietrza. Tsi, śmiejąc się radośnie, popłynął w stronę wodospadu, Miranda za nim.

Pozwolili, by spadał na nich lśniący w słońcu deszcz z wodnych kaskad. Co tam ubranie, pomyślała Miranda. Tu, w Królestwie Światła, prędko wyschnie. Zielone oczy Tsi-Tsunggi błyszcząły figlarnie i ona też głośno się roześmiała. Wiedziała, że tę cudowną chwilę zapamięta na długo. Oddalili się od wodospadu i zaczęli pływać w koło. Nagle Tsi zniknął, ale ona wcale się tym nie przejęła. Zrobiła tak jak on, zanurkowała, ale nigdzie nie mogła go znaleźć. Przestraszona wypłynęła na powierzchnię, lecz elfa nie było także tutaj. Nagle poczuła, że podpływa do niej od dołu, z tyłu. Oplótł ją ramionami.

- Uuu! - zawołał, wystawiając głowę ponad wodę i śmiejąc się serdecznie.

Miranda była zła. Zachowanie Tsi wyprowadziło ją z równowagi, zmusiła się jednak do uśmiechu. Nie potrafiła nawet sobie samej wyjaśnić, dlaczego tak ją rozzłościł. O dziwo jednak, rozgniewały ją wcale nie jego żarty, tylko dotyk jego dłoni, bliskość ciała.

Dlaczego wywołały takie uczucia?

Chcąc wziąć odwet, wepchnęła mu głowę pod wodę, ale przytrzymała ją tylko przez moment, nie miała zamiaru tak niebezpiecznie się bawić. Ze świata na powierzchni знаła dostatecznie wiele nieprzyjemnych przykładów na to, czym się mogą skończyć tego rodzaju figle.

Teraz z kolei on wcisnął jej głowę pod wodę, ale gdy się wynurzyła, dała mu znać, że nie ma ochoty na taką zabawę.

Stanął tuż przed nią i przyglądał jej się zaczepnie rozbawionymi oczyma. Patrzył pytająco, badawczo.

W końcu roześmiał się perliście.

- Twoja sukienka robi się w wodzie przezroczysta, Mirando. Ach, masz takie piękne imię! Miranda... Brzmi jak imię istoty z baśni.

Miranda z przerażeniem przekonała się, że Tsi mówi prawdę.

- Do diaska! - mruknęła.

- Ale to przecież nic nie szkodzi, tylko ja to widzę - uspokajał ją.

Tak, tylko ty, pomyślała. Ładne mi tylko!

- Muszę wracać do domu - mruknęła tchórzliwie. A on zaraz wyprowadził ją na brzeg.

Teraz sukienka prześwitywała jeszcze bardziej, lecz Tsi nie wydawał się tym ani trochę zażenowany.

- Chodź, ułożymy się w trawie i będziemy się suszyć - wykrzyknął i jak powiedział, tak zrobił. A ponieważ zachowywał się tak naturalnie, Miranda nie chciała być gorsza i poszła za jego przykładem. Postarała się jednak, aby dzieliła ich bezpieczna odległość.

Tsi-Tsungga leżał wygodnie na plecach z podciągniętymi kolanami. Sięgnął po rękę dziewczyny.

- Ty i ja jesteśmy przyjaciółmi, prawda? - spytał na pozór obojętnie, lecz z odrobiną niepewności.

- Jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi - zapewniła poważnie. - Bardzo wiele nas łączy, Tsi. Cała nasza miłość do wszystkiego, co żyje.

Niezręcznie się wyraziła, ale on uroczyście skinął głową. W jednej chwili Miranda zrozumiała, tak jak kiedyś Elena, że Tsi jest niezwykle samotną istotą. Samotną pomimo swej przyjaźni z elfami, a to dlatego, że miał w sobie człowieczeństwo Lemurów. Był w połowie Lemurem, a więc mniej więcej tym samym, co człowiek, nie całkiem, lecz prawie. Nie mogę teraz wpaść w pułapkę, pomyślała. Jej siostra Indra opowiadała o jakimś spotkaniu Eleny z Tsi, ale Miranda dobrze nie słuchała, bo przecież nie interesowała się takimi głupstwami. Żałowała teraz, że bardziej nie uważała. Pamiętała jednak głębokie tęskne westchnienie siostry: „Szkoda, że to nie ja, na pewno bym na tym nie poprzestała”, które pozwalało sądzić, iż między Eleną a Tsi-Tsunggą do niczego nie doszło.

Miranda nie była do tego stopnia niemądra, by nie zdawać sobie sprawy, co budzi taki niepokój zarówno w jej ciele, jak i w duszy. Czy Indra nie nazwała Tsi istotą zmysłowości? Och, dlaczego nie słuchała jej uważnie?

Teraz także wyczuwała siłę przyciągającą ją do niego, pragnienie, by przysunąć się bliżej...

Usiadła gwałtownie.

- Moje ubranie już wyschło. I w domu zastanawiają się pewnie, co się ze mną stało.

Tsi poderwał się, troskliwy jak zawsze.

- Daj mi znać, kiedy będziesz potrzebowała mojej pomocy, zawsze jestem blisko ciebie. Naprawdę? To zabrzmiało trochę niepokojąco.

Nagły impuls zmusił ją, by mu się zwierzyć.

- Tsi-Tsungga, mam taki pomysł, żeby zanieść światło i pomóc nieszczęsnym mieszkańcom Ciemności, co ty o tym sądzisz?

Tsi przerażony ujął dziewczynę za ręce i zajął jej głęboko w oczy.

- Nie wolno ci nawet o tym myśleć, Mirando. Nie chcę cię stracić, moja leśna przyjaciółko!

Bardzo nieszczercze zapewniła go, że nigdy by się nie porwała na coś tak niemądrego. Zaraz też się pożegnali, bo Miranda chciała wrócić do domu sama. Pragnęła przed spotkaniem z innymi ludźmi pozbyć się tej gorączki krwi.

Musi przygotować się do wyprawy.

Miranda... Czy to ładne imię? Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Większość dzieci i młodych ludzi nie lubi swoich imion, z Mirandą natomiast nigdy tak nie było, ale też i nie chwaliła się swoim imieniem. Nagle wydało jej się naprawdę ładne i stosowne.

Nareszcie, nareszcie uznała, że nadeszła odpowiednia chwila. Zaopatrzona w swój skarb, słońce, i liczne drobne słoneczka z latarek i latarenek, w duży nóż i najważniejsze: w pistolet laserowy, który dość bezczelnie pożyczyła sobie od ojca, w jedzenie i kilka aparacików Madragów wyruszyła na swą szaleńczą wyprawę. Gdyby była większą realistką i choć trochę mniejszą idealistką, nigdy by się na to nie poważyła. Ale Miranda była szczególną osobą, zdecydowaną i odważną, żeby nie powiedzieć zuchwałą.

4

Panowała osobliwa, szara niczym zmierzch noc, gdy Miranda przekradła się przez przedmieścia Sagi do lasu. Cały kraj spał. Wyraźnie teraz widać różnicę między dniem a nocą, pomyślała, wyczuwając pod stopami miękkie leśne podszycie. W przytłumionym świetle liście w Srebrzystym Lesie wyglądały naprawdę na srebrne, a nie złociste jak w dziennym blasku słońca.

Nie wiedziała, jak jest ze spaniem w mieście nieprzystosowanych, lecz też wcale ją to nie obchodziło. Ostatnio wiele mówiono o wielkich czystkach i przebudowie w mrocznym mieście, a także o zamknięciu niektórych podziemnych dzielnic. Cierpliwość Strażników wobec mieszkańców miasta nieprzystosowanych w końcu się wyczerpała.

Burmistrz podobno ustąpił ze swej funkcji i wraz z córką i szwagierką przeniósł się na powrót do stolicy. Losy jego żony znali tylko Strażnicy. Szefa policji umieszczono w klinice, bo stan jego zdrowia okazał się naprawdę fatalny. A rewizor zaprzyjaźnił się z Heinrichem Reusem von Gera. Dobrze dla nich, pomyślała Miranda i zatrzymała się, żeby przepuścić mijającą ją rodzinę jeleni. Przez chwilę stała nieruchomo, napawając się widokiem szczęśliwych, spokojnych zwierząt.

Wszystko jednak, co dotyczyło miasta nieprzystosowanych, pozostawało dla niej odległe. Światem Mirandy była przyroda, to, co się na nią składało, oraz idea poprawy losu cierpiących.

Takich jednak w Królestwie Światła nie było wielu.

Dlatego właśnie postanowiła się wypuścić poza granice krainy.

Tam na pewno znajdzie kogoś potrzebującego jej pomocy.

Młodziutka Miranda nie wiedziała jeszcze, że pomoc narzucona komuś, nawet w dobrej wierze, może wywierać przeciwny skutek - potrafi ranić i bardziej irytować ludzi, niż im przynieść jakąkolwiek ulgę. A i zdarzyć się może, że ujawnią się najgorsze strony „cierpiących”.

Zrozumiała natomiast jedno: potwory czują wielki respekt przed samym murem. Prawdopodobnie nie mogły pojąć, co to jest, był wszak niewidzialny. Inaczej zachowały się tylko wtedy, kiedy Siska weszła do Królestwa Światła. Skoro jej się udało, mogły spróbować i one. Właśnie dlatego odważyły się zbliżyć. Zwykle jednak, jak zauważyła Miranda, obserwowały mur z odległości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów. Doszła do wniosku, że powinna wobec tego posuwać się tak długo, jak tylko będzie to możliwe, wzdłuż muru, aż znajdzie jakąś lukę w trasie wędrówek potworów-wartowników. Jeśli w ogóle taka luka istnieje, nie miała przecież żadnej pewności. Uważała jednak, że sprawdziła wszystko, co tylko mogła, nie budząc przy tym swymi pytaniami podejrzeń Strażników.

Miała przed sobą daleką drogę. Wcześniej ukryła gondolę po drugiej stronie lasu za Sągą, bała się uruchamiać pojazd w pobliżu miasta. Ucieszyła się, kiedy wreszcie do niego dotarła, marsz przez las i tak pochłonął sporo czasu.

Wyglądało na to, że żadne inne gondole nie krążą w powietrzu, włączyła więc silnik i uniosła się nad pograżoną w nocnej ciszy krainą, równie piękną jak za dnia, lecz bardziej teraz romantyczną.

Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, że Tsi-Tsungga tej nocy śpi w swoim domu, gdziekolwiek to jest. W dolinie elfów, jak przypuszczała. Nie potrzebowała teraz ani jego, ani jego pomocy, wiedziała, że starałby się przeszkodzić jej w wypełnieniu zadania, a tego za wszelką cenę chciała uniknąć.

Sunąc w powietrzu, białawo przejrzystym, a nie jak za dnia bursztynowym, znów powróciła myślą do odzyskanego brata. Spotkała go zaledwie kilkakrotnie, wiedziała jednak, że Filip często odwiedza Gabriela, ich ojca. W imieniu ojca cieszyła się z tych wizyt, przynajmniej dopóki Gabriel godził się z faktem, że Filip jest tylko duchem.

Miranda bała się jedynie, że Gabriel poprosi Marca o coś więcej, o to, by chłopiec stał się prawdziwy, żywy.

Zdaniem Mirandy różnica nie była taka istotna. Zdarzało jej się przecież, chociaż musiała przyznać, że raczej rzadko, rozmawiać z przodkami Ludzi Lodu i duchami Móriego i w niczym się to nie różniło od rozmowy z jakimkolwiek żywym człowiekiem. Kiedyś nawet dotknęła kilku z nich i okazały się jak najbardziej konkretne. Miały tylko brzydki zwyczaj rozplływania się w nicość i czasami następowało to szokująco nieoczekiwanie. Potrafiły też wiele rzeczy, do których ludzkie ciało nie jest zdolne, na przykład przenikać przez ściany lub przebywać jednocześnie w kilku miejscach. Dość irytujące, zdaniem Mirandy. Uśmiechnęła się pod nosem. Po ponownym spotkaniu z Filipem pamięć podsuwała jej coraz więcej wspomnień z ich wspólnego dzieciństwa. Kiedyś na przykład próbowali zjechać rowerem ze skoczni narciarskiej, nie za dobrze się to skończyło. Innym razem Filip wczołgał się do drenu w rowie, utknął tam i strażacy musieli wysadzić kawałek cementowej rury. Dorosłym niezbyt się to podobało.

Albo... Miranda, unosząc się ponad zielonymi łąkami, roześmiała się głośno. Ta wieczna niechęć Filipa do mycia szyi i uszu i wspianiała aliteracyjna zabawa słowna Indry na ten temat: „Brudny brzydka brzydka babrze się błotem brudząc białe buty i butne bielinki”. Indra zawsze lubiła bawić się słowami. Ocknęła się z myśli. Dotarła do lasu, w którym tak bardzo chciała się znaleźć.

Z drżącym sercem zbliżyła się do ukrytych w murze drzwi. Po drodze przez uśpione lasy i drzemiące wrzosowiska nie zauważyła śladu obecności Tsi-Tsunggi. Zorientowała się teraz, że opuściła gondolę stanowczo za wcześnie, mogła wylądować znacznie bliżej muru. Z drugiej jednak strony dostrzeżony w tym miejscu pojazd mógł wzbudzić czyjeś podejrzenia.

Chociaż, kto mógł tutaj zabłądzić w środku nocy, z dala od wszelkich zabudowań? Mimo wszystko odruchowo obejrzała się przez ramię, by nie zaskoczył jej żaden Strażnik, prowadzący jakiegoś nieszczęśnika, którego miał rzucić wilkom na pożarcie.

Gdyby chociaż ci biedacy rzeczywiście byli wilkami, być może jakoś by sobie poradziła. Lecz oni... Miranda widziała ich raz, i to wystarczyło. Nigdy więcej!

A jednak postanowiła tam iść.

Żeby ich ocalić?

Co też ona sobie wymyśliła?

Odwaga towarzysząca chęci dokonania bohaterskiego czynu nagle ją opuściła, prysnęła jak bańka mydlana.

Mój ty świecie, jęknęła. Na co ja się porywam?

Stała przez chwilę, przygryzając cztery paznokcie jednej dłoni, tylko na kciuk nie starczyło jej miejsca.

Wracam do domu, to przecież szaleństwo.

Wzięła się wreszcie w garść, kilkakrotnie głęboko odetchnęła i zebrała resztki odwagi.

Gdyby tylko nie była tak rozpaczliwie samotna. Akurat w tej chwili samotność wydała jej się ogromna niczym wszechświat.

Gdyby tylko ktoś jej towarzyszył! Nero?

Nie, nie Nero, jego życia nie wolno narażać. A Tsi nie poszedłby z nią, zatrzymywałby ją z całych sił.

Czarująca myśl... Machnięciem dłoni odpędziła ją od siebie.

Może ktoś silny? Nie tyle umięśniony jak Jaskari, lecz ktoś taki jak Móri. Dolgo czy Ram. albo...

Nie, nie mogła się nikomu zwierzyć, a już zwłaszcza Ramowi.

Musi poradzić sobie sama.

Poprawiła plecak. To wszystko, co do niego wepchnęła... Uśmiechnęła się sama do siebie. Nie wykorzysta nawet połowy zabranych rzeczy, jeśli w ogóle cokolwiek jej się przyda.

Już, nie może dłużej przeciągać czasu.

Przejęta stanęła przy murze. Jak to było? Żółty krzaczek. Tutaj, tu powinien być odcisk dłoni... O, tak, właśnie, przecież była tu już raz wcześniej i wszystko widziała, teraz jednak miała wrażenie, że napięcie i lęk oczyściły jej mózg z wszelkich informacji.

Zanim zaczęła, powtórzyła wszystko w myślach. Słowa - te wbiła sobie do głowy i... tak, kiedy ustaliła, gdzie szukać, dostrzegła kontury drzwi, i to dość wyraźnie. Nawet teraz, w nikłym świetle nocy.

W lesie panowała cisza, łagodny spokój. Srebrzyste listki ani drgnęły, na ciemnym, szmaragdowozielonym mchu delikatnie błyszcząły kropelki rosy, nie śpiewał żaden ptak, była naprawdę sama.

Nabrała powietrza w płuca. Teraz! Teraz albo nigdy.

Zauważyła, że dłoń, wyciągająca się w stronę muru, drży. Ostrożnie przyłożyła we właściwe miejsce rękę, która jednak nie wypełniła całego odcisku. Czy to źle?

Nic się nie wydarzyło, ale tak samo było, kiedy Strażnik przyłożył swoją dłoń. Odsunęła rękę i wymówiła podsłuchane dwa krótkie słowa. Przerazona drgnęła na dźwięk własnego głosu, strach falą gorąca zalał serce.

Pozostała ostatnia próba. Kontury drzwi. Wyjęła już reflektor rzucający wiązkę promieni laserowych i zrobiła teraz dokładnie tak, jak czynił to Strażnik. Pozwoliła, by strumień światła omiótł mur od dołu z prawej strony w górę i w dół z lewej strony.

Teraz mogła jedynie czekać.

Bezszelestnie drzwi się rozsunęły.

Miranda znieruchomiła, ale nie na długo. Bała się bowiem, że drzwi zamkną się same z siebie. W przyplýwie panicznego lęku uświadomiła sobie, że nie ustaliła, jak też ten mechanizm funkcjonuje od zewnątrz. Widziała przecież jedynie, jak drzwi otwierają się od środka, teraz nie miała jednak czasu na snucie domysłów, musiała działać.

Z sercem gdzieś w okolicach gardła weszła w Ciemność.

Starannie zamknęła wrota za sobą. Czy sprawdzić, w jaki sposób można wrócić?

Zamykanie od zewnątrz jakoś się udało. Nie, nie śmiała otwierać i zamykać drzwi bez potrzeby, jeszcze się zirytuja.

Cóż za absurdalny pomysł, drzwi obdarzone uczuciami? Ale Królestwu Światła nic nie było obce.

Poczuła teraz lekki chłód Królestwa Ciemności. Zauważyła mroczny blask. Wszystko było tu mniej lub bardziej cieniami. Musi do tego przywyknąć, na razie jednak nie było na to czasu, należało się przedostać przez świat potworów.

Wiedziona odruchem przykucnęła w zaroślach tuż przy murze. Miała świadomość, że porusza się bezszelestnie, ale przecież niczego nie można być pewnym. Wydało jej się, że wysoko, na wzniesieniu w paśmie wzgórz, widzi dwie postacie, sprawiały jednak wrażenie zbyt wysokich, by mogły to być bestie.

Wolno jej było przemieszczać się w pasie stu pięćdziesięciu metrów, tak jej powiedziano. No, nie wprost, nikt przecież się nie domyślał, że zamierza się zapuścić poza mur, po prostu dyskretnie się wypytała. Potwory nie zbliżały się do muru, na razie więc była względnie bezpieczna, względnie, bo przecież one są kompletnie nieobliczalne.

Miranda spróbowała rozejrzeć się w mroku, te dwa stworzenia na szczycie wzgórza...

Ona je widziała, wątpiła jednak, by potwory również mogły je zauważyć. Czyżby to ktoś z plemienia potrzebującego jej pomocy? Gdyby obrała sobie za cel dotarcie do tego punktu, którądy powinna iść?

Przeklęte potwory, mogły znajdować się wszędzie, podobno są bardzo czujne, tak powiadano. Przecież na własne uszy słyszała, jak dopadły Johna, ale on nie był tak przygotowany jak ona.

Nie mogła już tu dłużej siedzieć, rozboleła ją kolana.

Zaczęła się przesuwac cicho jak myszka. Oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do ciemności, niemal miała ochotę poprosić, żeby ktoś zapalił światło.

Ale kto miał to uczynić w tym ponurym mrocznym świecie? No tak, ona, ale...

Nie widziała wyraźnie, dwie postacie na górze ledwie rysowały się na tle nieba, ale co się kryło wśród cieni drzew?

Do uszu Mirandy nie docierał żaden dźwięk, lecz cisza mogła być zdradliwa. Powiadano, że wartownicy potworów widzą i słyszą wszystko.

Poruszała się wzdłuż muru, doszła bowiem do wniosku, że łatwiej jej będzie wspiąć się pod górę nieco dalej. Musiała ponadto liczyć się z tym, że najłatwiejsze przejścia są szczególnie strzeżone.

Potworom nie chodziło wszak tylko o to, by pilnować, kto wychodzi z Królestwa Światła, bardzo rzadko ktokolwiek je opuszczał. Ważniejsze raczej było strzec, aby żadne inne plemię nie dotarło do granic upragnionej krainy. Potwory zawładnęły terenem najbliższej Królestwa Światła i postanowiły go utrzymać.

Do takich wniosków doszła Miranda i trzeba przyznać, że jej przemyślenia nie były wcale niemądre. Tak właśnie bowiem przedstawiała się sytuacja.

Nareszcie oczy zaczęły się przyzwyczajać do marnego światła, odróżniała już nieco więcej szczegółów.

Na razie drogę miała wolną, ale też i nie oddaliła się zanadto od muru. Musi zapamiętać usytuowanie drzwi. Może powinienam zaznaczyć swoją drogę okruszkami chleba jak Jaś i Małgosia? pomyślała z uśmiechem. Sporo czasu zabrało jej rozejrzenie się po okolicy i zapamiętanie charakterystycznych punktów, ale na szczęście widziała teraz wyraźniej. Upewniwszy się, że już potrafi wrócić, ruszyła dalej.

Jedno było pewne: Z miejsca, w którym się znajdowała, nie mogła wspiąć się pod górę, chociaż stok był tu łagodny. Problem polegał na tym, że gdyby udało jej się przebyć zarośla, po dotarciu do skały stałaby się żywą tarczą strzelecką.

Nie, tędy też się nie da. Może spróbować jeszcze dalej?

Tam, gdzie od wzgórz będzie ją dzielić większa odległość. Wyglądało też na to, że czeka ją przejście przez i zagajnik. Ale teren cały czas się tu wznosi, to dobrze.

Pocieszona tą myślą, popęzła w wybranym kierunku, coraz bardziej oddalając się od drzwi w murze, które stanowiły jej ratunek.

Serce waliło jej mocno. Czy nie pomyliła się w swoich obliczeniach? Jeden nieprzemyślany ruch, a trafi prosto do spiżarni potworów!

Co za okropna myśl!

Na szczęście uprzedziła rodzinę, że wybiera się na dłuższą ekspedycję w poszukiwaniu rzadkich minerałów i może jej nie być przez kilka dni. Teraz rozumiała, że rzeczywiście jej wyprawa się przeciągnie. Odległości były tu większe, niż sobie wyobrażała.

Wkrótce po raz pierwszy miała zetknąć się z potworami.

- Ona wie, co robi - sucho zauważył Gondagil.
 - Nie jest taka głupia jak inni - pokiwał głową Haram. - Ale czego, do licha, chce?
 - To nie jest jedna z wygnanych. Nie towarzyszył jej żaden Strażnik, musiała wyjść dobrowolnie.
 - To prawda. Choć może się to wydawać bezsensowne, chyba rzeczywiście tak jest. Dawno już się zorientowali, że pod murem przekrada się istota płci żeńskiej. Ich oczy bowiem, przywykłe do ciemności, potrafiły zauważyć szczegóły: krótką sukienkę, lekkie kobiece ruchy.
 - Ciekawe, jak długo będzie sobie radzić? - powiedział Haram, uśmiechając się wyniośle.
 - Na razie nie wpadła w żadną pułapkę.
- Haram skierował wzrok w inne miejsce. Jeszcze dalej w kierunku, w którym posuwała się dziewczyna. Chociaż jego głos brzmiał na pozór spokojnie, dało się w nim usłyszeć skrywane podniecenie, gdy znów się odezwał:
- Nie, ona nie, ale ktoś inny zbliża się do pułapki tych bestii. Spójrz tylko. Gondagil zdrętwiał.
 - Jeden ze świętych, tutaj? Nie, ależ...
 - Nie można do tego dopuścić - dokończył za niego Haram.
 - Nie zdążymy, te przekłete pułapki leżą tuż przed nim. Co zrobimy? A dziewczyna? Co się z nią stanie?
 - Mniejsza o dziewczynę - syknął zaniepokojony Haram. - Święty jest ważniejszy, a i tak nie możemy mu pomóc.

Miranda przykucnęła za gęstymi krzakami i przyglądała się jamom w ziemi, które musiały być siedzibami potworów. W pobliżu siedział skulony wartownik, najwidoczniej zasnął. Dziewczyna zadrżała na jego widok, wystraszona. Wcześniej widziała podobnych mu w akcji.

Ostrożnie się wycofała.

Musi okrążyć osadę. To się da zrobić, chociaż będzie musiała na krótko wyjść na otwartą przestrzeń. Byle tylko wartownik się nie zbudził. Jeśli uda jej się dotrzeć do następnego krzaka, znajdzie się za jego plecami.

Miranda ostrożnie ruszyła do przodu. Cały jej problem polegał na tym, że nie widziała, czy na drodze, którą sobie wybrała, nie leżą jakieś gałązki, bała się, że stąpnie na którąś i złamie ją z trzaskiem. Wyglądało jednak na to, że rośnie tu miękki mech. Był nieco zdeптany, ale nic w tym dziwnego. Tak blisko siedzib potworów...

Nagle ciarki przeszły jej po plecach. Słyszała, że potwory potrafią zwietrzyć swoją zdobycz. Brzmiało to naprawdę strasznie. Miała wielką nadzieję, że śpiący wartownik nie wyczuje jej zapachu. Człowiek z Królestwa Światła musi wszak pachnieć zupełnie inaczej niż istoty żyjące w Ciemności.

Otwartą przestrzeń pokonała biegiem, lekko schylona. Dotarłszy do zarośli po drugiej stronie, odetchnęła z ulgą. Poczowała, że z napięcia robi jej się słabo.

Musiała się na chwilę położyć, żeby odpocząć, a potem wybrać dalszą drogę. I wtedy to usłyszała. To, co w Sadze dobiegało z daleka i wcale nie wydawało się aż tak groźne.

Tutaj ów straszny krzyk dotarł prosto do jej duszy. Dochodził z Gór Czarnych albo też z Gór Umarłych, czy jak kto chciał je nazwać. Używano różnych określeń.

Tak bliski i tak... przerażający.

Próbowała w mroku odróżnić zarysy gór, ale z dołu okazało się to niemożliwe. Może gdy wejdzie na tamto wzgórze?

Ale w jaki sposób, na miłość boską, zamierza tam się dostać? W tej puszczy siedziby bestii mogły znajdować się dosłownie wszędzie.

Nagle mocno zatęskniła za swym bezpiecznym światem. Czego ona tu szuka?

Prawdą jednak było, że znalazła się właśnie tutaj. I odpychająca wydała jej się myśl o powrocie i ponownym przejściu przez niewielką osadę.

Ruszyła, skradając się, dalej z nadzieją, że już niedługo będzie mogła rozprostować plecy i kolana. Ciało miała obolałe jak staruszka. Zostawiła osadę dość daleko za sobą, gdy nagle się zatrzymała. Wstrząśnięta, zapomniała nawet przykucnąć.

Zapatrzyła się w coś trudnego do uwierzenia.

Przed nią na niedużym wzgórzu stało zwierzę. Jego majestatyczna sylwetka rysowała się na tle ciemnego nieba. Zwierzę tak wielkie i wspaniałe, że miała ochotę się przed nim uniżenie skłonić.

- Megaceros giganteus, jeleń olbrzymi - szepnęła z podziwem.

Gatunek wymarły na ziemi przed tysiącami lat. Skamieniałe szczątki tego zwierzęcia znaleziono w torfowiskach Irlandii. Podobno rozpiętość jego rogów sięgała trzech i pół metra.

- Co najmniej - szepnęła Miranda dość głośno. Jej zachwyt nie miał granic.

Jeleń spoglądał na nią, ale nie sprawiał wrażenia ani trochę przestraszonego. Przez chwilę obserwowali się nawzajem, gdy nagle od strony osady dobiegł jakiś dźwięk.

Olbrzymi jeleń zastrzygł uszami, teraz bardziej czujny.

- A więc on tutaj żyje - szeptała dalej do siebie Miranda. - Nie boi się ludzi, a potworów?

Na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć. Wspaniałe zwierzę spojrzało na nią jeszcze raz, potem pochyliło głowę ozdobioną potężnym wieńcem i kontynuowało swą wędrówkę.

Miranda także ruszyła naprzód.

Nie uszła jednak daleko. Nagle usłyszała trzask gałęzi i ciężki łomot jednocześnie ze stłumionym rykiem.

Pułapka?

Miranda nie wahała się ani chwili. Pobiegła w tamtym kierunku i zaraz zobaczyła dół w ziemi, do którego wpadł jeleń. Tkwił tam, cały i zdrowy, lecz niezdolny wydostać się o własnych siłach.

Przekłete potwory, pomyślała Miranda.

Miała niewiele czasu, bestie mogły wszak pojawić się w każdej chwili. Wprawdzie wydawało się, że nie usłyszały upadku jelenia, ale kto wie?

Prędko, Mirando, myśl, poganiała samą siebie. W jaki sposób mogłabyś pomóc?

Pospiesznie odwiązała przymocowaną do plecaka linę. Czy utrzyma taki ciężar? Tak, to długa lina Strażników, którą pożyczyła od Joriego, zresztą nie pytając go o pozwolenie.

Dziewczyna starała się działać spokojnie i skutecznie. Panika w niczym by jej teraz nie pomogła. Spokój, tylko spokój. Przełożyć sznur za pień najbliższego drzewa, rośnie

trochę za daleko, ale nic na to nie poradzi. Przypuszczała, że jeleniowi należy tylko pomóc na początku, później sam sobie da radę. Dół nie był aż tak głęboki. Zwierzę stało nieruchomo, popatrzyła w nieskończenie piękne ślepie, pociemniałe teraz ze strachu. Nachyliła się i spróbowała obwiązać liną rogi. Nie udało jej się, okazały się zbyt rozłożyste. Przez cały czas szeptem zapewniała jelenia, że nie chce wyrządzić mu krzywdy, że wspólnymi siłami jakoś się im uda. Mijały kolejne minuty, dziewczyna zaczęła się bać. Na moment, żeby się zastanowić, przysiadła na krawędzi dołu.

Jednym końcem liny, która otaczała pień drzewa, Miranda obwiązała się w pasie, na drugim końcu zamierzała zrobić pętlę na podobieństwo lassa. Ale zarzucenie jej na rogi jelenia wydawało się niemożliwe.

Miranda odetchnęła głęboko.

- Muszę zejść na dół - szepnęła. - Pamiętaj, chcę tylko twojego dobra.

Jeleń mógł ją ubość albo zabić jednym kopnięciem, ale przecież trzeba go wydostać.

Nigdy do niczego nie była bardziej przekonana.

Gondagil i Haram ze swego posterunku obserwacyjnego widzieli, jak dziewczyna zeskakuje do ich świętego zwierzęcia.

- Oszalała - jęknął Haram.

- Chodź! - zawołał Gondagil. - Musimy zejść na dół, musimy uratować świętego.

Miranda stała w prymitywnym dole-pułapce. Ledwie się tu mieścili oboje. Ciało jelenia niemal całkowicie wypełniało jamę, z jego oczu bił szaleńczy strach.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze - powiedziała cichutko Miranda. - A nawet jeszcze lepiej.

Teoretycznie biorąc, mogła teraz obwiązać sznurem ciało zwierzęcia za przednimi nogami, choć z uwagi na wzrost jelenia przerzucenie liny przez jego ozdobiony rogami łeb i złapanie jej z drugiej strony pod brzuchem wcale nie było łatwe.

Coraz wyraźniej czuła ostry zapach przestraszonego zwierzęcia, widziała też jego olbrzymie kopyta. Miała nadzieję, że Megaceros zachowa spokój. Czy starczy jej odwagi, żeby wejść pod brzuch tak wielkiemu i silnemu dzikiemu stworzeniu?

Pierwsza próba nie wypadła pomyślnie, jeleni gwałtownie drgnął, kiedy chciała się pod niego wczołgać, i zaczął nerwowo przebierać nogami. Miranda niezgrabnie pogłaskała go po karku i poprosiła:

- Spokojnie, spokojnie. Pozwól mi tylko złapać koniec liny!

Jeleń zarzucił łbem, rogami trafił Mirandę w głowę, aż zobaczyła gwiazdy. Jęknęła, bliska płaczu z bólu.

Wreszcie jeleni na moment znieruchomiał i wtedy błyskawicznie przystąpiła do akcji.

Zanim zwierzę zdążyło zareagować, pochyliła się i związała linę.

- O tak, dobrze, teraz sobie poradzimy - szepnęła. - Cofnij się, będę ciągnąć.

Okazało się jednak, że jest pewien problem, a właściwie nie jeden, a trzy. Po pierwsze: jeleni był bardzo ciężki, po drugie: wystraszony, po trzecie zaś: dla Mirandy brakło miejsca na dole. Gdyby zwierzę próbowało się wydostać, dziewczyna zostałaby albo przyciśnięta do ściany, albo skopana na śmierć. No cóż, sytuacja bez wyjścia.

Prawdę powiedziawszy, Miranda nigdy dotąd tak bardzo nie bała się o swoje życie. Jeśli zwierzę wpadnie w panikę...

Wcisnęła się w ziemną ścianę jak tylko mogła, możliwie najdalej od budzących grozę rogów i niespokojnych kopyt. Na szczęście grunt był dość miękki i ustąpił trochę pod jej ciałem. Dzięki temu miała więcej miejsca.

A gdybym tak wskoczyła mu na grzbiet?

Szalona myśl, zapomnij o tym. W żaden sposób by mi się to nie udało, a nawet jeśli, to co dalej? Jak miałabym wydobyć jelenia, którego bym sama dosiadała?

Pozostawało tylko jedno wyjście: Musi wydostać się z dołu i potem ciągnąć z całej mocy. Jeżeli to w ogóle ma jakikolwiek sens. Trudno wszak powiedzieć, aby natura wyposażyła ją w siłę ciężarowca.

Miranda zaczęła już wspinać się ku górze, gdy spostrzegła, że zwierzę zareagowało. Jakby zrozumiało, co ona zamierza.

W pewnym momencie dziewczyna znalazła się niebezpiecznie blisko pyska jelenia.

Chyba te zwierzęta nie gryzą, a może?

Nagle jeleni uniósł przednie nogi.

- Nie kopnij mnie teraz! Muszę wejść do góry, pomóż mi!

Niestety, zsunęła się na dno dołu. Tylne kopyta o milimetry minęły jej ramię, gdy jeleni niespodziewanie potężnym susem wydostał się z pułapki.

Boże, co ja teraz zrobię, zastanawiała się Miranda. Jak zdołam stąd wyjść? I jak Megaceros uwolni się od liny? Ojej, co ja narobiłam?!

Nagle dostrzegła coś szybko przesuwającego się między jej rękami. To koniec liny, ten, którym sama się opasała i który teraz się rozwiązał. Dziewczyna w ostatniej sekundzie schwyciła zbawczą linę i ścisnęła ją tak mocno, jak gdyby była to sprawa życia i śmierci. Choć w istocie tak przecież było.

Ogromna siła przerzuciła ją przez krawędź dołu. Miranda mocno się uderzyła. Jeleni próbował uciec, ale zatrzymał się, gdy poczuł, że ciągnie jakiś ciężar. Wcześniej jeszcze Miranda wpadła na drzewo.

Wyobraziła sobie guza, jaki ani chybi pojawił się na jej głowie przy zetknięciu z pniem, i tamtego wcześniejszego, po spotkaniu z rogami jelenia.

Cały czas ścisnęła w ręku linę.

Trzymać ją czy puścić?

Przeważała troska o zwierzę. To cudownie piękne stworzenie, które na powierzchni Ziemi przestało już istnieć, będzie przedzierało się przez zarośla, ciągnąc za sobą długi sznur. Mogłoby się o coś zaczepić i... Przykro mi, potwory, że pozbawiam was obiadu na wiele dni, lecz Megaceros jest moim przyjacielem.

Nie chcąc myśleć o tym, jak bardzo jest poobijana, ostrożnie podpełzła bliżej. Mogła przynajmniej obciąć linę tak krótko, jak tylko się da.

Jak ona zresztą ją zawiązała? Nie mogła sobie przypomnieć, wszystko odbyło się tak szybko, niemal poza jej świadomością, w panice.

Wiedziała tylko, że węzeł musiał być trwały, skoro jeleni znalazł się na górze.

Zwierzę stało, spoglądając na nią. Strzygło uszami, ciało nerwowo mu drgało.

Najwyraźniej nie ufa kochanej Mirandzie, pomyślała dziewczyna. W każdej chwili może

się gdzieś czaić niebezpieczeństwo. Popuściła linę, by dodatkowo nie przestraszyć zwierzęcia.

I nagle pętla wokół brzucha jelenia nieoczekiwanie się poluzowała.

Niepojęte.

- Bardzo dobrze - szepnęła łagodnie, ale z lękiem, zrozumiała bowiem, do jak olbrzymiego zwierzęcia, ośmieliła się zbliżyć. W porównaniu z nim samiec łosia wydawałby się maleńki. - O, tak, spokojnie, powoli, może pętla zsunie ci się z ciała, nie napinaj jej żadnym gwałtownym ruchem.

Stała teraz prawie nieruchomo, jeszcze tylko trochę popuściła linę.

- Teraz idź, idź, ostrożnie.

Miranda nie śmiała się poruszyć. W mrocznym lesie i w krainie Ciemności panowała grobowa cisza.

Jeleń zrobił parę kroków.

W jej stronę.

- Niedobrze - szepnęła Miranda, przerażona ponowną bliskością ogromnego stworzenia. Teraz na wolności sprawiało wrażenie po dwakroć większego. - Źle robisz, oplątujesz sobie nogi, łapy czy kopyta, nie wiem, jak to się nazywa. Odejdź, tylko powoli!

Och, wpadam w histerię, naprawdę słowa nie są teraz ważne.

Megaceros stanął spokojnie, a potem zataczając piękny łuk rogami odwrócił się i ruszył w stronę wzgórz. Lina powoli zsunęła się z grzbietu pradawnego zwierzęcia i upadła na porośniętą mchem ziemię.

Miranda znów mogła zaczerpnąć powietrza. Oddychała ciężko jak po długim biegu, tak wielkiego doświadczyła napięcia.

Olbrzymi jeleń zniknął.

Nagle przypomniała sobie swoją misję, swoją własną sytuację. Wciąż znajdowała się w krainie potworów i chyba tylko za sprawą wyjątkowego zrzędzenia losu bestie nie zorientowały się, co się dzieje na ich terytorium, w pobliżu ich siedzib.

Jeleń był teraz bezpieczny. Miranda zobaczyła go jeszcze raz, gdy przechodził w stronę wyżej położonych partii gór. Prawdopodobnie tam właśnie miał swój dom.

Zwinąwszy linę, Miranda pogładziła ją z czułym uśmiechem. Chciała podziękować za to, że tej nocy uratowała życie.

6

Haram i Gondagil zatrzymali się w połowie drogi w dół. Z narastającym zdumieniem obserwowali całą scenę ze skalnej półki.

- Nie wierzę własnym oczom - oświadczył Haram.

- Ja też nie, ale ona naprawdę to zrobiła! Wyciągnęła świętego ze śmiertelnej pułapki!

Lud Timona z Krainy Mgieł musiał polować, aby przeżyć. Nigdy jednak nie urządzano łowów na święte zwierzę, olbrzymiego jelenia. Ujrzenie tego zwierzęcia przynosiło szczęście, jelenie w lasach Timona były więc najzupełniej bezpieczne. Żaden z dwóch mężczyzn nie mógł pojąć, jak doszło do tego, że wielki byk zapuścił się na terytorium ich najgorszego wroga. Potwory oznaczały dla jeleni śmierć, zwierzęta dobrze o tym wiedziały i nigdy tam nie chodziły. W dodatku dorosły doświadczony byk?

Niepojęte!

- To nie jest ta sama dziewczyna, która nie tak dawno przedostała się do Światła - stwierdził Gondagil.

- Tak, ta jest większa, starsza. Ma też inne włosy.

Gondagil nie chciał powiedzieć tego na głos, niewysoko bowiem cenił kobiety, które znał, lecz zaczął się zastanawiać, czy nie istnieje przypadkiem grupa dziewcząt obdarzonych szczególną łaską, może wręcz bogiń? Najpierw ta mała, którą w tak cudowny sposób uratowano i zabrano do Królestwa Światła. A teraz ta, która zdawała się niczego nie bać. Wyciągnęła nawet olbrzymie zwierzę z głębokiego dołu. Doprawdy, to graniczyło z cudem.

Obserwowali jelenia wspinającego się na pobliskie wzgórze. Dziewczyna wciąż znajdowała się na dole. Haram i Gondagil widzieli, że dalszą drogę odcinają jej siedziby potworów porzucane po zaroślach.

- No cóż, to jej kłopot - cierpko stwierdził Haram. Święty został ocalony, chodźmy stąd, zanim bestie nas zwęszą. Zeszliśmy za nisko.

Miranda nie bardzo mogła się zorientować, gdzie jest. Las przesłaniał jej widok i nie widziała drogi, którą sobie obrała. Kiedy spotkała ją przygoda z jeleniem, kierowała się ku pasmu wzgórz widocznemu z oddali, lecz teraz straciła je z oczu.

Czy miała wrócić w stronę muru, żeby mieć lepszą widoczność? Nie, to za daleko, nie chciała się cofać. No cóż, tak czy inaczej powinna chyba poruszać się w prawo, według planu.

Nerwy nie chciały się uspokoić. Wciąż była radośnie podniecona przygodą z olbrzymim jeleniem. Palce jej drżały, serce waliło mocno i szybko. Będzie miała o czym opowiadać Idrze i innym. Przede wszystkim Tsi. On zrozumie jej szacunek i podziw dla kolosalnego zwierzęcia.

Indra natomiast lubi we wszystkim znaleźć powód do śmiechu, Miranda będzie musiała opowiedzieć jej o swych przejściach na wesoło, o tym idiotycznym pomysle zeskoczenia do dołu, wypełnionego całkowicie przez potężne stworzenie, podkreślić swój brak rozsądku, kiedy stała na dole i wyobrażała sobie, że ona nie cięższa niż kogut... Nie, to złe wyrażenie, Mirandzie często myliły się porównania. Ona, nie cięższa niż kogucie pióro, w każdym razie niż piórko, chciała stanowić przeciwwagę dla kolosa z zamierzchłych czasów. „A teraz w górę, hop, hop, hop”.

Nie, nie miała ochoty żartować z niezwykłego wydarzenia, przeżycie było niesamowicie piękne, intensywne i dramatyczne. Nigdy przedtem nie znalazła się tak blisko dzikiego zwierzęcia, w dodatku zwierzęcia tak szczególnego.

Miranda poczuła, jak ze wzruszenia ścisła ją w gardle.

Zatrzymała się gwałtownie.

Potwory? Słyszała je za plecami, dobiegły ją podniecone głosy.

Doszła do wniosku, że najwidoczniej odnalazły uszkodzoną pułapkę. Na pewno wyczuły zapach wielkiego zwierzęcia, bo przecież Megaceros pachniał bardzo ostro. Może zwierzyły także człowieka, ją?

Musi się stąd jak najszybciej oddalić. Niewykluczone, że pójda jej śladem.

Ruszyła biegiem. Trudno było przy tym zachować należyłą ostrożność i już po krótkiej chwili wpadła na jedną z siedzib potworów.

Upłynął moment, zanim bestie zorientowały się, co się i stało. Wokół zrzuconego na kupę pożywienia zebrało się ich zaledwie kilka. Nic nie rozumiejąc wpatrywały się w dziewczynę małymi czarnymi oczkami, ledwie widocznymi w twarzach ciemnych od ziemi i brudu. Wreszcie dwie bestie wydały z siebie przeraźliwy okrzyk i na placyku zaroilo się od istot, które wypełzły z ziemianek.

Ale Miranda już rzuciła się do ucieczki. Zorientowała się, że potwory podjęły pościg za nią, pędziła więc jak szalona przez zarośla. Usłyszała, że i w innej osadzie, bardziej na lewo, podniósł się rwetes.

Od strony Gór Umarłych znów dobiegło zawodzenie.

Przepadłam, pomyślała Miranda przerażona. Co robić, długo nie wytrzymam takiego tempa. Mogę zresztą natrafić na kolejną osadę i...

W panice rozglądała się dokoła. Wspiąć się na tamto drzewo? Niewiele mogło dać jej ochrony, nie, raczej nie. Schować się w jakiejś jamie? Te ohydne małe monstra na pewno ją tam wywęszą.

Ach, po co ja to wszystko wymyśliłam? Ojciec, jak on przyjmie jej zniknięcie? Będzie jej szukał do końca życia, a nikomu nie przyjdzie do głowy, że zdołała przedostać się przez mur. Nikt się nie dowie, co ją spotkało.

Kolejny wrzask, z innej osady znajdującej się tuż przed nią. Ratunku, co robić? Gdzie uciekać?

Nagle spostrzegła coś, co sprawiło, że zaparło jej dech w piersiach.

Jeleń. Między drzewami nieco z lewej strony dostrzegła olbrzymi wieniec rogów. Zwierzę odwróciło głowę i patrzyło na nią, a gdy zorientowało się, że Miranda je zauważyła, zaczęło się oddalać.

- Pokazuje mi drogę - szepnęła zaskoczona dziewczyna. - Zwierzę pokazuje drogę człowiekowi, narażając własne życie. Dlaczego? Jak to w ogóle możliwe?

Dopiero teraz Miranda rozumiała to, co powinna była uświadomić sobie już dawno: olbrzymi jeleń rozumiał, co mówiła. Zabrała wszak ze sobą aparaciki Madragów, nie tylko ten, dzięki któremu mogła rozumieć mowę innych, ale i ten udoskonalony, sprawiający, że rozmówca rozumiał to, co ona mówi, sam nie mając żadnego przyrządu.

Gdyby się skupiła, mogłaby w ten sposób odczytać myśli Megacerosa. Niestety, jej kurzy mózdzek poddał się emocjom.

Wielkie nieba, jak daleko może sięgać moja głupota, łajała się w myśli. Mogłabym znacznie lepiej poradzić sobie z tą sytuacją.

Właściwie jednak i tak dobrze sobie dałam radę, myślała dalej, teraz już bardziej z siebie zadowolona. Razem nam się udało, tobie i mnie, mój czworonożny tytanie.

To prawda, choć wszystko powiodło się właściwie dzięki jeleniowi. Zwierzę zrozumiało wszak jej intencje, pojęło, że Miranda jest dobrą istotą, która chce mu pomóc. Teraz z całą pewnością ona zawdzięczała zwierzęciu ratunek.

Wciąż jeszcze dochodziły głosy ścigających ją bestii, miała jednak wrażenie, że się oddalają. Potwory straciły jej ślad, chociaż tak nieostrożnie wpadła wprost na ich

siedziby. Druga grupa w ogóle jej nie widziała, a jeleni znajdował się tak daleko w przodzie, że na pewno go nie zauważyły.

Miranda była już śmiertelnie zmęczona, na szczęście jednak przeraźliwe wrzaski potworów cichły. Najwidoczniej bestie, szukając jej, popędziły w złym kierunku.

Tam, nareszcie zobaczyła zbocza wzgórz! Okazało się, że są bardzo niedaleko, właściwie już zaczęła się na nie wspinać, czuła to w nogach i w płucach.

Jeleń szedł przed nią, zatrzymywał się i czekał, kiedy było to konieczne, ale cały czas wskazywał bezpieczną drogę. Miranda nie mogła pojąć, dlaczego wielkie zwierzę zaledwie godzinę wcześniej dało się złapać w pułapkę.

Dziwiło to także Harama i Gondagila. To bardzo niepodobne do świętych, które nigdy nie zapuszczały się w krainę potworów i nigdy nie dawały się złapać w żadne sidła.

W powrotnej drodze na swoje wzgórza mężczyźni zatrzymali się, by spojrzeć jeszcze raz w przerażającą dolinę. I wówczas ujrzeli coś, co nie mogło im się pomieścić w głowie.

Święte zwierzę starało się pomóc dziewczynie w ucieczce przed groźnymi wrogami.

- Nie wierzę - powtarzał Haram. - Nie wierzę własnym oczom, to zwidy, to nie może być prawda.

- To jest prawda - krótko rzekł Gondagil. - Musi istnieć jakiś kontakt między świętym a tą dziewczyną. Ale zrozumieć tego nie potrafię.

Widzieli ją teraz dużo wyraźniej, szła pod górę, lecz nie w ich stronę, jeleni bowiem obrał inny kierunek, zmierzał ku sąsiedniemu wzgórz. Odróżniali nawet kolor jej włosów.

- Jasnowłosa? - z niedowierzaniem powiedział Gondagil. - Prawie tak jak my.

- Ma bardziej czerwone włosy - poprawił go Haram.

Nie podobało mu się, że porównuje się go do nic nie znaczącej kobiety. Sam przed sobą jednak musiał przyznać, że dziewczyna wygląda na silną i dość przy tym apetyczną.

Mógłby się z nią zabawić, gdyby przyszła mu ochota. Poza tym w ogóle się nie liczyła.

- Bestie straciły ślad - oznajmił Gondagil. - Ale boję się, że ona je ściągnie tu na górę, a tego wcale nam nie potrzeba.

- Może posłać jej strzałę - zaproponował Haram.

Ale Gondagil się wahał.

- Sądzę, że świętemu by się to nie podobało.

- No tak, to prawda, narażał dla niej własne życie. Dobrze, przyjrzymy się jej. Zanim dotrze do naszej wioski. Nie chcę jej tam widzieć.

- Masz rację. Chodź, odetniemy im drogę. Przepuścimy świętego, a dziewczynę złapiemy.

Haram skinął głową. Wyrażenie „złapiemy dziewczynę” rozumiał inaczej niż jego towarzysz.

Mirandę zatrzymało przeciągłe wycie dochodzące od strony Gór Czarnych. Przystanęła przerażona.

Haram wykrzywił twarz w diabelskim uśmiechu, długa blizna sprawiała, że wyglądał naprawdę strasznie.

- Boi się tych żalonych krzyków - stwierdził z zadowoleniem.

- To prawda - krótko potwierdził Gondagil.

Żaden z nich nie przyznał głośno, że i w nich zawodzenie budziło lęk.

Mężczyźni pospieszyli do miejsca, gdzie dwa pasma wzgórz schodziły się ze sobą. Zobaczyli jelenia, który zwietrzył ich i przystanął. Święte stworzenia wiedziały jednak, że ze strony mieszkańców Doliny Mgieł nie ma ją się czego obawiać. Zwierzę znów zaczęło iść, chociaż jakby się wahało.

Miranda spostrzegła mężczyzn dopiero wówczas, gdy się na nią rzucili. W normalnej sytuacji natychmiast zgładziliby intruza bez litości, ta dziewczyna jednak wzbudziła ich ciekawość. Postanowili więc, że pozwolą jej żyć, dopóki nie dowiedzą się o niej czegoś więcej. Później zaś... No tak, co zrobić z młodą kobietą, której nie pragnęli w swojej krainie?

Miranda całkiem straciła panowanie nad sobą i uderzyła w krzyk, gdy dwie rosłe, dziko wyglądające istoty złapały ją za ręce. Z początku sądziła, że wpadła prosto w szpony potworów, ci tu jednak byli znacznie wyżsi, jaśniejsi i o wiele bardziej przypominali ludzi. Właściwie byli ludźmi.

U siłowała się wyrwać, lecz okazali się od niej znacznie silniejsi.

- Puśćcie mnie, do licha, przecież ja chcę waszego dobra - prychnęła. - Przybyłam tutaj po to, by wam pomóc.

Zdumienie mężczyzn nie miało granic. Jeden z nich, bardzo przystojny pomimo szpecącej twarz długiej blizny, przyznał zmieszany:

- Nie rozumiem, co ona mówi, a jednak rozumiem.

- Doskonale pomyślane i wyrażone - cierpko zauważyła Miranda. - Musimy odejść stąd jak najprędzej, gonią mnie potwory. I proszę, nie strzelajcie do olbrzymiego jelenia, on jest taki piękny.

Drugi z mężczyzn przyglądał się jej osłupiały. Choć nie był tak przystojny jak jego towarzysz i wyglądał bardziej dziko, z jakiegoś powodu Miranda poczuła większe zaufanie właśnie do niego.

- Nie strzelamy do świętych - oznajmił krótko.

- Świetnie - ucieszyła się Miranda. - Puśćcie mnie, i taki nie ucieknę.

- Ona rozumie naszą mowę, Haramie - zwrócił się dziki do mężczyzny z blizną.

- Właściwie nie - odparła Miranda. - Ale mam środki pomocnicze. Czy nie moglibyśmy się trochę pospieszyć i odejść stąd? Słyszę ich tam w dole.

Mężczyźni zerknęli ku zaroślom i pokiwali głowami.

- Chodź, Gondagilu - ponaglił Haram. - Trzeba się spieszyć.

Człowiek o imieniu Gondagil, mocno trzymając dziewczynę za ramię, dość brutalnie pociągnął ją pod górę. Miranda, zmęczona wspinaczką po stromym zboczu, miała problemy z dotrzymaniem mu kroku, mężczyzna więc musiał ją niemal wlec za sobą. Dość upokarzające, zwłaszcza dla kogoś, kto przybywa w tak szczytnej misji.

Najważniejsze jednak teraz to dostać się w bezpieczne miejsce.

Megaceros wciąż znajdował się w polu widzenia ludzi. Sprawiał wrażenie, jakby obserwował ich poczynania.

Po pokonaniu bardzo stromego odcinka Miranda musiała się poddać.

- Ja... nie mam już siły - wysapała. - Tu chyba jesteśmy już bezpieczni.

Haram rozejrzał się dokoła i ruchem ręki wskazał grupę skał z prawej strony. Gondagil niemal zaciągnął tam Mirandę, której brakowało już tchu.

Ukryli się wśród kamieni.

- Tak wysoko nie ośmiela się wejść - stwierdził Gondagil. Miał osobliwy, głęboki i chrapliwy głos. - Teraz chcemy dowiedzieć się czegoś więcej o tobie. O jakich to pomocniczych środkach mówiłaś?

Miranda pokazała im aparaciki przyczepione do ręki. Haram natychmiast po nie sięgnął, ale odepchnęła jego dłoń.

- Dostaniesz taki sam, nie musisz kraść.

- My nie kradniemy - oświadczył Gondagil z godnością.

- Doskonale, proszę... Możecie je ode mnie dostać, będzie nam się rozmawiało jeszcze lepiej.

Z kieszeni plecaka wyjęła cztery aparaciki, dała każdemu po dwa, wyjaśniając, do czego służą. Jeden, by rozumieć innych, drugi, by inni rozumieli.

Po chwili wahania mężczyźni przyłożyli aparaciki do skóry. Natychmiast same się umocowały, Miranda pokazała, jak można je odczepić.

- Nigdy - oznajmił Haram.

Miranda uśmiechnęła się, a i na twarzach mężczyzn pojawiło się coś na kształt surowego uśmiechu.

- Kim jesteś? - spytał Gondagil.

Już otworzyła usta, by powiedzieć prawdę, lecz powstrzymała się w ostatniej chwili.

- Najpierw chciałabym coś ustalić. Wasz wygląd i język wydaje mi się znajomy, wasza mowa przypomina trochę islandzki, prawda?

- Nie całkiem - odparł Haram. - Nasi przodkowie byli Waregami.

- Ach, wobec tego rozumiem - z namysłem powiedziała Miranda.

Waregowie, od rosyjskiego słowa „wariagi”, wikingowie ze wschodniego odgałęzienia, posługiwali się językiem staronordyckim, w każdym razie jakąś jego odmianą.

- A więc wasi przodkowie musieli tutaj przybyć około roku tysięcznego.

- To mogłoby się zgadzać. Timon Wielki pochodził z Gardarike. Był bardzo dumny z tego, że jest jednym z jasnowłosych Waregów, przybyłych przez morze do Gardarike.

Gardarike, wikińska nazwa Rusi.

Miranda uśmiechnęła się promiennie.

- Wobec tego jesteśmy niemal spokrewnieni. Ja pochodzę z Norwegii, a wy kiedyś musieliście być Szwedami.

- Sveami - poprawił ją.

- Zgadza się. No cóż, na pewno ciekawi was, kim jestem. Po części już wam odpowiedziałam, wraz ze sporą grupą mieszkańców Północy stosunkowo niedawno przybyłam do Królestwa Światła.

Haram przycisnął ją tak mocno do skalnej ściany, przy której siedziała, że Miranda przestraszyła się, że coś w plecaku się uszkodzi.

- W jaki sposób? Jak dostałaś się do jasnej krainy?

- Ostrożnie - przestrzegła go. - Pamiętajcie, przywędrowałam tutaj dla was. Nie wiem, w jaki sposób dotarliśmy do Królestwa Światła. Pogrążono nas w głębokim śnie, a gdy się zbudziliśmy, już tam byliśmy.

Mężczyźni popatrzyli na siebie z rezygnacją. Miranda zrozumiała tęsknotę, która oświała ich życiem. Pragnęli światła, bardziej godnego życia.

Nosili ubrania ze skóry, pozszywanej cienkimi rzemykami. Uzbrojenie mieli takie jak wikingowie, miecz, luk i strzały. Na pierwszy rzut oka sprawiali wrażenie bardzo prymitywnych, lecz dawało się dostrzec jakąś kulturę, przynajmniej u Gondagila. Haram wyglądał na bardziej brutalnego.

Aby rozładować nieco napięcie, powiedziała wesoło:

- Pewnie chcielibyście wiedzieć o mnie coś więcej. Mam na imię Miranda i wywodzę się z niezwyklego rodu, którego przedstawiciele potrafili niegdyś czarować i ratować życie. Na czarach się nie znam, ale moja wyprawa jest wyprawą ratunkową. W jaki sposób się zakończy, nie wie nikt, a już najmniej ja sama. Ach, moja głowa! Ucierpiała od zetknięcia z rogami i z drzewem - roześmiała się nieco niepewnie na wspomnienie spotkania z olbrzymim jeleniem i delikatnie dotknęła bolących guzów.

- Jedno życie tej nocy w każdym razie ocalałaś - stwierdził Gondagil swym twardym głosem. - Jak ci się to udało? Święty mógł cię kopnąć albo przebić rogami. W jednej chwili mogłaś być martwa.

- Z początku sama nie pojmowałam szczęścia, jakie mi towarzyszy. A to przecież proste. Jeleń: rozumiał, co mówię.

Popatrzyli na nią z niedowierzaniem.

- Dzięki tym klocek?

Haram wskazał na aparaciki Madragów.

- Właśnie tak.

Ich twarze rozjaśniały się z wolna w miarę, jak docierało do nich, że mogą porozumieć się ze zwierzętami. Ale Miranda nagle zawołała:

- Uważajcie!

Mężczyźni nie zauważyli wielkiej grupy potworów, która ośmieliła się wdrzeć na terytorium wrogów i teraz od tyłu rzuciła się do ataku.

Gondagil wyciągnął swój miecz, a Haram długi, ostry nóż. Miranda poderwała się na nogi i gorączkowo szukała w plecaku laserowego pistoletu Gabriela. Przewaga potworów była naprawdę znaczna, Gondagil i Haram jak mogli bronili się przed ich kijami, dzidami i wściekłymi ukąszeniami.

Miranda zacisnęła oczy i strzeliła. Wiązka niebieskiego światła z prędkością błyskawicy śmiertelnie ugodziła jedną z bestii w pierś.

Walka w jednej chwili ustała. Wszyscy wpatrywali się w Mirandę i jej broń, ona sama znieruchomiła jak sparaliżowana. Nie chciała nikogo zabijać, ale cóż, już się stało...

Straszne uczucie! Dziewczyna załkała i już miała wypuścić pistolet z ręki, gdy zorientowała się, jaki efekt wywarło użycie broni, i zrozumiała, co by się stało, gdyby ją oddała.

Potwory z wrzaskiem zaczęły uciekać w dół zbocza. Potykały się o siebie, przerażone pragnęły jak najszybciej oddalić się od źródła strachu, którego nie były w stanie pojąć.

Ale Haram z krzykiem rzucił się na pistolet.

Miranda zareagowała z szybkością, która ją samą zaskoczyła. Skierowała broń w jego stronę i zawołała:

- Najmniejszy ruch, a strzelę!

Haram zatrzymał się. Zauważyła jednak, że Gondagil próbuje zejść ją od tyłu. Krzyknęła więc:

- Ciebie także to dotyczy, stój tam, gdzie jesteś!

Starła się trzymać broń pewnie, przycisnęła mocno łokcie do boków, żeby nie zdradzić, jak bardzo trzęsą jej się ręce.

Wśród skał zapanowała grobowa cisza. Tylko z oddali, gdzieś z dołu, dobiegały wrzaski potworów.

Olbrzymi jeleń ze zdumieniem obserwował ludzi ze swego bezpiecznego miejsca.

Zaniepokojony zastrzygł uszami, gotów do ucieczki na wypadek niebezpieczeństwa.

Ale się nie oddalał.

7

Nigdy się nie rozstawaj z pistoletem laserowym, Mirando, upominała samą siebie. On daje ci przewagę, dopóki go masz, jesteś panią sytuacji.

Wcale o tym nie myślała, kiedy w domu pakowała go do plecaka, zabrała go, by użyć w razie najwyższej konieczności. Oczywiście w chwili starcia z potworami taki moment właśnie nastąpił, nie przypuszczała jednak, że przeklęta broń tak bardzo zaważy na rozwoju sytuacji. Przecież właśnie tego tak nienawidziła we wszelkich wojnach. Im bardziej niszcząca broń, tym większą dawała przewagę.

A teraz i ją okoliczności zmusiły do użycia pistoletu!

Miała ochotę odrzucić go gdzieś daleko, ale tego zrobić nie mogła, szczególnie teraz, gdy tak wielu już widziało broń i tak bardzo jej pożądało.

Trwała nieruchomo, tylko jej spojrzenie wędrowało od jednego mężczyzny do drugiego.

Jak sobie z tym poradzić, co zrobić? Prędzej czy później i tak ją rozbroją.

Mózg nie chciał działać racjonalnie, sytuacja wydawała się naprawdę bez wyjścia.

Miranda zmusiła się do swobodnego zachowania, wciąż jednak nie wypuszczała pistoletu z ręki.

- Nie mamy czasu na wrogość - oświadczyła spokojnie. - Wiele spraw powinniśmy omówić, nie mogę zostać długo...

- W jaki sposób dostaniesz się z powrotem za mur? - ostrym głosem spytał Gondagil.

- Tego... nie mogę powiedzieć. Zajmijmy się problemami w takiej kolejności, w jakiej na to zasługują. Po pierwsze, czy nie powinniśmy się rozejrzeć za jakimś bezpieczniejszym miejscem?

- One nie wrócą. Ta kusza czy co to jest wystraszyła je do szaleństwa.

- Pistolet - poprawiła go Miranda. - Pistolet laserowy. Wierście mi, świat bardzo posunął się naprzód, jeśli chodzi o broń. Swoimi zaawansowanymi środkami walki zewnętrzny świat niszczy sam siebie.

- Wiele bym oddał, żeby mieć coś takiego - wyznał Haram.

Miranda zrozumiała, że musi uciec się do kłamstwa.

- Na nic się nie zda zabranie mi pistoletu. Został zabezpieczony w taki sposób, że tylko ja mogę go używać. W obcych rękach wybuchnie sam z siebie i zabije tego, kto go trzyma. Ach, co za oszustwo, lecz zdawała sobie sprawę, że jest konieczne. Rośli mężczyźni bez trudu mogliby jej odebrać broń, wystarczy moment nieuwagi. A gdyby zasnęła... Nie miała jednak zamiaru nocować w Królestwie Ciemności, spodziewała się, że dużo wcześniej wróci do domu.

Waregowie widać potraktowali jej słowa serio. Z powagą pokiwali głowami. Miranda powróciła do wyliczania problemów, które czekają na rozwiązanie.

- Sądzę, że powinniśmy się zastanowić, dlaczego ten olbrzymi jeleni wciąż tu stoi. To tylko jedna z wielu spraw, które chciałabym z wami omówić, ale reszta na razie może poczekać. Zgadza się ze mną?

Haram wykrzywił usta z pogardą.

- A w jaki sposób zamierzasz wypytać świętego? On się nigdy nie zbliża do ludzi.

- Przecież was też się nie boi. Nazywacie go świętym, a to znaczy, że z waszej strony nie musi się niczego obawiać, czyż nie tak?

- To prawda - przyznał Haram. - Chcesz powiedzieć, że te klocki...?

- Zawsze warto spróbować.

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

- A może byś tak odłożyła ten... pistolet - zaproponował Haram.

- Owszem, mogę to zrobić, ale pamiętajcie, że jeśli go dotkniecie, źle się to dla was skończy.

Wolno podeszli do jelenia, który czekał na nich na łące wysoko na górskim płaskowyżu.

Roztaczał się stąd widok na krainę poza wzgórzami. Miranda westchnęła zachwycona.

- Ach, jak tu pięknie! I ta mgła w dolinach - westchnęła. - W Królestwie Światła rzadko widzimy mgłę.

- Za to macie światło - odparł zaczepnie Gondagil.

- To prawda, ta ciemność jest niesłychanie irytująca - przyznała Miranda. - Z początku w ogóle nic nie widziałam, ale wzrok się przyzwyczaja.

Z mgły wystawały czubki wysokich drzew. W oddali widać było góry. Miranda przystanęła.

- Czy to wasz kraj?

- Tak, to kraj Timona w Dolinie Mgieł - odpowiedział Gondagil.

Miranda spojrzała w bok i dech zaparło jej w piersiach. W oddali niczym mroczne cienie wznosiły się Góry Czarne.

- Czy to stamtąd dobiegają te żalosne skargi? - spytała cicho.

- Tak - zwięźle odparł Gondagil.

Dziewczyna prędko odwróciła głowę.

Zbliżyli się już do jelenia, zwierzę wyglądało naprawdę majestatycznie, kiedy stało tak nieruchomo, zastanawiając się jakby, czy ma czekać, czy raczej uciekać.

- Chcemy ci pomóc - zawołała Miranda. - Jeśli potrzebujesz pomocy, to powiedz nam.

Gondagil uciszył Harama. Stanęli w milczeniu i czekali. Miranda poczuła, jak bardzo boli ją głowa.

- Jeleni w każdym razie nie potrafi odpowiedzieć - roześmiał się Haram.

- Nie mów tak - zaprotestowała Miranda. - Zwierzęta myślą obrazami.
 - Chyba jesteś naprawdę szalona - prychnął.
 - Nie potrafisz milczeć nawet przez chwilę - skarcił go zirytowany Gondagil.
 Znów zapadła cisza. Wstrzymali oddechy, kiedy jeleni postąpił o kilka kroków w ich stronę. Haram mimowolnie się cofnął.
 - Nawiązałam z nim kontakt - szepnęła Miranda.
 - Ja też - mruknął Gondagil. - Poproś, żeby zbliżył się jeszcze bardziej.
 Połączyli swe myśli, teraz pomagał także Haram.
 Olbrzymi jeleni gwałtownie poruszył łbem, ale zaraz się uspokoił i podszedł w ich stronę.
 - Jeśli zaatakuje, ja uciekam - uprzedził Haram.
 Pozostali dwoje milczeli, Gondagil tylko machnął ręką, jakby chciał uciszyć przyjaciela.
 - Widzę dwa zwierzęta - szepnął.
 - Ja także - powiedziała Miranda. - Łanię i cielaka. Zorientowałaś się, o co chodzi?
 - O tęsknotę.
 - Ja też tak myślę. On ich szukał gdzieś w krainie potworów.
 - Tak, w Dolinie Cieni. Dlatego tam poszedł i wpadł w jedną z ich pułapek.
 Miranda zwróciła się do jelenia cichym głosem:
 - Spróbujemy ci pomóc w ich odnalezieniu, pewien jesteś, że są tam na dole?
 Odpowiedź była wyraźna, nie, wcale nie był pewien, szukał już od dawna.
 - Podejdź bliżej - poprosiła Miranda. - Nie wyrządzimy ci krzywdy.
 Pytający wzrok jelenia spoczął na Haramie.
 - Ja też nic ci nie zrobię - zapewnił lekko obrażony. - Bo i ja już w to wierzę. Powiedz, gdzie mamy szukać, to...
 - Za wiele żądasz - stwierdził Gondagil. - Jeleni przecież nie wie, gdzie oni są. A teren jest bardzo rozległy.
 - Mam chyba coś, co nam pomoże. - Miranda zaczęła przeszukiwać swój przepastny plecak.
 Mężczyźni obserwowali ją z wielkim zainteresowaniem, ale trzymali się na bezpieczną odległość. Pistolet budził respekt.
 - Te klocki... - rzekł Gondagil powoli. - Czy one potrafią odczytywać myśli?
 Miranda podniosła głowę, postawny mężczyzna górował nad nią, budząc lęk.
 - Nie wprost - odparła. - Nie potrafię odczytać waszych myśli, jeśli tego się obawiacie - uśmiechnęła się krzywo. - Inaczej jest ze zwierzętami. Dzięki aparacikowi można zrozumieć głos wiewiórki, podobnie świergot ptaków czy ujadanie psa. Zwierzęta takie, jak na przykład ten jeleni, myślą przekazują tylko obrazy.
 - Sam się przed chwilą o tym przekonałem.
 - Ale psy i inne bardziej „rozmowne” zwierzęta także porozumiewają się obrazami - wyjaśniała dziewczyna. Wstała, w rękę trzymała jakiś nieduży przyrząd.
 Mężczyźni przyglądali mu się z szacunkiem, ale nic nie mówili.
 - Wypróbujemy teraz to - oświadczyła Miranda, starając się uruchomić urządzenie. Nie bardzo wiedziała, jak się z nim obchodzić, bo chociaż wykorzystywała je wcześniej podczas wędrówek po lesie, zdarzyło się to zaledwie dwukrotnie.
 Haram mruknął do Gondagila:

- Nie mógłbyś zająć się tym workiem? Ona jest bardzo ładna, chyba mam na nią ochotę.

- Nie teraz - odparł zniecierpliwiony Gondagil. - Owszem, jest powabna, ale czekają nas ważniejsze sprawy.

- Co jest ważniejsze? - mruknął Haram, lecz postanowił odłożyć przyjemność. Będzie mógł wziąć dziewczynę, kiedy naprawdę zechce. Nie nazywał tego gwałtem, żadna z kobiet, z którymi miał do czynienia, nie miała nic przeciwko jego umizgom. Haram cieszył się sławą wojownika, a plemię potrzebowało wielu dzieci. Życie ludu Timona z Doliny Mgieł było naprawdę ciężkie, wśród najmłodszych panowała duża śmiertelność. Musiał jednak przyznać, że tak świeżej i pełnej uroku dziewczyny nie spotkał w wiosce. Musi ją mieć. Wkrótce zapewne nadarzy się okazja. Gdy tylko Gondagil zajmie się innymi sprawami, on wykorzysta odpowiednią chwilę, a dziewczyna na pewno nie będzie się opierać.

Plecak także stanowił wielką pokusę. Najwyraźniej zawierał różności... Mając je można stać się prawdziwie potężnym człowiekiem.

Wrócił jednak do rzeczywistości, zainteresowały go słowa dziewczyny.

- To detektor, czyli wykrywacz ciepła, jeśli takie określenie wolisz - tłumaczyła stojącemu przy niej i słuchającemu jej z uwagą Gondagilowi. Jego bliskość nieco Mirandę rozpraszała, czuła bijący od mężczyzny zapach lasu, przyjemny aromat skózanego ubrania i czegoś jeszcze, co wcześniej czuła tylko u Tsi-Tsunggi. Upojna woń, która wywoływała w jej ciele podniecający dreszcz.

- Popatrz tutaj - pokazała. - Skieruję teraz aparat na Harama.

Haram natychmiast się odsunął.

- Nie bój się, to nic groźnego, stój spokojnie. O, tak, a ty popatrz w to małe okienko. Przynęła detektor do Gondagila.

- Widzisz, że pojawiają się kolory? To barwy Harama. Niebieski i zielony w tle, to obszar wokół niego, a czerwony i żółty to on sam.

Gondagil z trudem zdołał się dopatrzeć, że ciepłe barwy przedstawiają zarys postaci przyjaciela, uśmiechnął się jednak.

- Wyciągnij rękę - poprosiła Miranda.

Posłuchał i zaraz ujrzał kontur własnej dłoni na ekranie.

- Koniec zabawy - oświadczyła dziewczyna. - Nakieruj go teraz na jelenia.

W tej właśnie chwili podbiegł Haram, starając się wyrwać detektor z rąk dziewczyny. Gondagil jednak błyskawicznie przyciągnął urządzenie do siebie i syknął przez zęby:

- To nie twoje!

Miranda zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełniła błędu i czy nie po raz ostatni widzi aparat Strażników, lecz Gondagil trzymał go tak, aby i ona mogła przez niego patrzeć.

Odnaleźli jelenia. Na ekranie miał inne barwy, był bardziej rudobrunatny, lecz sylwetka zwierzęcia ukazywała się wyraźnie. Obraz leciutko pulsował.

- Zapamiętajcie sobie, jak wygląda na ekranie - poleciła. - Teraz poszukamy lani i cielęcia.

Nie wiadomo, czy olbrzymi jeleni ją usłyszał, czy też nie, w każdym razie podszedł do nich bardzo blisko. Gondagil i Miranda wymienili spojrzenia, wyrażające czujność i lęk, ale dziewczyna zaraz odzyskała równowagę.

- Spróbujemy ci teraz pomóc - spokojnie zwróciła się do zwierzęcia. Musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy. Napotkawszy wzrok jelenia, poczuła przenikający ją dreszcz i odruchowo postąpiła pół kroku ku Gondagilowi.

Haram na widok zbliżającego się byka odskoczył.

- Pospieszcie się, nie wiadomo, co on może wymyślić.

Ale Miranda nie zważając na nic tłumaczyła dalej Gondagilowi:

- Nastawię teru aparat na dużą odległość, najpierw spróbujemy zajrzeć do Doliny Cieni.

Wyszli na krawędź skały. Usłyszeli, że Megaceros podąża za nimi.

Miranda skierowała detektor w dół, ale Gondagil wyjął go z jej ręki i ustawił we właściwą stronę.

- Ich siedziby znajdują się tam - wyjaśnił krótko.

Z wolna na ekranie ukazywało się mnóstwo czerwonych punkcików.

- To potwory - stwierdziła Miranda.

Gondagil się odwrócił.

- Nie ma ich u wroga - poinformował jelenia. Uczynił to w sposób tak naturalny, że aż zaimponował Mirandzie.

Posłała mu promienny uśmiech, który niestety nie został odwzajemniony.

- Szukaj dalej - poprosiła.

Nie odbierała mu aparatu, chciała w ten sposób pokazać, że ma do niego zaufanie.

Haramowi natomiast nie ufała ani trochę.

Gondagil powoli, bardzo powoli omiół detektorem dolinę. Bez rezultatu. Pojawiały się co prawda rozmaite plamki, musiały to jednak być znacznie mniejsze zwierzęta, może któreś z bestii. Najwyraźniej zafascynowała go gra kolorów na ekranie. Teraz także i Haram ogarnął zapał, chciał włączyć się w poszukiwanie jeleni.

- Czy tu w Ciemności żyją także inne plemiona? - dopytywała się Miranda. - Takie, które mogły upolować zwierzęta?

- Nie - odparł Haram z widoczną pogardą. - Ci nędznicy nie mogą złapać świętych.

- Czy i dla nich jelenie są święte?

- Owszem, dla niektórych plemion. Ale w górach są tacy, którzy na to nie zważają. Oni jednak nie są niebezpieczni.

- Zaczekajcie! - zawołał nagle Gondagil.

Trzymał detektor skierowany w jeden punkt wśród skał z lewej strony.

- Widzisz coś? - spytała Miranda.

- Nie wiem, sama zobacz.

Zorientowała się, o co mu chodzi. Dyskretnie próbując się odsunąć od ciekawskiej głowy Harama i grzywy jasnych włosów zasłaniającej widok, ujrzała niewyraźny szarawy obraz, przecięty przytłumionymi czerwonymi plamami. Jedna plama była większa, druga mniejsza, obie zaś pokrywały czerwonawobrunatne wzory.

- Coś zasłania - stwierdziła. - Ale chyba je mamy.

Odwróciła się do jelenia.

- Chodź!

- Szalona - burknął Haram, lecz gdy ogromne zwierzę posłuchało Mirandy, ucichł.

- Co zaślania? - zastanawiał się Gondagil, gdy przedzierali się przez kamienie, skały i wysokie, przypominające wrzosy zarośla.

Trudno powiedzieć, aby towarzysze Mirandy byli uprzejmymi kawalerami, lecz dziewczyna przywykła radzić sobie sama i godziła się na to, by iść na końcu bez niczyjej pomocy.

Zresztą wcale nie szła ostatnia. Olbrzymi jeleni podążał za nią, słyszała za plecami jego ciężkie kroki. Była trochę spięta, lecz uznała, że zaznajomiła się już ze zwierzęciem na tyle, aby w pełni mogli sobie ufać.

- Co zaślania? Prawdopodobnie jakiś kamień albo skały. No, przeszliśmy już spory kawałek. Spróbujemy jeszcze raz?

Mężczyźni natychmiast się zatrzymali. To Gondagil niósł detektor i najwidoczniej nie miał zamiaru wypuszczać go z rąk. Miranda zauważyła pożądlive spojrzenia, jakie Haram słał w stronę jej plecaka, mocniej więc chwyciła za ramię. Nie mógł go dostać, rzeczy schowane w plecaku były zbyt cenne.

Zaczął też dokuczać jej głód, ale na razie postanowiła o tym zapomnieć.

Popatrzyli w detektor.

- Tak! - krzyknął Haram. I jego ogarnęło podniecenie. - Tak! Widać je teraz wyraźniej, to dwa święte zwierzęta, są bardzo blisko.

- Słyszałeś, kolego? - Miranda z uśmiechem zwróciła się do jelenia.

Rozejrzeli się dokoła. Tak jak się spodziewali, znaleźli się wśród skał, między którymi rosła trawa i nieduże krzaki. Gondagil wskazał właściwy kierunek, chociaż w półmroku Miranda i tak nie widziała wyraźnie. Dwaj mężczyźni, przywykli do wiecznego braku światła, radzili sobie lepiej.

Miranda wiedzona impulsem poprosiła jelenia, aby wezwał swych krewniaków.

Żadne z nich nie spodziewało się jakiegokolwiek reakcji, a jednak Megaceros uniósł łeb i wydał z siebie ryk tak donośny, że aż Miranda podskoczyła, a potem zatkała rękami uszy. Błogosławieni Madragowie i ich wynalazek!

- Dziękuję - wyjąkała na wpeł ogłuszona. - Tego właśnie nam było trzeba.

Czekali, ale nie odpowiedział im żaden dźwięk.

Być może są tutaj, ale mogą już nie żyć, pomyślała Miranda. Spytała Gondagila:

- Leżą czy stoją?

Gondagil dumny z tego, że ktoś prosi go o pomoc, uważnie przyjrzał się ekranowi.

- Większy stoi - rzekł z wahaniem. - A mały leży.

Odwrócił się do jelenia.

- Jeszcze raz.

Miranda, mądra po szkodzie, zatkała uszy palcami.

Rozległ się ryk i niczym odległe echo napłynęła odpowiedź. Z daleka, a mimo wszystko z bliska. Zabrzmiała jakoś głucho i słabo. Popatrzyli w dół.

- W ziemi jest jama, tam pod skałą - odkrył Haram.

Nie posiadał się z dumy, że go usłuchali i pobiegli w tamtą stronę.

Gondagil zajrzał w bezdenną, zda się, jamę.

- Jak my sobie z tym poradzimy? - zafrasował się.

Megaceros, olbrzymi jeleń z odległej przeszłości, przepięknymi czarnymi oczami błagalnie patrzył na Mirandę.

8

- Święty ci ufa - cicho rzekł Gondagil.

- Widzę, i chyba wiem, o czym on myśli. - Miranda odwiązała od plecaka linę. - O tym. Za pomocą tego sznura wyciągnęłam go z dołu.

Gondagil uważnie przyglądał się linie.

- Z czego ją zrobiono?

- Ze sztucznego włókna - odparła Miranda, nie wdając się w szczegóły. - Ale w Królestwie Światła zachowują wielką ostrożność przy produkcji takich tworzyw, przestrzegają bardzo surowych zasad. Inaczej świat na powierzchni Ziemi, on zniszczył swoją przyrodę przeróżnymi chemicznymi związkami. Poza tym w całym Królestwie Światła nie widziałam żadnej takiej fabryki. I prawdę powiedziawszy ciekawa jestem, gdzie się to wszystko produkuje. Musicie wiedzieć, że technika tam jest bardzo zaawansowana. Rozejrzała się za jakimś drzewem. Znalazła je w odpowiedniej odległości.

- Jak na zamówienie - stwierdziła.

Waregowie przyglądali się, jak owija pień liną.

- Tak będzie nam łatwiej. Kto zejdzie na dół?

Popatrzyli na siebie.

- Ty się najlepiej znasz na zwierzętach - stwierdził Haram, zwracając się do Mirandy. - My jesteśmy silniejsi, pociągniemy.

Miranda popatrzyła na Gondagila. Kiwnął głową.

- To prawda.

Tchórze, pomyślała dziewczyna, ale chyba rzeczywiście mają rację. Uważała tylko, że i tak wiele już tego dnia zrobiła. A teraz znów miała zejść do zdenerwowanych zwierząt.

Ciekawe, jak tu głęboko?

Wyjęła swój telefon, tak maleńki, że mieścił się w dłoni. Zapasowy, który także ze sobą wzięła, podała Gondagilowi i pokazała mu, jak się mają ze sobą porozumiewać.

Mężczyźni byli tak zaskoczeni, że postanowiła najpierw przeprowadzić próbę głosu.

Schowała się za skałą i wezwała Gondagila.

Kiedy zrozumieli wreszcie, jak działa urządzenie, Haram odezwał się urażony:

- Dlaczego nigdy nie pozwalasz mnie wypróbować czegoś nowego?

- No właśnie - cierpkim głosem odparła Miranda.

Być może Haram zrozumiał, co ma na myśli. Przynęła sobie jednak, że od tej pory postara się być bardziej sprawiedliwa. Ale gdy zaproponował, żeby zostawiła swój ciężki plecak na górze, nie starczyło jej dobrej woli. Krótko oświadczyła, że może jej się przydać w rozpadlinie.

- Psiakrew! - zaklął Haram, kiedy Miranda zniknęła poza krawędzią rozpadliny. - Muszę mieć ten plecak, dziewczynę także.

Gondagil nie odpowiedział, uznał, że nie ma czasu na dyskusje z towarzyszem.

Telefon zapiszczał, Gondagil skupił uwagę. Ważne, aby sobie poradził z tym urządzeniem. Udało się, nacisnął właściwy guzik.

- Tak? - odpowiedział.

- Jest zupełnie inaczej, niż się nam wydawało - usłyszał w aparacie głos Mirandy, tak wyraźny, jak gdyby stała tuż obok. - Tu nie jest wcale tak strasznie głęboko. Cielę jest ranne, matka została przy nim dobrowolnie. Musicie zejść na dół, przynajmniej jeden z was.

- Ja pójdę - oświadczył Haram, zanim Gondagil zdążył odpowiedzieć. Nie warto było się z nim drażnić. Haram czuł się odsunięty, a to mogło mieć fatalne skutki.

Miranda doznała rozczarowania i przestraszyła się, kiedy usłyszała tę wiadomość przez telefon. Nie miała za grosz zaufania do Harama. Myślała jednak podobnie jak Gondagil, powiedziała więc lekko drżącym głosem:

- Doskonale, Haramie. Pamiętaj tylko, spokojnie przemawiaj do łani. Chodzi o to, żeby nie chciała bronić swojego dziecka.

Na górze zapadła cisza. Miranda niemal fizycznie wyczuwała niepewność Harama, tak u niego niezwykłą.

- A zresztą - dodała pośpiesznie. - Wydaje mi się, że powinniście zejść obaj. Cielę wygląda na ciężkie.

Zapadła kolejna chwila ciszy, po której rozległ się głos Gondagila:

- Czy ono jest ranne?

- Nie wiem, po prostu leży. Sprawia wrażenie bardzo wygłodzonego.

- Ale jeśli wszyscy tam zejdziemy, to jak się wydostaniemy?

- Przywiążcie linę do drzewa.

W milczeniu wypełnili jej polecenie. Potem spuścili się w dół w takiej kolejności, jaką Miranda przewidywała: najpierw Gondagil, a za nim Haram.

Dziewczyna wsunęła pistolet głęboko za pas. Zrobiła to już wtedy, gdy usłyszała, że Haram postanowił zejść do jamy. Stała teraz przy łani i łagodnie przemawiała, starając się ją uspokoić. Tłumaczyła, że pragną jedynie pomóc cielakowi, starała się myśleć obrazami i tym sposobem przekazać łani, że chcą wynieść jelonka na górę i że czeka tam jej partner.

Ściany rozpadliny były skośne, wyciągnięcie łani nie powinno więc sprawić trudności.

Miranda wskazała mężczyznom cielaka, który leżał nieco w głębi.

- Strasznie tu ciemno - poskarżył się Haram, mijając zdenerwowaną matkę.

- Zaraz spróbujemy temu zaradzić - obiecała Miranda i wyjęła kieszonkową latarkę; jedną z tych cieniutkich jak długopis. Zapaliła ją. Efekt był niesłychany. Obaj Waregowie nie zdołali powstrzymać się od okrzyku, Haram usiłował wyrwać światelko z rąk dziewczyny, a jego gwałtowne ruchy ogromnie wystraszyły łanię. Olbrzymie zwierzę szykowało się do ataku. Potrzeba było wielkiego opanowania i wielu łagodnych słów Mirandy, by je uspokoić. Haram w tym czasie stał sztywny ze strachu.

Kiedy sytuacja została opanowana, Gondagil spytał groźnie:

- Co to było za światło?

W zamieszaniu bowiem Miranda zgasiła latarkę. Teraz, posławszy Haramowi ostrzegawcze spojrzenie znów ją zapaliła.

- Mam ich więcej. Każdy może dostać swoją, tylko pamiętajcie, nie wolno wam się bić o moje rzeczy, bo wtedy będę strzelać.

Groźnie poklepała zatknięty za pas pistolet. Obaj mężczyźni nie spuszczała z niej oczu, gdy wyciągała z plecaka podobne latarki. Żeby być sprawiedliwa, najpierw podała jedną z nich Haramowi i pokazała, jak ma ją zapalać i gasić. Potem wręczyła drugą Gondagilowi. Teraz nieprzerwanie mrugało światło.

- Dość tego, wystarczy - orzekła Miranda. - Macie siłę podnieść cielaka?

Spróbowali dźwignąć zwierzę, trzymając jednocześnie latarki, ale okazało się to niemożliwe. Z żalem w sercu odłożyli niezwykle przedmioty do skórzanych toreb przypiętych do pasów. Miranda im świeciła. Gdy zerknęła do góry, nad krawędzią rozpadliny ujrzała wielkie poroże.

Zaczęła przemawiać do łani, podczas gdy mężczyźni zajęli się jelonkiem. Zwierzątko wyglądało na bardzo wyczerpane. Łania zresztą podobnie, choć ona była przede wszystkim po prostu głodna i wystraszona.

Żeby wyciągnąć jelonka, Haram i Gondagil musieli obwisać go liną. Mały przeraził się i stawiał opór, chociaż sił miał niewiele. Haram wrzasnął coś do niego, zniecierpliwiony, ale Gondagil zaraz uciszył przyjaciela. Zareagowała bowiem także łania; chociaż nie miała rogów, imponowała posturą i na pewno potrafiłaby bronić dziecka, gdyby uznała, że dzieje mu się krzywda.

Miranda, pomagając mężczyznom, zastanawiała się nad ich wzajemnym związkiem. Gondagil z racji różnicy wieku cieszył się większym autorytetem i był dzielny wówczas, gdy Haram zuchwały, i opanowany w momentach, w których towarzysz tracił głowę. Miranda zorientowała się jednak, że Gondagil niekiedy może mieć kłopoty z utrzymaniem przyjaciela w ryzach. Haram mylił upór z odwagą i bezustannie rwał się do działania. Miranda zdążyła także zauważyć, że to Gondagil z nich dwóch jest prawdziwie odważnym człowiekiem. W trudnej sytuacji Haram niekiedy tchórzył, niekiedy zaś kierowała nim pycha i wówczas nie zwracał uwagi na konsekwencje swoich czynów. Owszem, ci dwaj byli przyjaciółmi, lecz między nimi trwała nieustannie próba sił, ciągła rywalizacja. Miranda przypuszczała, że może dojść kiedyś do bezpośredniej konfrontacji. Mimo wszystko jednak byli ze sobą zgrani, powinna więc zatroszczyć się o to, aby z jej powodu nie poróżnili się między sobą. Dlatego zwracała się teraz do Harama równie często jak do Gondagila, choć przychodziło jej to z niejakim trudem.

Powoli i bardzo niepewnie cielątko unosiło się do góry. Chwilami przechylało się, raz zawisło na linie, podczas gdy mężczyźni usiłowali znaleźć oparcie dla własnych stóp. Najwięcej kłopotów sprawiała im łania, która własnym ciałem starała się odgradzić ich od dziecka. Przydały się wtedy zmysł dyplomacji Mirandy i jej miłość do zwierząt.

Gdy wreszcie i ludzie znaleźli się poza rozpadliną, zrozumieli, że łani wcale nie będzie tak łatwo wydostać się z dołu samodzielnie. Mężczyźni ułożyli cielaczka na ziemi, gdzie zaraz zaopiekował się nim ojciec. Potężny byk zaczął trącać małego pyskiem, zachęcając do wstania, a gdy ten nie reagował, lizał go, posapując. Uznali, że cielak jest bezpieczny, i skupili się teraz na matce. Wreszcie i ona wydostała się z dołu i też zaczęła lizać dziecko.

Miranda skrzywiła się zmartwiona.

- Powinniśmy zbadać cielaka, ale jak się do nich zbliżyć?

- Ty, która masz sposób na wszystko - zauważył Gondagil z cierpką miną - powinnaś chyba i z tym sobie poradzić.

- Wyleczyć go? Nie wiem. Nie mam pojęcia, co mu dolega.

Haram znów bawił się swoją latarką, zapalał ją i gasił, tym razem w bezpiecznej odległości od zwierząt. Gondagil skupił się na leżącym na ziemi jelonku, starając się odkryć konkretny powód jego słabości.

- Przydałby nam się tu teraz Jaskari - stwierdziła Miranda.

- Kto to taki? Twój mąż?

- Jaskari? Nie, to przyjaciel. Jest bardzo zdolnym lekarzem, a w dodatku bardzo lubi zwierzęta. Poza wszystkim nie mam męża.

- Hm.

- A jeszcze lepiej by było, gdybyśmy mieli tu któregoś z czarnoksiężników albo mego krewniaka Marca z Ludzi Lodu. Wszyscy, których wymieniłam, potrafiliby uzdrowić małego za sprawą czarodziejskiej mocy albo bez niej.

Bezradnie przyglądali się cielęciu, które, nawiasem mówiąc, miało rozmiary dorosłej krowy.

- Nie macie nikogo w wiosce, kto mógłby pomóc jelonkowi? - spytała Miranda.

Gondagil zastanawiał się.

- Chyba nie. Nie dysponujemy takimi środkami jak ty.

Miranda potraktowała jego słowa jak komplement i z całych sił starała się wymyślić coś mądrego.

- Wydaje mi się, że to chyba jakaś kontuzja tylnej części ciała - rzekła z wahaniem. - A jak ty myślisz?

Gondagil się z nią zgadzał. Kucnął przy jelonku, ale rodzice nie chcieli go dopuścić do małego. Olbrzymie rogi znalazły się niepokojąco blisko ciała Warega.

- Spokojnie, spokojnie - prosiła Miranda. - Powinnyście już wiedzieć, że stoimy po waszej stronie. Nie odbierzemy wam dziecka, pozwólcie nam je obejrzeć.

Wielkie zwierzęta dopuściły wreszcie ludzi, same jednak nie chciały się odsunąć.

- Trudno, będziemy pracować pomimo zagrożenia - stwierdziła Miranda. - Przyjrzyj się tej nodze.

- Ojej - westchnął Gondagil. - Złamana? W takim razie...

- W takim razie niewiele możemy zrobić - dopowiedziała dziewczyna. - Ale myślę, że nie jest aż tak źle. Przypuszczam raczej, że to zwichnięcie, które nastąpiło podczas upadku. Na pewno sprawimy mu ból, a rodzice nie będą na to spokojnie patrzeć.

- Myślisz, że nas zaatakują?

- Prawdopodobnie, ale i temu postaram się zaradzić.

- Wcale w to nie wątpię - słodkokwaśnym głosem powiedział Gondagil.

Miranda z zapasu leków odziedziczonych po Elenie, która nie chciała mieć już nic wspólnego z pielęgniarstwem, wyjęła strzykawkę ze środkiem znieczulającym. Nikt nie wiedział, że Miranda dysponuje apteczką Eleny, inaczej prędko musiałaby się z nią rozstać.

Miranda nie była pielęgniarką, lecz Elena nauczyła ją najprostszych zabiegów. Niedawno robiła zastrzyk rannemu borsukowi. Podziałął odpowiednio, ale to zwierzę było o wiele

większe. Co się stanie, jeśli Miranda zaaplikuje mu niewłaściwą dawkę. Poza tym jelonek miał naprawdę dobrą ochronę.

Dziewczyna poprosiła Gondagila, aby przytrzymał fałd skóry na zadzie zwierzęcia.

Mężczyzna z przerażeniem obserwował jej poczynania. Zdziwiło go, że igła strzykawki, z której ściekały kropelki leku, jest tak cienka. Czegoś takiego dotychczas nie widział.

Kiedy Miranda wkuła igłę pod skórę jelonka, Gondagil sam odczuł ból i zdusił jęk. Cielak jednak zdawał się niczego nie zauważyć.

Miranda nie wstając podniosła głowę.

- Teraz możemy tylko czekać.

- Czy on jest już zdrowy? - spytał Haram, który zdołał się wreszcie nacieszyć latarką i gdzieś ją schował.

- Nie, na razie tylko go znieczuliłam. Nie chciałam, by zasnął, bo rodzice mogliby uznać, że nie żyje. Tylko w tylnej połowie ciała na jakiś czas stracił czucie.

Tak mi się przynajmniej wydaje, żałośnie dodała w duchu.

Jak długo trzeba czekać? Eleno, Jaskari, przybądźcie mi z pomocą!

Potężne zwierzęta spoglądały na nią niecierpliwie. Wkrótce pewnie same zechcą zająć się cielęciem.

- Spokojnie, tylko spokojnie, wszystko będzie w porządku - dała im znać. Nie wiedziała, czy ją zrozumiały. - Chyba teraz już spróbujemy - stwierdziła, uszczypnąwszy cielaka w zad i nie doczekawszy się żadnej reakcji. - Możecie tu złapać, chłopcy?

Okropnie się zrobiłaś bezpośrednia, Mirando, pomyślała z goryczą, ale „chłopcy” usłuchali. Wspólnymi siłami nastawili nogę jelonka. Stawy wróciły na miejsce. Zwierzątko drgnęło, lecz nic poza tym się nie stało.

- Już dobrze - uspokajała Miranda pochylone nad nimi wielkie stworzenia. - Teraz wszystko powinno już być w porządku, potrzeba tylko trochę czasu. Pomożemy mu stanąć na nogi, chłopaki?

Mocno ujęli jelonka, który chętnie się temu poddawał. Stanął wreszcie na drżących nogach, chwiejąc się z boku na bok. Wreszcie przysiadł na zadzie.

- Cóż ze mnie za idiotka, przecież znieczulenie ciągle jeszcze działa. Myślę, że teraz zrobimy tak: niech ta rodzina sama sobie daje radę, dość tu trawy i innego pożywienia. My za to powinniśmy się stąd wynieść.

- Ja też tak uważam - przyznał Gondagil. - Chodźmy.

Miranda prędko pożegnała się z olbrzymimi jeleniami i pobiegła za mężczyznami, nie wiedziała bowiem, co teraz myślą i czują zwierzęta. Na wszelki wypadek lepiej stąd odejść.

Ruszyli w stronę wzgórz przez bagniste łąki, gdzie rosa błyszczała w trawie, mocząc im stopy.

- Ach, jak tu pięknie - szepnęła Miranda. - Tak rzadko mamy u nas rosę. Widziałam ją tutaj chyba tylko raz, dzisiejszej nocy.

- Przypuszczam, że tu jest chłodniej - trzeźwo zauważył Gondagil.

- O, tak, oczywiście, i to znacznie. Dokąd idziemy?

- Tak wysoko, jak się da.

Nagle Miranda pochwyciła wzrok Harama. Może była zbyt przewrażliwiona, wydało jej się jednak, że jego oczy mówią: Uporaliśmy się ze świętymi, teraz kolej na ciebie, dziewczyno.

W każdym razie odniosła wrażenie, że w szaroniebieskich oczach dostrzega groźny błysk.

Plecak. Pistolet laserowy. Muszę bronić tych rzeczy przed Haramem, inaczej będzie źle. Od strony Gór Umarłych dobiegło chrapliwe zawodzenie wielu głosów.

- Przynajmniej wy mogłybyście milczeć - wykrzyknęła gniewnie Miranda.

Kąćki ust Gondagila wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu.

9

Dotarli do szczytu jednego z najwyższych wzgórz pomiędzy Doliną Cieni, którą władały potwory, a Doliną Mgieł, zamieszkaną przez lud Timona, Waregów.

Miranda miała stąd doskonały widok we wszystkich kierunkach.

Unikała jednak patrzenia na Góry Czarne, Góry Śmierci. Coś w nich przerażało ją ponad miarę, a zarazem wabiło.

Wabiło? Nie, starała się za wszelką cenę stłumić to uczucie, lecz w głębi ducha zdawała sobie sprawę, że w niej tkwi. Miała ochotę wyznać Gondagilowi: „Odnoszę wrażenie, że kiedyś będę musiała tam pójść”, lecz oczywiście milczała. Ci gruboskórni mężczyźni i tak nigdy nie pojmą uczuć kłębiących się w duszy kobiety z Ludzi Lodu.

Skierowała wzrok w inną stronę.

- Królestwo Światła - szepnęła z uniesieniem.

I teraz jeszcze lepiej zrozumiała tęsknotę ludzi pozostających na zewnątrz.

Mur niczym gigantyczna przytłaczająca kopuła cyrku wznosił się wysoko pod niebo i rozpościerał bezgranicznie szeroko. Mur sam w sobie pozostawał niewidzialny, kopułę tworzyło zamknięte wewnątrz światło.

Jasny, kuszący świat.

Ci, którzy mieszkali najbliżej, mogli korzystać ze światła, ciepły blask sączył się do Królestwa Ciemności niczym poświata. Miranda jednak widziała także łańcuch wysokich gór w kolorze piasku, rozdzielający świat we wnętrzu Ziemi na dwie części. Za górami musiała panować całkowita ciemność.

Stamtąd przywędrowała Siska.

Rodzina czarnoksiężnika również przybyła tamtędy. Poruszali się wówczas w całkowitej ciemności, natykając się na istoty o całkiem innej konsystencji niż ich własna.

Miranda zadrżała i przeniosła spojrzenie na krainę Timona.

Przed jej oczami roztoczył się niesłychanie piękny widok. Wielki płaskowyż położony był poniżej punktu, w którym się znajdowali, lecz wyżej niż kraina potworów. Dolinę, którą za siedzibę obrali sobie Waregowie, skrywała mgła. Wyłaniały się z niej jedynie korony drzew w lasach. We mgle tu i ówdzie połyskiwały żółtoczerwone światełka ognisk.

- Macie więc ogień - stwierdziła.

- Tak, to nasze jedyne źródło światła w półmroku - z goryczą odpowiedział Gondagil. -

Ogień jest naszym życiem, wszystko, całe nasze istnienie zależy do niego.

- A potwory nie palą ognisk?

- Nie, ale one mieszkają bliżej światła. My nie moglibyśmy żyć jak one, nie spożywamy mięsa na surowo.

To okropne, pomyślała Miranda z obrzydzeniem.

- Zresztą potwory nie potrafiłyby radzić sobie z ogniem - mruknął Haram. - Las spłonąłby w jednej chwili.

- To znaczy, że musicie bronić swego ognia także przed nimi?

- Musimy chronić wszystko - stwierdził Haram.

- To niesprawiedliwe - użaliła się Miranda na wpół do siebie. - Muszę pomówić z Ramem. Ram stanowił najwyższą instancję, do której mogła się zwracać. On i Marco. Marco jednak przebywał w Królestwie Światła od niedawna. Byli też tacy, którzy stali od nich wyżej, na przykład Rada Starszyny, nie mówiąc już o Obcych, Ram jednak został wyznaczony do kontaktów z ludźmi, dowodził także Strażnikami.

Miranda miała do niego wielkie zaufanie.

- Opowiedzcie o waszej krainie - zachęciła życzliwie. - Opowiedzcie mi o ludzie Timona.

- No...

Popatrzyli po sobie z wahaniem. Który powinien mówić? Wreszcie Haram skinął na Gondagila.

- Ty opowiadaj!

Miranda ku swej radości zauważyła, że obaj już ją zaakceptowali. No cóż, nie szłaby w zakład o to, jak daleko sięga dobra wola Harama, a Gondagil przyglądał się jej z surową obojętnością zaprawioną sporą dawką sceptycyzmu, lecz w każdym razie godzili się na rozmowę z nią. Już to było, jej zdaniem, niemało.

Przypuszczała, że ich w miarę pozytywne nastawienie wiąże się z historią z jeleniami, świętymi zwierzętami, a także w dużym stopniu z różnymi dziwnymi przedmiotami, które wyciągała ze swego plecaka. Musi go szczególnie starannie pilnować. Oni uczynią wszystko, by zdobyć nad nią przewagę i odebrać jej plecak. I to jak najszybciej.

Na pewno nie żywili wobec niej dostatecznie dużo szacunku, by się przed tym powstrzymać.

Nagle coś sobie przypomniała, uniosła rękę.

- Zaczekaj chwilę, Gondagilu!

W jego oczach pojawił się niezwykle wyraz. Czyżby podobało mu się, że wymówiła jego imię? Zdarzyło się to po raz pierwszy.

Z zapalem sięgnęła do swego wypchanego plecaka i wyjęła parę starannie owiniętych paczuszek.

- Czy nie powinniśmy najpierw trochę się posilić?

Oniemiali, niezdolni zapanować nad wyrazem twarzy, a co dopiero nad głosem, przyglądali się temu, co rozpakowywała. Gorąca czekolada w termosie, kanapki z kurczakiem, serem i szynką, kolorowo ozdobione owocami i warzywami.

Haram porwał jedną kanapkę, zanim jeszcze zdążyła mu ją podać. Obwąchał ją tak, jakby uczyniło to zwierzę. Gondagil z niechęcią obserwował jego zachowanie.

Z wielką podejrzliwością spróbowali czekoladowego napoju, lecz wystarczyło parę łyków, by doszli do wniosku, że jest smaczny. Wprawdzie Miranda przygotowała prowiant z myślą wyłącznie o sobie, planowała jednak dwa, a może nawet trzy posiłki, starczyło go

więc po trochu dla wszystkich. Haram miał ochotę sięgnąć po resztę kanapek, lecz Gondagil go powstrzymał.

- Nie jesteśmy potworami, Haramie - rzekł krótko i tym razem przyjaciel się opamiętał. Miranda zabrała także dwa jabłka i kawałek ciasta migdałowego. Odstąpiła jabłka mężczyznom, a dwa kawałki ciasta podzieliła na trzy części, co samo w sobie już było sporym osiągnięciem. Kiedy skończyli jeść, Haram nienasycony rzucił się na plecak, by sprawdzić, co jeszcze znajdzie do jedzenia, ale Miranda natychmiast położyła dłoń na pistolecie.

- Jedzenia już nie ma, a reszty nie wolno wam ruszać!

- Ja nie miałem zamiaru ruszać czegokolwiek - pod kreślił Gondagil urażony.

- Wiem - powiedziała Miranda łagodniejszym tonem. - Przepraszam.

„Przepraszam” było najwidoczniej obcym im słowem, poprosili bowiem, by je wyjaśniła. Podjęła więc niezdarną próbę.

- Tak się mówi wtedy, kiedy człowiekowi jest przykro, że zrobił coś niewłaściwego. Uraził kogoś albo... Nie, no nie wiem.

W roztargnieniu pokiwali głowami.

- A teraz, Gondagilu, mam wielką ochotę poznać historię twego ludu.

Część ognisk w krainie Timona pogasła. Wyżej, na zboczach po drugiej stronie, błyszcząły maleńkie punkciki. To ogniska z siedzib innego plemienia, z którym stosunki układały się dobrze. To było wszystko, co usłyszała na ten temat.

Zawodzenie z Gór Umarłych powtarzało się nieregularnie. Miranda dawno też zwróciła uwagę na jeszcze inne niezwykle zjawisko w oddali na pustkowiu: Na poświętej wyłaniającej się zza gór, tańczącej od jednego szczytu do drugiego, przesuwaną się wzdłuż niższych wierzchołków w tym granatowoczarnym mrocznym świetle. Spytała, co to takiego, lecz odpowiedziało jej tylko wzruszenie ramion.

Posiłek wrócił spokój ich ciałom. Teraz Gondagil mógł opowiadać.

- Historia mego ludu jest długa i tragiczna - zaczął swym głębokim, zmysłowo zachrypniętym głosem, tak dla niego charakterystycznym. - Od niepamiętnych czasów toczymy walkę o przeżycie. Raz następowały lepsze lata, to znów trudne do opisanie okresy nieurodzaju. Przetrwaliśmy jednak, a to dlatego, że nasza mała kraina jest płodna, potrafimy też zadbać o to, co daje nam przyroda.

Miranda przerwała mu:

- Czy mogę o coś spytać? Dziękuję. Dlaczego uważacie wielkie jelenie za święte?

- Zdecydował o tym Timon Wielki, bo nigdy wcześniej nie widział tak ogromnego jelenia. Opowiada się też historie o tym, jak jeleni uratował mu życie, a właściwie przyczynił się do jego ocalenia.

- Podobnie było dzisiaj ze mną - mruknęła Miranda, a Gondagil pokiwał głową. - Mów dalej - poprosiła.

- Myślę, że nie ma sensu opowiadać całych naszych dziejów. Skupmy się raczej na teraźniejszości... Zawsze marzyliśmy o wejściu do Królestwa Światła, lecz oni nie chcą nas wpuścić. Słyszeliśmy, że pozwalają na to pojedynczym osobom, to jednak niesprawiedliwe wobec tych, którzy muszą pozostać. Poza tym potwory uniemożliwiają przejście. To mniej więcej wszystko, co można o nas powiedzieć. Chcielibyśmy

dowiedzieć się czegoś więcej o tobie, a szczególnie o Królestwie Światła, bo tak nazwałaś swoją krainę, prawda?

- Tak, ona nazywa się Królestwo Światła, a tutaj jest Królestwo Ciemności.

- Interesuje nas mnóstwo spraw. Zacznij od tego, jak tam się mieszka.

- Wprost idealnie - odparła Miranda. - Naprawdę wspaniale. Co prawda są wśród nas także istoty mniej doskonałe, lecz one mieszkają w oddzielnym mieście, nazywanym miastem nieprzystosowanych. To ludzie, którzy przybyli do wnętrza Ziemi, ale nie potrafią się tu zadomowić. O ile wiem, ostatnio przeprowadzono wśród nich filtrację, wielką czystkę.

Przez moment zamierzała spytać, czy nie wiedzą czegoś na temat tej czystki, czy coś nie zwróciło ich uwagi, ale się powstrzymała. Zamiast tego opowiedziała o innych częściach królestwa, o pięknych białych miastach oświetlanych słońcami, o roślinności, o kwiatach, wielkich i kolorowych, kwitnących niesłychanie obficie, opisywała warzywa i owoce, jagody i zwierzęta, którym tak dobrze się żyło, i Nera, ukochanego psa, który już w świecie na powierzchni Ziemi otrzymał wieczne życie.

Doszła w końcu do największej niezwykłości w Królestwie Światła, do Świętego Słońca. Wspomniała o tym, że życie ludzi się tu wydłuża, i nie tylko. Ludzie zatrzymują się na granicy trzydziestu lat, a ci, którzy przybywają do krainy jako starsi, młodnieją właśnie do tego wieku.

Zorientowała się, że jej słowa w oczach obu mężczyzn przywołały smutek, i prędko zmieniła temat. Zaczęła mówić o mieszkańcach Królestwa Światła. O Obcych, o których nikt nic nie wiedział. Gondagil i Haram pokiwali głowami. Dla nich także ci nazywani przez nią Obcymi byli jedną z największych zagadek Królestwa Światła. Kilkakrotnie widywano ich w Ciemności, niezwykle wysokie postaci w jasnych szatach. Mieli jedwabiste włosy i osobliwe oczy.

- Tak, to właśnie Obcy - potwierdziła Miranda. - Mamy też Strażników...

- Właśnie. Co to za jedni? - chciał wiedzieć Haram.

Miranda starała się uważać na niego. Spostrzegła, że jego wzrok nieustannie biegnie ku pistoletowi, który miała zatknięty za paskiem. Uświadomiła też sobie, że w momencie, gdy Haram zrozumie, iż pistolet nie jest aż tak niebezpieczny, i odbierze go jej, to ci dwaj mężczyźni nie tylko pozbawią ją wszystkiego, co ma w plecaku, lecz także zmuszą do wskazania im drogi do Królestwa Światła, wedrą się do środka, a do tego pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić.

- Strażnicy? - powtórzyła. - Wywodzą się z różnych ras. W żyłach wielu z nich płynie krew Lemurów. Lemurowie to prastary lud, swoimi całkiem czarnymi oczyma przypominający nieco Obcych. Są jednak niżsi i od początku przemieszani z ludźmi. Chociaż czy Lemurów można nazwać ludźmi? To była człekokształtna rasa żyjąca na Ziemi, z którą łączyli się Obcy, by ją uszlachetnić. Lemurowie na ziemi dawno już wymarli, tutaj jednak jest ich wielu.

Dwaj ludzie pustkowia słuchali z zaciekawieniem, chłonąc wszelkie informacje. Pragnęli dowiedzieć się wszystkiego o niezwykłej krainie, do której nie mogli dotrzeć, lecz mimo to nie przestawali o niej snuć.

- Są tam też ludzie, tacy jak wy i ja, wciąż napływają, moja grupa przybyła jako ostatnia, tak mi się przynajmniej wydaje. Ja sama jestem tam od niedawna, ale miałam w życiu marzenie...

- Właśnie, coś ty za jedna? - obcesowo przerwał jej Gondagil.

- Wywodzę się z niezwykłego rodu - odparła Miranda.

A potem opowiedziała im o Ludziach Lodu. Nie relacjonowała oczywiście całej historii, mówiła tylko o cechach, jakimi obdarzeni zostali niektórzy przedstawiciele rodziny, ona sama posiadała ich niewiele, Marco natomiast to wyjątkowa postać, był na poły Czarnym Aniołem i potrafił rzeczy, w które trudno uwierzyć. Nie zapomniała także o czarnoksiężnikach, Mórím i Dolgu mówiła, jak bardzo są niezwykli.

Gondagil i Haram ze zdziwieniem i niedowierzaniem słuchali o zdumiewających poczynaniach czarnoksiężników i Marca. Uznali je za niemożliwe. A gdy wspomniała o Tsi-Tsundze i istotach natury ze Starej Twierdzy, roześmiali się wyniośle. Ich śmiech mówił: zejź na ziemię, dziewczyno.

Ale Miranda nie skończyła jeszcze swych niezwykłych historii. Niestety, w istnienie Madragów nie uwierzył żaden z mężczyzn, a o duchach Ludzi Lodu, żywych umarłych, w ogóle nie chcieli słuchać. I jeszcze duchy Móriego? Czy ona kompletnie oszalała? Co ona sobie o nich myśli, że pozwolą się tak zwodzić?

Miranda westchnęła.

- Mogłabym wam opowiedzieć o wiele więcej, o elfach żyjących w lasach, o duchach przyrody, o czarach, które trudno pojąć, ale i tak uznalibyście, że was oszukuję, na razie więc wystarczy.

Zapanowała cisza. Mirandzie było przykro, ponieważ mężczyźni nie chcieli jej wierzyć, oni zaś czuli się urażeni, sądząc, że dziewczyna z nich drwi.

Od strony Gór Czarnych dobiegł przeciągły krzyk, jakby jakiejś istoty, która znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Miranda zmarszczyła brwi.

- Co to właściwie jest? Mieszkacie tak blisko i nic nie wiecie o tych dźwiękowych i świetlnych zjawiskach?

Gondagil ociągał się z odpowiedzią.

- To tylko niemądre legendy, tak samo niewiarygodne jak twoje gadanie o czarach i tajemniczych istotach w Królestwie Światła.

- Ale opowiedzcie mi przynajmniej te legendy, skoro sądzą, że i tak w nie wierzę.

Gondagil przekazał jej więc stare baśnie.

Miranda poczuła, jak włos jej się jeży na głowie.

- To nie może być prawda - szepnęła.

- Oczywiście, że to nieprawda - prychnął Haram. Waregowie zastanawiali się, dlaczego dziewczyna tak nagle pobladła.

Czyżby za sprawą starej legendy?

10

Muszę porozmawiać z Markiem, taka była jej pierwsza myśl. I z ojcem, Mórím, Dolgiem, Ramem, Natanielem i wszystkimi innymi. To nie może być prawda!

Siedziała bez ruchu jak sparaliżowana, ledwie usłyszała zniecierpliwione ponaglenie mężczyzny: „I co dalej? Mów!”

- Co takiego? - ocknęła się wreszcie. - Gdzie to ja byłam?

- Właściwie nigdzie - odpad Gondagil. - Ale chcemy się teraz dowiedzieć, dlaczego wyszłaś poza mur i w jaki sposób się stamtąd wydostałaś.

- Na to ostatnie pytanie nie mogę odpowiedzieć, natomiast pierwsze... No cóż, muszę chyba zacząć od siebie. Mam siostrę, bardzo piękną zresztą...

- Przyprowadź ją następnym razem - mruknął Haram.

- Następnym razem? Wydaje ci się, że nastąpi jakiś następny raz? - zdziwiła się Miranda. - Moja radość nie będzie miała granic, jeśli w ogóle wrócę do domu. No cóż, moja siostra twierdzi, że jestem wichrzycielką, że wydaje mi się, iż mogę własnymi rękami naprawić świat. I że mam przesadnie wyczulone poczucie sprawiedliwości. Ona natomiast jest na tyle rozlazła, że słabo jej się robi, gdy patrzy, jak inni działają.

- Wracaj do rzeczy - krótko polecił jej Gondagil.

- Przecież właśnie o tym mówię - oburzyła się Miranda.

O mały włos nie dodała: „ty głupcze”, ale w porę ugryzła się w język. Gondagil był człowiekiem dumnym i na pewno źle by przyjął tak obraźliwe określenie. Miranda musiała podtrzymać tę odrobinę życzliwości, jaką dla niej miał. Trudno jednak uznać, że było to gorące uczucie.

Ludzie o nadmiernie wybujałym poczuciu własnej godności są niebezpieczni, pomyślała. Przeniosła spojrzenie na Harama. Ale ten człowiek jest jeszcze groźniejszy. W bardziej bezpośredni, namacalny sposób. Nie odrywa oczu od pistoletu.

Odruchowo położyła dłoń na kolbie.

Moje jedyne zabezpieczenie, stwierdziła.

Przeszła wreszcie do sedna, jak się miało okazać, ze zgubnym skutkiem.

- Rzeczywiście jest chyba prawdą, że mam wyczulony zmysł sprawiedliwości. Nie lubię, kiedy się depreczuje ludzką godność. Dlatego zawsze biorę stronę tych, których się źle traktuje, słabych, wszystkich kozłów ofiarnych...

Jej myśli znów na moment się rozproszyły. Czasami musiała przecież uznać, że ktoś miał istotny powód, by czynić z drugiego kozła ofiarnego. Nie myślała teraz o tych przypadkach, w których jej ingerencja była konieczna, lecz o innych. Zawsze zaciekle broniła ludzi, od których wszyscy odwracali się plecami. Niekiedy tylko po to, by stwierdzić później, że większość czasami ma rację. Jej protegowani okazywali się przesiąkniętymi na wskroś złem przestępcami, bez sumienia i bez odrobiny współczucia dla innych.

W takich chwilach litościwemu sercu Mirandy i jej zapałowi do reform zadawano mocny cios.

Nieco drżąc uśmiechnęła się do wyczekujących Waregów.

- Uznałam za bardzo niesprawiedliwe, że my w Królestwie Światła możemy korzystać z dobrodziejstwa i ciepła Świętego Słońca, podczas gdy wy musicie żyć w ciemności.

Z powagą potakująco kiwnęli głowami.

- Najwyższy szef Strażników, Ram, powiedział mi, że jesteście stosunkowo dobrymi ludźmi.

- Stosunkowo? - wykrzyknął Gondagil. - Co masz na myśli?

Do diaska, użyła niewłaściwych słów.

- W porównaniu z innymi plemionami, które tu żyją. Na przykład z potworami.

Atmosfera zgęstniała.

- Mów dalej - ponaglił Gondagil.

Od strony Gór Śmierci dobiegły przenikliwe skargi.

- Ram mówił, że nie mogą dać wam Słońca, bo zaraz wybuchłaby tu wojna.

Ich twarze pozostały zamknięte, twarde i niezgłębione.

- Ale ja... uznałam... pomyślałam... - Nie mogła sobie z tym poradzić. Ich przesyconą agresją milczenie wcale jej nie pomogło. - Zabrałam ze sobą Słońce dla waszego ludu.

Całkiem spore, jestem pewna, że wszystkie plemiona mogą żyć tu zgodnie i w spokoju...

Urwała gwałtownie. W mężczyznach nastąpiła totalna zmiana.

Najpierw ich twarze zastygły w grymasie niedowierzania, a w końcu Gondagil zawołał:

- Czyś ty całkiem oszalała? Masz zamiar to rozgłaszać?

W tym samym momencie Haram z wrzaskiem rzucił się na plecak Mirandy.

Gondagil usiłował go powstrzymać, siedział jednak za daleko. Nie zdążył. Miranda

wyciągnęła pistolet, ale Haram mocno uderzył ją w rękę, pistolet zawirował w powietrzu i spadł w dół zbocza od strony Doliny Cieni. Miranda zauważyła, jak lekko połyskując ląduje na ziemi.

Nie miała już czym się bronić.

Zdażyła na szczęście chwycić plecak, tak że nie dosięgła go ręka Harama. Trzymając ciężki bagaż przed sobą, ruszyła do ucieczki wzdłuż pasma wzgórz.

Słyszała goniących ją mężczyzn straszliwie blisko, wołali ją i siebie nawzajem. Nie rozumiała słów, po prostu śmiertelnie przerażona biegła przed siebie. Miała wrażenie, że czuje oddech Harama na karku. Jego dłoń w końcu dotknęła jej ramienia, dziewczyna uskoczyła w bok ku krawędzi skały, on za nią, wbiegła więc z powrotem na płaskowyż.

Nagle Haram potknął się o wystający kamień i stracił równowagę.

Miranda usłyszała jego krzyk, gdy leciał głową w dół, Gondagil także krzyknął ostro, przerażony.

Gonitwa ustała.

Miranda oddaliła się od szczytu wzgórz i dopiero wówczas odważyła się spojrzeć do tyłu.

Ujrzała Gondagila leżącego na brzuchu z jedną ręką zaciśniętą wokół nadgarstka Harama. Haram wisiał nad przepaścią. Ogarnięty śmiertelnym strachem wykrzykiwał do towarzysza trudno zrozumiałe słowa.

- Nie mogę! - zawołał Gondagil. - Sam się ześlizgnę.

Miranda przez dwie sekundy stała nieruchomo. W tym miejscu zbocze było nieco mniej strome, zrzuciła więc plecak na dół i biegiem wróciła do mężczyzn.

- Chwyć mnie za rękę, Haramie.

Przez moment patrzyli na nią, nie posiadając się ze zdumienia, lecz Haram zaraz usłuchał dziewczyny. Chwilę bezradnie wymachiwał swobodną ręką w powietrzu, aż wreszcie dotknął jej dłoni. Miranda zaparła się w ziemię jak tylko mogła.

- Co z ciebie za idiotka? - syknął jej Gondagil do ucha, tak żeby Haram nie słyszał. - Powinnaś była wyznać to tylko mnie.

- Doprawdy?

Gondagil nie użył słowa „idiotka”, tylko innego wyrazu w swym języku, lecz to właśnie miał na myśli. Mirandzie brakło czasu, by się odciąć. Ciągnęła Harama z całych sił.

- Uważaj, Mirando - wydusił Gondagil z wysiłkiem. - Ześlizgujesz się.

- Wszystko będzie dobrze - mruknęła zgnębiona. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

Jeszcze chwila i zaraz znajdzie się przy krawędzi skały... O, tak.

Gdy tylko stwierdziła, że Haram jest w stanie sam wciągnąć się na górę, wyrwała swoją rękę i rzuciła się do ucieczki. Gondagil nie mógł puścić przyjaciela, Haram też nie był w stanie jej gonić, ona zaś biegła, nie słuchając rozwścieczonych krzyków. Zyskała teraz znaczną przewagę.

Aby dotrzeć do swego plecaka, musiała pokonać spory kawałek, a potem zjechała w dół zbocza na pupie. Poczuła to w całym ciele, w pośladkach, łokciach i stopach. Dotarła jednak do drogocennego bagażu.

Zerknęła jeszcze przez moment na Waregów. Haram przerzucił kolana przez nieduży występ skalny, a Gondagil ciągnął go ile sił w rękach. Wiedziała, że już nie długo zaczną ją ścigać, zaryzykowała jednak i pobiegła wzdłuż dolnej krawędzi urwiska po pistolet. Bała się zostawić broń w zasięgu chciwych dłoni, wszystko jedno czy miałyby to być ręce Waregów, czy potworów. Z góry doszedł ją krzyk zawodu.

Zanurzyła się w młody las.

Jedno niebezpieczeństwo miała za sobą, czekało ją inne, o wiele większe.

Zniknąwszy z oczu mężczyznom, usiłowała się zorientować, gdzie może znajdować się wejście do Królestwa Światła.

Dokładnie wiedziała, jak wygląda jego najbliższe otoczenie, ale gdzie ono jest? I gdzie są potwory?

Nie miała siły myśleć, głowa i każdy najmniejszy kawałeczek ciała sprawiały jej ból.

Tu, w Królestwie Ciemności, podobnie jak w Królestwie Światła, trudno było odróżnić dzień od nocy. Z tą jedynie różnicą, że tu panował wieczny półmrok. Organizm potrafi jednak wyczuć porę doby, Miranda nie miała wątpliwości co do tego, że u jej przyjaciół nastął już kolejny dzień.

Ach, jakże tęskniła za światłem, jak bardzo pragnęła znaleźć się wśród tych, których znała i kochała. Nieustający zmierzch ogromnie ją denerwował, niemożność wyraźnego widzenia wprawiała w irytację, ale z wysiłkiem posuwała się naprzód.

Niepokoilią się także o zawartość plecaka. Na pewno ucierpiała podczas upadku w dół zbocza, Miranda wierzyła jednak, że instrumenty i wszystkie źródła światła, które zabrała ze sobą, ocalały.

Żałowała teraz, że hojniej nie obdarowała Gondagila i Harama, mimo wszystko potraktowali ją lepiej, niż można było się spodziewać. To z jej winy wszystko tak źle się skończyło, powinna zachować większą ostrożność, mówiąc o Słońcu, które ze sobą zabrała. Ale ogarnął ją taki zapał, z całego serca chciała im pomóc. Pojęła teraz, jak bardzo niebezpieczne mogło być Słońce w Ciemności. Ram miał całkowitą rację.

Chciwe, wręcz wygłodniałe, oczy Harama, zawód i wściekłość Gondagila wywołana jej niezdarnym załatwieniem tak ważnej sprawy.

Miranda także była rozczarowana. Uświadomiła sobie, że nie zdoła powtórnie wybrać się na taką ekspedycję. I tak miała niesłychane szczęście, pokonując Dolinę Cieni. Tylko dzięki olbrzymiemu jeleniowi wciąż jeszcze żyła. Teraz zwierzę odeszło, musiało zająć się własną rodziną i rannym jelonkiem.

Tym razem przyjdzie jej samotnie pokonać niebezpieczny teren. Nawet dziecko by zrozumiało, że szanse ma niewielkie.

Ze swego stosunkowo wysoko położonego punktu obserwacyjnego widziała obszar należący do potworów. Ich rozmieszczone gęsto siedziby leżały tuż pod nią. Wrota w murze?

Muszą znajdować się bardziej na prawo, chociaż to miejsce stąd, z góry, wygląda nieco inaczej. Ale to jedyne możliwe położenie.

Jak ona się tam dostanie?

Uświadomiła sobie wreszcie, że to nierealne. Nie bez powodu lud Timona trzymał się z dala od muru. Strzeżono go lepiej niż skarbcza.

Pilnowały go żądne mordy, krwiożercze bestie.

Gdyby tylko udało mi się dotrzeć do muru, powtarzała w duchu, mogłabym się przekraść wzdłuż niego, bo one tam nie podchodzą. Ale jak tam zajdę? W jaki sposób zdołam znaleźć drogę, skoro nie udało się to Waregom? Co ja sobie wyobrażam?

Miranda siedziała w dość dużej odległości od terytorium potworów, ukryta pod skalnym nawisem, tak aby Haram i Gondagil nie mogli jej zobaczyć.

Potrzebuję pomocy, doszła do wniosku, sama nigdy sobie z tym nie poradzę. Muszę się zastanowić.

Długo siedziała z zamkniętymi oczyma, usiłując zebrać myśli.

Pochodzę z Ludzi Lodu, Marco i Dolgo stwierdzili, że mam w sobie ślady niezwykłych cech wybranych, ale to tylko ślady. Nie przychodzi mi do głowy żaden mądry pomysł.

Delikatnie wsunęła obie ręce do plecaka i położyła je, na kasetce ze Świętym Słońcem. Za nic na świecie nie miała odwagi otworzyć skrzynki, światłoszczelnej i starannie opakowanej. Jeden jedyny błysk złocistej kuli opromieniłby całą okolicę aż do nieba, a wtedy byłoby już po niej.

Przejrzała w myśli wszystkie urządzenia, jakimi dysponowała, ale w tej sytuacji żadne nie wydawało się przydatne. Miała jeszcze dwie kieszonkowe latarki, ot, i wszystko.

Wydawało się, że całe wyposażenie zachowało się w dobrym stanie.

Dzięki Bogu.

W każdym razie udało mi się coś przeżyć, pomyślała z lekką desperacją. Przecież zawsze żał mi ludzi, którzy i u schyłku życia pytają zdumieni: „Czy to już wszystko, czy to już naprawdę wszystko?” Takich, co tylko czekali, by życie samo do nich przyszło, a kiedy tak się nie stało, poczuli się oszukani, wręcz okradzeni.

Jeśli człowiek nie szuka przeżyć, to sam jest sobie winien, doszła do wniosku Miranda w swej młodzieńczej pysze i nadmiarze odwagi.

Chociaż czy to właśnie nadmiar odwagi dokuczał teraz dziewczynie? Odczuwała raczej jej brak.

Może nie wszyscy ludzie potrzebują w życiu napięcia? Może są tacy, którzy wolą poczucie bezpieczeństwa?

Filozoficzne przemyślenia przerwała jej opadająca głowa. Na krótko przysnęła, zaraz jednak znów wróciła do brutalnej rzeczywistości.

Nie spała od przedostatniej nocy, a i wówczas nie udało jej się odpocząć, tak bardzo była podniecona swym zadaniem. Potem minął cały dzień, wieczorem wyszła, rozpoczynając samotną wędrówkę, a teraz nastał już dzień kolejny. Czy to dziwne, że niemal zasnęła? Przetarła oczy i potrząsnęła głową, żeby rozjaśnić umysł. Co powinna zrobić? Owszem, pochodziła z Ludzi Lodu, ale czy to mogło jej teraz w czymkolwiek pomóc? Raczej nie. A co z jej telepatycznymi zdolnościami? Z kim powinna nawiązać kontakt?

Najbliżsi jej byli Marco i Nataniel, ewentualnie właśnie oni mogli przejąć wysyłane przez nią sygnały. Ale nawet jeśliby wychycili jej rozpaczliwe wołanie o pomoc, to co z tego? Co mogli zrobić innego, niż powiadomić Rama? A wtedy wydarzyć się mogły dwie rzeczy: albo pozostawiliby ją własnemu losowi, zabraniając wstępu do Królestwa Światła, albo też cała armia Strażników i Obcych, wielu rozgniewanych mężczyzn, przybyłaby jej na ratunek. Taka perspektywa nie przedstawiała się zachęcająco.

Odrzuciła więc tę myśl.

Móri i Dolgo. Czarnoksiężnicy? Nie byli jej krewniakami, więc możliwość nawiązania z nimi kontaktu telepatycznego wydała jej się mniej prawdopodobna.

Widziała jednak przecież, jak pogrążają potwory w głębokim śnie, słyszała, jak odmawiają nad nimi swoje zaklęcia. Posługiwali się jedenastowiecznym językiem islandzkim, czyli staronorweskim. Niestety, nie pamiętała, jak brzmią zaklęcia. Poza tym nie była przecież czarnoksiężnikiem.

Co więc począć? Musi wrócić, ma wszak niezwykłą historię do przekazania.

Może duchy? Duchy Móriego należałoby raczej wykluczyć, one przecież słuchają tylko jego, i to wtedy, kiedy chcą. Ale duchy Ludzi Lodu? Co one mogłyby zrobić?

Przez moment pomyślała o Tsi-Tsundze, lecz on był przywiązany do miejsca, tak samo jak elfy i inne istoty przyrody. Więc może jednak duchy Ludzi Lodu? Kogo z nich mogła wezwać?

Doskonale wiedziała, kogo powinna przywołać, lecz nie chciała. Jeszcze nie, wstrząs mógł być zbyt wielki. Ale co z Tengelem Dobrym? Czy on albo w ogóle którykolwiek z duchów Ludzi Lodu mógł przejść do Królestwa Ciemności? Wątpiła w to, w dodatku nie bardzo też ufała własnym nadprzyrodzonym zdolnościom. Nieporadnie usiłowała skupić się na Tengelu Dobrym i ściągnąć na siebie jego uwagę, była jednak zbyt wzburzona, za bardzo przestraszona i osamotniona. Nic jej z tego nie wyszło.

Wreszcie uświadomiła sobie jedno: nie mogła liczyć na to, że ktokolwiek jej pomoże. Sama nawarzyła piwa i sama będzie musiała je wypić.

Mało brakowało, a nie zapanowałaby nad ściskaniem w gardle, nerwowo mrugała powiekami, starając się odegnać lzy.

W końcu zdecydowała się ruszyć drogą, która wydała jej się najbezpieczniejsza, a raczej najmniej niebezpieczna. Jasne bowiem było, że bezpieczna droga przez terytorium bestii nie istnieje.

Przeszła tak daleko, jak tylko się dało w prawo wzdłuż przepaści, która wyraźnie się obniżała. Nad sobą miała skalne nawisy, pod nią rozciągały się zarośla zamieszkane przez potwory. Starła się za wszelką cenę pozostać niewidoczna i z dołu, i z góry. Wreszcie nie była już w stanie posuwać się dalej prosto, musiała spuścić się w dół, przedrzeć przez las wroga i dotrzeć do muru. Gdyby tylko udało jej się dostać w pobliże niewidzialnej kopuły, być może byłaby bezpieczna.

Wybrała drogę przez teren, w którym siedziby bestii leżały w największym oddaleniu od siebie. Jednak gęste zarośla wydawały się tam nie przeniknione, mogło się w nich kryć wszystko.

Od dawna dziwił ją niezwykle blask, jaki miała przed oczami. Nie bardzo wiedziała, skąd się brał, wcześniej go nie zauważyła.

Szła dalej, skradając się, bardzo nie chciała, żeby ktokolwiek ją zaskoczył.

Ale tak właśnie się stało. Niespodziewanie została napadnięta.

Od tyłu zaatakowały ją dwa potwory.

11

Miranda zobaczyła ich owłosione ramiona, poczuła ostry zapach dzikiego zwierzęcia, jeden z nich ugryzł ją w szyję pod uchem.

Było to ohydne ukąszenie ostrych zębów, żadne pieszczotliwe muśnięcie. Potwory chciały ją zabić.

Próbowała wykrzyknąć swój ból, ale druga z bestii mocno zacisnęła ręce na jej szyi.

Miranda zaczęła się dusić, na próżno starła się wyciągnąć pistolet.

Nagle oba potwory zanosły się wrzaskiem i rozluźniły chwyt. Potem potoczyły się na ziemię i padły jak martwe.

Dziewczyna, przerażona i zdumiona, odwróciła się, przyciskając rękę do rany. W gorączce walki usłyszała jakiś świst, nie miała jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Teraz wreszcie się zorientowała, co zaszło.

W plecach każdego z potworów tkwiła strzała.

Miranda podniosła głowę.

Wysoko ze skalnej półki spoglądali na nią dwaj mężczyźni.

Haram i Gondagil.

Haram? Nie zaliczał się wszak do jej serdecznych przyjaciół, po prawdzie żaden z nich nim nie był.

Być może w taki oto sposób dziękował jej za ocalenie życia, odwzajemnił przysługę.

Raczej powodował nim strach, że Święte Słońce wpadnie w niewłaściwe ręce, pomyślała trzeźwiej Miranda. Ojej, jak ta rana krwawi!

W każdym razie uniosła dłoń w geście podziękowania. Przez moment miała ochotę wrócić do nich na górę, wiedziała jednak, że to doprowadzi do niezgody między dwoma przyjaciółmi, a może nawet całymi plemionami. Musiała wreszcie przyznać, że jej misja w Królestwie Ciemności zakończyła się niepowodzeniem.

Gondagil machnął ręką, zorientowała się, o co mu chodzi, wskazywał jej drogę. Gestem dała mu znać, że rozumiała.

Przestali ją już ścigać, znajdowali się zresztą za daleko, bliżej miała teraz do muru niż do nich.

Dopiero gdy odeszła spory kawałek od tamtego miejsca, uświadomiła sobie, że z łatwością mogli zastrzelić także ją, a potem zejść na dół po Słońce i resztę jej cennego wyposażenia.

Nie uczynili tego jednak. Mirandę ogarnęło takie wzruszenie, że musiała na chwilę przystanąć i otrzeć oczy.

Trzeba przyznać, że są wyborowymi strzelcami. Odległość od półki, na której stali, do niej była naprawdę duża.

Nie bardzo już wiedziała, gdzie jest. Otaczał ją gęsty las. Z oddali słyszała gardłowe krzyki potworów i starając się okrążyć ich siedziby szerokim łukiem, zboczyła z wyznaczonego kursu. Teraz bała się, że idzie wprost na zatracenie. Nieustająco jednak miała w zasięgu wzroku mur odgradzający Królestwo Światła.

Powinna już chyba być w pobliżu bezpiecznego pasa.

I wtedy właśnie weszła na wielką grupę bestii.

Stanęła jak sparaliżowana, wyzbyta z wszelkiej woli działania, pewna, że oto nadszedł jej kres. One jednak także skamieniały, wpatrywały się w nią tylko, a potem nagle z przeraźliwym wrzaskiem odwróciły się i uciekły, jakby sama Śmierć je goniła.

Na miłość boską, pomyślała, czując, jak krew spływa jej za bluzkę.

Ale... Czy którejs z bestii nie widziała już przypadkiem wcześniej? Tej o brudnoryżych włosach? Inne miały ciemne futro. Tak, chyba rozpoznała oblicze jeszcze jednego potwora.

Oczywiście, to tamci, tamci, którzy zaatakowali ją i Waregów na skałach, a ona, ani trochę tego nie chcąc, zastrzeliła jednego ze swego pistoletu.

Wcale nie jej tak się teraz wystraszyli, tylko jej śmiercionośnej broni.

Dziękuję, przyjacielu, pomyślała, delikatnie gładząc laserowy pistolet.

Ruszyła dalej, czuła się teraz bezpieczniej.

Z rezygnacją roześmiała się do siebie. Oto jeszcze niedawno zastanawiała się nad możliwością przekazywania myśli, nad użyciem galdrów i wykorzystaniem duchów, które mogłyby ją uratować, a przecież miała coś jakże przyziemnego, ale za to nowoczesnego i strasznego. Pistolet, którym mogła się bronić.

O rzeczywistości, niekiedy bywasz bardzo gorzka!

Kontynuowała swą długą wędrówkę przez jakże upiorną Dolinę Cieni. Często musiała nadkładać drogi, pomimo świadomości, że ma niezawodną broń, bała się jakiegoś przypadkowego nieostrożnego kroku. Im mniej bestii spotka, tym lepiej. Naprawdę nie chciała zabijać. To, co już się stało, było zbyt tragicznym doświadczeniem, wszak i potwór ma jakieś swoje życie, może rodzinę, bliskich, pomyślała ze łzami w oczach. Nigdy nie chciała gasić niczyjego życia, chciała je poprawiać.

Niekiedy okoliczności zmuszają człowieka do okrutnych czynów.

Już sądziła, że przedarła się przez wrogi obszar, gdy zrozumiała nagle, że źle obliczyła odległość i kierunek. Weszła prosto na jedną z osad, prawdopodobnie ostatnią w Dolinie Cieni, tuż przed wysokimi i niedostępnymi górami.

W osadzie przebywała spora gromada bestii. Nie zaatakowały jej jednak, tylko się w nią wpatrywały, straszne w swej dzikości. Mirandę najbardziej przerażało to, że były czymś pośrednim między człowiekiem a zwierzęciem. Choć po prawdzie zwierzęta poczułyby

się urażone, gdyby ktoś chciał porównywać z nimi te stwory. Miranda miała już na końcu języka określenie „te małe diabły”, bo podobieństwo było niezaprzeczone.

Nie patrzyła na nie dłużej niż sekundę, już miała odwrócić się i uciec, gdy wydarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Miranda zdawała sobie sprawę, że potwory z tej osady nie mogły słyszeć o niej i o jej zabójczej broni, osada leżała w zbytnim oddaleniu, niemniej jednak jej mieszkańcy, głównie kobiety i dzieci oraz kilku mężczyzn, padli na kolana, dotykając czołami ziemi i mamrocząc przy tym jakąś gardłową modlitwę. Miranda nie rozumiała jej słów.

Usunęła się cicho, zanim przyszło im do głów coś nowego.

Biegła co sił w nogach przez leśne zarośla, wymijając nieliczne tu wysokie drzewa.

Pędziła potykając się, aż w ustach poczuła metaliczny smak. Musiała się zatrzymać, stopy nie chciały jej dłużej nieść. Na szczęście wytęskniony mur miała właściwie w zasięgu ręki. Nie było już żadnych wątpliwości, widziała go, mogła podejść i dotknąć. Skrzywiła się, rana dotkliwie piekła.

Zaszła zbyt daleko na prawo i teraz na uginających się ze zmęczenia nogach ruszyła wzdłuż muru, aż dotarła do wejścia. Nikt jej już nie przeszkadzał.

Trzykrotnie ją uratowano, najpierw Waregowie, drugi raz wspomnienie pistoletu, który najwidoczniej wywarł na bestiach ogromne wrażenie, ale trzeci raz? Co, na miłość boską, ocaliło ją, gdy ponownie zetknęła się z potworami?

No cóż, nie miała zamiaru tracić czasu na rozważania, teraz najważniejsze odprawić wszystkie ceremonie Strażników i otworzyć wrota w murze również z zewnątrz.

Ale skąd bierze się ta niezwykła, lekko niebieskawa poświata?

Rozejrzała się, sprawdziła, czy nikt jej nie obserwuje, powiodła wzrokiem ku szczytom skał, ale tu w dole las dokładnie ją zasłaniał. Spokojnie mogła więc odprawić cały rytuał. Przeżyła kilka pełnych udręki chwil, zanim wrota się otworzyły. Rozsunęły się jednak, to najważniejsze. Pospieszenie przeszła przez nie i zamknęła je w taki sam sposób, tyle że w odwrotnej kolejności.

Gdy wreszcie znalazła się bezpieczna za nieprzebytym murem, odetchnęła głęboko.

Ekspedycja dobiegła końca. Nie dokonała rewolucji w mrocznym, ponurym świecie, za to nieprawdopodobnie dużo się o nim dowiedziała.

Ruszyła przez las w kierunku swojej gondoli, z lękiem obmacując szyję.

Gondagil raz zwrócił się do niej po imieniu. Zawołał chyba: „Uważaj, Mirando”, albo coś podobnego. Wypowiedział jej imię. Ten fakt napełnił ją przyjemnym uczuciem, nie wiedziała, że wypowiedzenie czyjegoś imienia może tak wiele znaczyć. Lecz czy nie to samo wyczytała w twarzy Gondagila, gdy wymówiła jego imię? Chyba tak.

Powróciła myślą do ostatniego spotkania z potworami w ich osadzie. Gotowa już była rzucić im zapaloną latarkę, by odwrócić ich uwagę, za wszelką cenę bowiem chciała uniknąć konieczności ponownego użycia pistoletu. Manewr z latarką okazał się jednak zupełnie niepotrzebny.

Wciąż nie mogła pojąć, co się stało. Musieli wszak wcześniej widzieć ludzi, zdarzało się przecież, że zarówno Strażnicy, jak i Obcy zapuszczali się w Ciemność, a niektórych specjalnie tam wysyłano, tak jak ostatnio Johna.

Ale przed nią padli na kolana. Czyżby w geście uwielbienia? No tak, czy nie tak właśnie się stało?

- To niepojęte! - westchnęła.

Rana pulsowała, lecz wreszcie przestała krwawić.

A oto i gondola, dzięki wam, dobre moce, zmęczenie bowiem naprawdę dawało się już we znaki, ciało drżało z wycieńczenia, bolało i piekło.

Ale Miranda nie wróciła prosto do domu. Z własnej inicjatywy udała się do wielkiego ośrodka oczyszczania, by przejść przepisową kwarantannę. Dyżurującej Strażniczce wyjaśniła, że zajmowała się zbieraniem nieznanego gatunku grzybów na skraju krainy, boi się więc, że grzyby mogą zawierać jakieś nieznanne cząsteczki.

Zastanawiała się, czy Strażniczka jej uwierzy, lecz ta ledwie jej słuchała. Szerokimi ze zdumienia oczyma przypatrywała się dziewczynie.

- Na miłość boską, w coś ty się wplątała, gdzie ty byłaś? Co robiłaś?

- A dlaczego? - zdziwiła się Miranda. - Jak już mówiłam, nieznaną grzybkę...

- Rzeczywiście musiały być bardzo niezwykłe. Przejrzyj się w lustrze.

Miranda podeszła niepewnie, czyżby była do tego stopnia zakrwawiona i obita?

- Ojej, mój ty świecie - szepnęła zaskoczona. - Teraz już rozumiem.

- Co rozumiesz?

Rozumiem już, dlaczego okazali mi uwielbienie, chciała powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

- Nie, nic, nic ważnego. Czy możesz mi dać jakiś antyseptyczny plaster, podrapałam się i mam strasznie dużo siniaków. Upadłam i okropnie się potłukłam.

Pojęła teraz, skąd wzięła się poświata przed jej oczami: pochodziła od niej samej. W lustrze zobaczyła, że otacza ją połyskująca, świecąca aura. Przypominała anioła, a może nawet boginię z niebieską jak farbka aureolą.

Ani Haram, ani Gondagil nic o tym nie wspomnieli, aura musiała więc się pojawić później, kiedy się już z nimi rozstała.

Zrozumiała wreszcie.

Dość długo siedziała z dłońmi wokół kasetki ze Świętym Słońcem, przez skrzyneczkę musiało przeniknąć nie tyle światło, co moc słońca, napełniając ją... no tak, czym? Siłą czy też czymś innym?

Nie wiedziała. W każdym razie sama zaczęła świecić i jeśli nie jest zdecydowanie złym człowiekiem, to działanie złocistej kuli będzie miało na nią wyłącznie dobry wpływ.

Miranda nie wierzyła, że jest jakoś szczególnie zła, ot, przeciętna, chyba jak większość.

A Święte Słońce nigdy źle nie wpływało na zwyczajnych ludzi, na ogół stawali się lepsi.

Może od tej pory Miranda będzie miłsza dla swej siostry?

Drgnęła, słysząc głos Strażniczki.

- Co to za grzyby? Masz je przy sobie?

- Nie, nie zabrałam. Myślę jednak, że ta gloria to nie jest ich sprawa, dość długo po prostu pracowałam w bezpośrednim sąsiedztwie Słońca i zapewne właśnie ono pozostawiło taki ślad.

Było to bardzo mętne wyjaśnienie, ale Strażniczka je zaakceptowała. Miranda przeszła cały proces oczyszczania, choć zdaniem Strażniczki zupełnie niepotrzebnie, skoro

przebywała w obrębie krainy. Wreszcie młoda wicherzycielka oklejona plastrami mogła bez wyrzutów sumienia wrócić do domu. Promienna aura powoli bladła, i dobrze, jeszcze ktoś nabrałby ochoty, by zadawać pytania.

12

- Co, u diaska, porobiło się z naszą Mirandą? - spytała dwa dni później Indra swego ojca. Gabriel westchnął.

- Nie życzę sobie, żebyś tak okropnie przeklinała, Indro.

- „U diaska” to nie żadne przekleństwo, po prostu takie wyrażenie, które ubarwia język - odparła jego swawolna córka. - Ale musisz przyznać, że ona się dziwnie zachowuje. W jednej chwili rozjaśnia się w promiennym uśmiechu, to znów jęczy, no, nie na głos, ale przypomina lady Macbeth, żalującą popełnionej zbrodni. Spróbuj z nią porozmawiać, ojczu, do mnie tylko głupio się uśmiecha.

Gabriel obiecał, że przeprowadzi rozmowę z Mirandą, i kiedy tylko nadarzyła się okazja, zapytał młodszą córkę wprost, co ją dręczy.

Miranda miała wrażenie, jakby z barków zdjęto jej ogromny ciężar.

- Już myślałam, że nikt mnie nie spyta - westchnęła. - Ojczu, nie wiem, co robić, bałam się rozmawiać z kimkolwiek. Nie umiem znaleźć wyjścia z tej sytuacji, mam naprawdę ogromny problem.

- Opowiedz mi o wszystkim - rzekł Gabriel serdecznie, nie mając pojęcia, jakiej podejmuje się odpowiedzialności.

Gabrielowi od dawna dokuczala przykra świadomość, że radując się z przynajmniej częściowego odzyskania syna Filipa zaniedbał Mirandę i Indrę. Ostatnio nie mówił o niczym innym, jak tylko o powrocie Filipa.

Miranda urwała, wyglądało na to, że wręcz żałuje, iż cokolwiek powiedziała, łagodnie zaczął więc od nowa:

- Co ci jest, Mirando? Co się wydarzyło? Strażniczka ze stacji kwarantanny dała znać Ramowi, że masz paskudną ranę na szyi. Owszem, zauważyłem plaster, ale jak właściwie doszło do tego zranienia? Czy dobrze je opatrzyłaś?

- Tak, tak - zapewniła pospiesznie Miranda.

Prawdą było jednak, że w ranę wdała się nieprzyjemna infekcja, dziewczyna musiała nawet zwrócić się o pomoc do Jaskariego. Nie pokazała mu rany, poprosiła tylko o antybiotyki, przepisał je od razu, nie zadając zbyt wielu krępujących pytań. Zrobił jej nawet zastrzyk przeciwtężcowy, wierząc, że ugryzł ją bezpański pies. Miranda nie za dobrze wybrała sobie zwierzę, kto bowiem widział w Królestwie Światła bezpańskiego psa? Najważniejsze jednak, że rana wreszcie zaczęła się goić.

- Ojczu - rzekła Miranda. - Jeśli opowiem ci o wszystkim, czy obiecasz, że nie zrobisz koszarnej awantury? Muszę się tym z kimś podzielić, bo dowiedziałam się o czymś, co jest prawdziwą sensacją, chociaż dla własnego dobra powinnam trzymać gębę zamkniętą na kłódkę!

- Przysięgam, że bez względu na to, co wymyśliłaś, nie będę krzychał. Słowo honoru!

- Doskonale. A więc, usiądź, ojczu, bo usłyszysz naprawdę wstrząsające rzeczy.

I tak Miranda zrelacjonowała całą historię swej zakończonej niepowodzeniem ekspedycji ratunkowej.

Podczas gdy córka mówiła, Gabriel nie odezwał się ani słowem. Nie mógł, siedział zdrętwiały, oniemiały. Sądził już, że Ludzie Lodu mają za sobą wszelkie niebezpieczne przedsięwzięcia zmierzające do ratowania świata. Tymczasem jego ukochana osiemnastoletnia córka tak spokojnie mówi o swej akcji! Gabrielowi zakręciło się w głowie na myśl o tym, co mogło się stać. Najgorsze, rzecz jasna, że gdyby Miranda zginęła gdzieś w Ciemności, nikt w Królestwie Światła by nie wiedział, co się z nią stało. Nie miał nawet siły, by ją złapać, całkiem osłabł.

Gdy jednak przekazała mu najważniejszą informację, wyprostował się. Patrzył na córkę, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Jesteś pewna, że tak powiedzieli? O Górach Czarnych?

- Tak, ojczec. Dlatego właśnie czułam, że muszę się przyznać do mojej wyprawy.

Chciałabym, aby ktoś odszukał tych dwóch Waregów i wyciągnął od nich szczegóły. Ktoś z krainy Timona może wiedzieć więcej o tej sprawie.

- Ale nikomu nie wolno...

- Obcy opuszczają Królestwo Światła - upierała się Miranda. - A trzeba odszukać Harama i Gondagila, takie imiona nosili moi przyjaciele.

- Przyjaciele - westchnął Gabriel z rezygnacją.

Miranda nie zwracała na to uwagi.

- Jeden przeraża swoją dzikością, ale z nich dwóch lepszy, to Gondagil. Haram pomimo długiej blizny na twarzy jest bardzo przystojny, na niego jednak trzeba uważać.

- Kochana Mirando - przerwał jej Gabriel. - Spróbuj zejść na ziemię! Jak najsurowiej zakazuję ci tam wracać. Tym razem miałaś niesłychane wprost szczęście...

- O, to coś więcej niż tylko szczęście - mruknęła dziewczyna.

- Natychmiast skontaktujemy się z najważniejszymi osobami w kraju. Porozmawiam zaraz z Ramem i Markiem, by czym prędzej zorganizować spotkanie.

- Ja chyba nie muszę brać w nim udziału - żałośnie usiłowała prosić Miranda.

Na nic jednak zdały się jej błagania. Miranda musi być obecna, musi ponieść konsekwencje swego zuchwałego postępu, Gabriel okazał wyjątkową stanowczość.

Nie zwlekając zasiadł do telefonu i zwołał nadzwyczajne zebranie przypominającym pałac domu Marca. Zapowiedział, że ma do przekazania nowe informacje dotyczące Gór Czarnych.

Zgłosiło się wielu zainteresowanych, ciekawych, co też ma do powiedzenia Miranda. Na razie jednak nikt nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi i skąd Miranda ma jakiegokolwiek wiadomości.

A Miranda dosłownie trzęsła się ze strachu przed tym spotkaniem.

Miranda, przybywszy do domu Marca, ku swej radości zastała tam wszystkich swych młodych przyjaciół, Joriego, Jaskariego, Indrę, Elenę, Armasa, Oko Nocy, Berengarię, Siskę i Sassę, a nawet Tsi-Tsungę o rozbawionych zielonych oczach.

- Co wy tu robicie? - spytała zachwycona.

- Ram prosił, żebyśmy się zjawili - odparł Jaskari.

- Ram? Dlaczego? Czy on wie...?

Zerknęła na potężnego Strażnika. Siedział z prawdziwie kwaśną miną.

Ojciec wszystko mu wygadał, pomyślała, czując, jak serce ucieka jej w pięty. No cóż, przynajmniej uniknie bezpośredniego wybuchu gniewu groźnego Strażnika.

Ale nie tylko Ram będzie się gniewać. Ojej!

Marco powitał ją jak zwykle życzliwie i poprosił, by usiadła wraz z nim i Ramem przy krótszym boku wielkiego stołu. Gabriel także miał zająć miejsce w pobliżu, podobnie Móri i Dolgo. I... Och, zauważyła, że są także Obcy!

Dwóch z nich poznała już wcześniej: Strażnika Słońca i ojca Armasa, Strażnika Góry. Ale przyszedł z nimi jeszcze jeden, którego nigdy przedtem nie widziała. W jednej chwili zrozumiała, że musi to być bardzo wysoko postawiona osoba, zdradzała to cała jego postać, ezoteryczne znaki, które nosił przy naszyjniku i opasce we włosach, niezwykle strój i wrodzone dostojeństwo. Miał wprawdzie rysy czterdziestolatka, znać jednak po nim było, iż nosi w sobie dziedzictwo wieków.

Na miłość boską, pomyślała Miranda, co ja narobiłam?

Czworo Madragów rozmawiało z Natanielem i Ellen i... o rety!

Z początku nie poznała wielkiej gromady w sali, wreszcie jednak zrozumiała: to duchy Ludzi Lodu.

Wszystkie, nawet jej mały braciszek.

Ale gdy jednego z duchów zaproszono wraz z Natanielem do głównej części stołu, Miranda pokiwała głową z uznaniem. Słuszna decyzja.

W wielkiej „sali rycerskiej”, jak Indra nazywała dzieło nowoczesnych mistrzów, znalazło się też sporo innych znajomych. Rodzina czarnoksiężnika, mnóstwo Strażników, wielce szanowani Lemurowie, Cień, duchy Móriego.

Co oni wszyscy tutaj robią?

Miranda zrozumiała, że to w istocie nadzwyczaj ważne zebranie.

A jego przyczynę stanowiła właśnie ona.

Miała ochotę schować się pod stół.

Ram podszedł i wziął ją za ucho, na poły żartobliwie, na poły poważnie, i poprowadził do stołu. Poprosił, by wszyscy zajęli miejsca.

Kiedy krzesła wokół trzech długich stołów przestały szurać, Ram wstał. Uroczyście powitał zebranych, szczególnymi honorami obdarzając przy tym wysokich Obcych.

Potem zaczął swoją przemowę:

- Mój przyjaciel Gabriel z Ludzi Lodu zwrócił się do Marca i do mnie z prośbą o radę. Gabriel i ja jesteśmy jedynymi mieszkańcami naszej krainy, którzy wiedzą, jakie przedsięwzięcia podjęła jego nieposłuszna córka Miranda.

Określenie „przedsięwzięcia” w tym kontekście nie miało pozytywnego wydźwięku. Ram jednak podkreślił, aby nie było żadnych nieporozumień, że wyrażając się tak, miał na myśli nie mającą granic żądzę przygód.

No cóż, to nie do końca prawda, pomyślała Miranda. Może raczej należałoby powiedzieć „misjonarskie zapędy”, ale nie, ona sama też nie potrafiła znaleźć właściwego określenia.

Ram podjął:

- Uznaliśmy, że zanim usłyszymy o dramatycznych przeżyciach Mirandy, powinniśmy wreszcie odślonić przed wami „wielką tajemnicę”. Powiadomić was, czym zajmujemy się

od tak dawna, że trudno by wam było to pojąć. Niedawno otrzymaliśmy nieocenioną pomoc, mam tu na myśli, rzecz jasna, Madragów i ich umiejętności.

- Ojej! - wykrzyknął Jori. - Tajemnica Srebrzystego Lasu?

Taran, jego matka, uciszyła go, lecz Ram tylko się uśmiechnął.

- Właśnie, a teraz, dzięki Mirandzie, posunęliśmy się o krok, o wielki krok naprzód.

Dzięki Mirandzie? On naprawdę tak powiedział, z ulgą pomyślała wzruszona dziewczyna. To znaczy, że tak strasznie się na nią nie gniewa.

- Ile właściwie wiecie o tajemnicy? - spytał Ram zebranych.

Zapadła cisza. Madragowie, niektórzy Strażnicy i Lemurowie uśmiechnęli się leciutko. Oni wiedzieli całkiem sporo, lecz pozostali...

- Szczerze powiedziawszy - odezwała się Taran - nie wiemy absolutnie nic, ale przyznam, ogromnie mnie to interesowało już od pierwszego dnia, kiedy tu przybyłam.

- Wiem o tym - uśmiechnął się Ram. - No cóż, teraz nadszedł czas, abyście wszyscy się dowiedzieli.

Miranda widziała, że Jori z najwyższym trudem zachowuje cierpliwość. Domyślała się, jak brzmi dręczące go nie zadane pytanie: „Dlaczego właśnie my? Dlaczego nie wszyscy mieszkańcy naszej krainy?”

Ale chłopak milczał.

- Sądzę, że orientujecie się, iż ma to związek z ocaleniem ziemskiego globu - powiedział Ram.

Wszyscy pokiwali głowami.

- Tak też jest w istocie - potwierdził. - Sami wiecie, jak bardzo ludzkość rozwinęła się przez wieki. Wiecie, że ludzki umysł się doskonalił, a środki techniczne, technologia, wynalazczość i w ogóle nauka w ostatnim stuleciu wprost eksplodowała. Problem polega tylko na tym, że sami ludzie przestali za tym rozwojem nadążać. Przeszkadzają im niskie instynkty, żądza zysku, walka o władzę, przestępczość. Wszystko to wisi nad przyszłością ludzkości niczym czarna burzowa chmura.

Uczynienie człowieka jeszcze bardziej inteligentnym na nic się nie zda, będzie wymyślał coraz bardziej niebezpieczną broń, podejmował kolejne wiodące do zguby kroki.

Tym, czym musimy się zająć, co musimy ulepszyć, jest ludzka dusza. Zgadzaście się ze mną?

Nikt nie protestował.

- Przez wszystkie te lata Obcy, Strażnicy i Lemurowie pracowali nad znalezieniem środka, który uczyniłby człowieka otwartym na to, co dobre i ciepłe, czyste i szlachetne. Naszą bronią jest miłość do wszystkiego, co istnieje na Ziemi, tylko w ten sposób można ocalić ziemski glob. Usuwanie egoistów, przestępców i despotów na nic się nie zda. To zresztą syzyfowa praca, gdyż nowi marni duchem ludzie będą się zawsze pojawiać.

Ram zrobił krótką przerwę.

- W naszych eksperymentach udało nam się zejść dość daleko, przede wszystkim dzięki Świętemu Słońcu, zsyłającemu spokój i miłość na udręczonych ludzi. Zgromadziliśmy, czy też wyprodukowaliśmy komponenty, które można wstrzyknąć każdemu ludzkiemu dziecku, przychodzącemu na świat, tak by było najlepszego rodzaju. Nie mam na myśli

wyglądu zewnętrznego, bo nie o to walczymy, lecz cechy, które umożliwią mu pojmowanie wszystkiego, co widzi, i przeżywanie tego z miłością i troską. Wielki krok naprzód uczyniliśmy, jak już wspomniałem, dzięki Madragom, lecz i inni przybyli do naszej krainy wnieśli wielki wkład w rozwój upragnionego środka. Większość z nich znajduje się dzisiaj tutaj.

Wielu młodych odruchowo wyprostowało plecy.

- Nie zdając sobie z tego sprawy, pomogliście nam na różne sposoby. Najważniejsze jednak... - Ram znów umilkł.

- Wszyscy mieliśmy świadomość, że brak nam bardzo ważnego i cennego składnika, który by sprawił, że nasz specyfik stanie się idealny. Wiedzieliśmy także, że akurat ten składnik znajduje się tu, w centralnym punkcie Ziemi, dlatego też tutaj wybudowaliśmy nasze laboratoria. Całymi latami uparcie poszukiwaliśmy brakującej cząsteczki. Wreszcie zaczęliśmy się domyślać, że musi, ona znajdować się w miejscu zwanym Górami Umarłych czy też Górami Czarnymi. Wyprawienie się tam jednak w poszukiwaniu czegoś, czego natury nie znamy, wydawało się zbyt ryzykownym przedsięwzięciem. Staraliśmy się zebrać jak najszlachetniejszych, najdzielniejszych i najlepszych ludzi, których można tam wysłać, lecz wciąż jeszcze nie mamy wszystkich, którzy powinni wyruszyć. I pamiętajcie, nie wiemy, czego szukamy ani gdzie tego szukać. Góry Czarne są straszne, nieliczni z nas, którzy postanowili się tam udać, nie wrócili.

Przypuszczaliśmy, że chodzi o jakiś kwiat czy też ziele, ale nasze domysły były błędne.

Dzisiaj wiemy więcej, dzisiaj młoda Miranda przyniosła nam jedną z odpowiedzi.

Mirando... czy zechcesz zabrać teraz głos?

Dziewczyna drgnęła gwałtownie, słysząc swoje imię. Oblała się rumieńcem i wstała zmieszana.

- Ile mam powiedzieć? - szeptem spytała wysokiego dostojnego Rama. - Tylko to, czego się dowiedziałam?

- Uważam, że powinnaś opowiedzieć całą historię swej wyprawy - oświadczył Strażnik bezlitośnie. - Oczywiście niezbyt rozwlekle.

Sadysta, pomyślała Miranda. Taką więc karę mi wyznaczyłeś, chcesz mnie totalnie pognać?

Ale kiwnęła głową, nerwowo pogładziła twarz i zaczęła mówić:

- Dopuszczałam się większości czynów, które w Królestwie Światła są zabronione. Żałuję bardzo i proszę o wybaczenie.

Zapadła pełna zdziwienia cisza. Miranda nie śmiała podnieść głowy, wzrok utkwiała w błyszczącej czarnej tafli stołu. W pałacu Marca, niezwykle pięknym budynku, postawionym w hołdzie księciu Czarnych Sal, znajdowało się wiele czarnych szczegółów. Och, nie, na nic się nie zdadzą myśli o wspaniałych budowlach.

Miranda podjęła opowieść z odwagą, do jakiej niekiedy skłania człowieka rozpacz:

- Oszukałam Rama i innych Strażników, podając fałszywe powody wyjechałam od nich prawdziwe Słońce, miałam bowiem jedno jedyne marzenie: zanieść światło i ciepło nieszczęsnym mieszkańcom Ciemności.

Przez salę przeszło westchnienie zdumienia. A przecież to dopiero początek opowieści!

- Szpiegując Strażników odkryłam drogę na zewnątrz i pewnego dnia w zeszłym tygodniu po prostu wyszłam.

- To ci dopiero - usłyszała szept Joriego.

Miranda kilkakrotnie przełknęła ślinę.

- Nie chcę się teraz zagłębiać w to, co tam przeżyłam, ale nikomu nie radzę powtarzać mojego eksperymentu, potwory są naprawdę śmiertelnie niebezpieczne.

- Jakbyśmy tego nie wiedzieli - westchnął Jaskari. - Chyba całkiem ci się pomieszało w głowie, Mirando, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach by się tam nie wypuścił.

- Najwidoczniej oszalałam - przyznała ze smutkiem.

Opowiedziała teraz o Megacerosie, olbrzymim jeleniu, który ją ocalił. Obcy i niektórzy Strażnicy wiedzieli, że ten gatunek żyje w Ciemności, lecz wielu z obecnych bardzo zainteresowało zwierzę z zamierzchłej przeszłości i pragnęli poznać więcej szczegółów. Ram jednak nie zgodził się na żadne pytania i poprosił, by Miranda trzymała się tematu. Przecież to właśnie cały czas robię, chciała prychnąć, lecz się powstrzymała. W krótkich słowach opowiedziała o spotkaniu z Waregami.

Wzbudziło to kolejną falę zainteresowania i musiała dodać co nieco o Timonie Wielkim. Sama tego nie wyczuła, lecz w jej głosie zadźwięczały łagodniejsze tony, gdy mówiła o znajomych z Ciemności. Opowiedziała o przyjaźni, która z konieczności nawiązała się między nią a dwoma mężczyznami, mówiła też o Dolinie Mgieł, w której mieszka lud Timona. Gdy wpadła w zanadto liryczny ton, Ram jej przerwał.

- Wracaj do tematu - poprosił.

- No właśnie, jak wróciłaś? - podchwyciła Berengaria.

- To nie jest teraz istotne. Mirando, opowiedz, czego dowiedzielaś się od Gondagila i Harama.

- Znasz ich? - spytała ucieszona.

- Tylko z twojej relacji. Mów wreszcie, po to przecież się tu zgromadziliśmy.

Miranda wzięła głęboki oddech.

- No cóż, zapoznali mnie z legendą o Górach Czarnych, legendą, która wprawiła mnie w stan szoku, sądzę, że wielu z was poczuje się podobnie. Spytałam ich, czym właściwie są owe zjawiska dźwiękowe i świetlne, które docierają do nas od Gór Umarłych.

Odpowiedzieli mi mniej więcej tak...

Po krótkiej chwili podjęła:

- Legenda opowiada o wielkim smutku w Górach Czarnych, o tym, jak dobro i zło walczą o władanie, a zło wciąż zwycięża. Legenda mówi o tajemnych źródłach, ukrytych tak, że żaden człowiek nie zdoła ich odnaleźć. Z jednego tryska ciemna woda, z drugiego jasna woda dobra. Tu właśnie źródła biorą swój początek. Kiedyś prowadziły stąd na powierzchnię Ziemi dwa przejścia, które wychodziły wewnątrz Góry Czterech Wiatrów. Tej Góry jednakże już nie ma, zniknęła, pozostały jedynie pierwotne źródła.

Gdy Miranda umilkła, zapadła grobowa cisza. Wszyscy spojrzeli na Shirę, której wskazano miejsce przy najważniejszym stole.

- Nie - zaprotestowała cicho. - Nigdy więcej nie przejdę tamtą drogą, nigdy już, nigdy.

- Nie będziesz sama, Shiro - rzekł Ram łagodnie. - Wielu z obecnych tutaj zostało wybranych, by ci towarzyszyli. Marco, Dolgo, ja sam, Mar i kilkoro młodych, którzy siedzą

przy tych stołach. Czas jednak jeszcze nie nadszedł. Powinniśmy porozmawiać z Waregami. Wciąż jeszcze brakuje nam pewnych składników do naszego wywaru i co najważniejsze, ciągle czekamy na jednego z twoich towarzyszy, Shiro.

Miranda postanowiła się wtrącić.

- Poza tym, Shiro z Nor, z tego co mówili Haram i Gondagil, zrozumiałam, że tym razem nie ma mowy o żadnej pełnej udręki wędrowce poprzez mroczne gro. ty ludzkiej duszy, przez które wtedy musiałaś przejść.

Tym razem będzie to zupełnie coś innego. Nie mnie jednak pytaj co, wyjaśni ci to Gondagil.

Nie zorientowała się, że właściwie bez powodu wymieniła jego imię, lecz zauważyli to inni, zwrócili też uwagę na zmianę w tonie jej głosu.

Ram uśmiechem dodawał otuchy Shirze.

- Tym razem nie ty będziesz główną osobą, to mogę ci obiecać. Na pewno jednak rozumiesz, że musimy odnaleźć źródło jasnej wody, a ty jedna potrafisz się zorientować, czy idziemy właściwą drogą.

13

Miranda spodziewała się burzy oskarżeń i wyrzutów z powodu swej bezrozumnej wyprawy, nic takiego jednak nie nastąpiło. Zgromadzeni zainteresowali się Shirą i Górą Czarnymi. Miranda poczuła się nawet troszeczkę zawiedziona, wiedziała jednak, że nie czas na urazę i że raczej powinna się z tego cieszyć.

W sali wrzało. Na przemian rozlegały się to ożywione komentarze, to pełne zapału słowa nadziei na wzięcie udziału w poszukiwaniach jasnego źródła. Ram musiał w końcu uderzyć książką w stół, by przywrócić spokój. Gdy wreszcie echo huku rozpląnęło się gdzieś pod sufitem, mógł znów zabrać głos.

- Jeśli ktoś chce zadać jakieś pytanie, to proszę podnieść rękę.

W górę wystrzeliło co najmniej dwadzieścia dłoni.

- Ojej - westchnął Ram. - Musimy działać po kolei, Marco, ty zacznasz.

Zapadło milczenie, gdy przemawiał cieszący się ogromnym szacunkiem książę Czarnych Sal. Wszyscy lubili jego głos.

- Zastanawiam się, czy na samym początku nie powinniśmy się skoncentrować na innej niebezpiecznej wyprawie - zauważył. - Należałoby porozmawiać z przyjaciółmi Mirandy i z całym ludem Timona, może również inne plemiona wiedzą coś o Górach Śmierci.

Mirandzie rozbłyły oczy.

- W takim razie ja wam się przydam jako przewodniczka. No i przecież ich znam, a oni znają mnie.

- To niesprawiedliwe! - jedno przez drugie zawołali Sassa i Jori. - Teraz nasza kolej.

- Ależ, Sasso - upomniała dziewczynkę Ellen. - Jesteś stanowczo za młoda.

- Pochodzę z Ludzi Lodu - odcięła się mała, wnuczka Ellen i Nataniela. - Jestem więc tego godna, prawda, Ramie?

- Sasso, to oczywiste, że twój dziadek Nataniel będzie uczestniczyć w późniejszej drugiej wyprawie w góry, lecz w tej pierwszej...? Wydaje mi się, że jesteś za młoda, ale jeszcze zobaczymy - rzekł Ram na pocieszenie. Nie chciał niszczyć niczyjego zapału.

Miranda przyglądała się wspaniałemu wnętrzu pałacu Marca i cudownemu widokowi za wysokimi oknami. Otoczenie było piękne niemal do bólu. Duszę dziewczyny wypełniła rozpacz.

- Ale ja chcę zanieść im Słońce! - wykrzyknęła głośno, nie panując nad sobą.

Ram odwrócił się w jej stronę.

- Spokojnie, Mirando. Wiem, że pragniesz dobra wszystkim ludzi i wszystkich żywych istot. Jeśli Waregowie zgodzą się z nami współpracować, możemy się przynajmniej zastanowić nad tą sprawą.

Poderwała się z krzesła.

- O, tak!

- Wiesz jednak, że istnieje poważna przeszkoda w postaci potworów - ostrzegł.

Mirandzie opadły ręce.

- Wiem, i tak bardzo jest mi ich szkoda...

Ram pogładził ją po policzku i uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nigdy nie przestaniesz być sobą, Mirando.

Włączyli się do ogólnej dyskusji.

Po dość długiej chwili totalnego chaosu Ram znów uderzył w stół.

- Uważam, że najwyższy czas powtórzyć sagę Ludzi Lodu, a w każdym razie historię Shiry, nie wszyscy ją znają. Gabrielu, ty jesteś ekspertem.

Ojciec Mirandy wstał, czując powagę chwili. To dla niego wielki moment. Jako dziecko został wybrany, by zachować historię rodu dla późniejszych pokoleń. Teraz nadeszła chwila, gdy dzieło jego życia miało zostać wykorzystane w ważnej sprawie.

- No cóż, prawdziwym ekspertem jest raczej sama Shira - uśmiechnął się. - Wiem jednak, że Shira jest bardzo skromną i nieśmiałą dziewczyną... to znaczy kobietą.

Ojciec, tylko się nie ośmiesz, błagały w duchu Indra i Miranda.

Gabriel zapanował wreszcie nad nerwami i zaczął mówić:

- Najpierw musimy powiedzieć sobie co nieco o głównym wątku historii Ludzi Lodu. Nasz przodek, Tengel Zły, w dwunastym wieku podczas wędrówki nad Morzem Karskim odwiedził źródło zła w Górze Czterech Wiatrów. Do źródła tego dotrzeć może tylko osoba na wskroś przesiąknięta złem, którego nie zmaciła nawet odrobina dobra. Ciemna woda, którą wypił, dokończyła dzieła. Tengel stał się uosobieniem zła. Ponieważ jednak zło często towarzyszy głupota, właśnie ten słaby punkt postanowili wykorzystać potomkowie Ludzi Lodu. Podjęli nieludzko trudną walkę, ponieważ nasz straszny przodek w każdym pokoleniu jednego przedstawiciela rodu wskazał na służbę złu. Wiele duchów, które są dzisiaj z nami, zaliczało się niegdyś do tragicznie dotkniętych przekleństwem, udało im się jednak przemienić zło w dobro. Zachowali przy tym jedyną pozytywną cechę, jaką dało im przekleństwo, a mianowicie czarodziejską moc.

Przez kolejne stulecia Ludzie Lodu cierpieli pod ciężarem przekleństwa. Punkt zwrotny nastąpił w momencie, gdy obecna tutaj Shira zdołała dotrzeć do źródła jasnej wody w Górze Czterech Wiatrów. Woda ta mogła zneutralizować ciemną wodę zła. Wiadomo już było, że Tengel Zły ukrył gdzieś naczynie z mroczną wodą, a sam pogrążył się w letargu, oczekując, aż na ziemi nastaną dla niego lepsze czasy. Obudzić go miał zaklęty flet, coś jednak poszło nie po jego myśli i nie ocknął się tak, jak to planował. Walka Ludzi Lodu

polegała na próbach odnalezienia naczynia z ciemną wodą i unieszkodliwienia jej, zanim złemu przodkowi wróci przytomność.

Nie będę teraz opowiadał, w jaki sposób się to udało, wspomnę tylko, że to Nataniel, który jest dzisiaj z nami, z pomocą Marca i wielu, wielu innych musiał stoczyć straszliwą ostateczną walkę. Przypomnę natomiast, jak Shira odnalazła jasne źródło.

Gabriel zrobił przerwę, podczas gdy młode Lemurki przyniosły dla wszystkich poczęstunek. Miranda przyglądała się pięknym kobietom o osobliwych rysach twarzy i całkiem ciemnych oczach, a potem jej spojrzenie przesunęło się na Marca. Czy wykorzystywał możliwości, jakie mu dano? Czy też raczej łączyły ich zupełnie platoniczne stosunki? I to przyjacielskie, nie takie jak między panem a służącymi?

Sądząc po neutralnej życzliwości, jaką sobie okazywali, tak właśnie musiało być.

Usłyszała westchnienie Indry i odgadła, że myśli siostry krążą podobnym torem.

Zastanawiająco często ona i Indra myślały podobnie, choć przecież każda z nich żyła swoim własnym, jakże odmiennym życiem.

Marco... Miranda z całego serca życzyła mu miłości, nie przypuszczała jednak, by szczególnie za nią tęsknił.

Dolgo, wywodzący się z rodziny czarnoksiężnika, był taki sam. Marco i Dolgo stanowili parę najbliższych sobie przyjaciół, wszyscy o tym wiedzieli. Ale właśnie tylko przyjaciół.

Gabriel znów zaczął mówić. Na razie nie palnął jeszcze żadnego głupstwa i wszyscy słuchają go z uwagą, stwierdziła Miranda. Aż dziwne, jak wiele uczucia miała dla swego ojca. Nie chciała, by ktokolwiek go zranił i zasmucił.

- Przede wszystkim, Shiro - rzekł Gabriel - może zechciałabyś się przedstawić, powiedzieć, kim właściwie jesteś i skąd pochodzisz.

Drobniutka kobieta o mongolskich rysach wstała. Pod względem urody odziedziczyła to, co najlepsze i na wschodzie, i na zachodzie.

- Nazywam się Shira z Nor - zaczęła cichym, nieśmiałym głosem. - Moja matka Sinsiew wywodziła się z mieszanej rodziny. Jej ojciec, a mój ukochany dziad Irovar, był Nieńcem czy też Jurat-Samojedem, jak również nas zwa. Matka mojej matki, potężna szamanka, była Taran-gaiką, w jej żyłach płynęła więc krew Tengela Złego. Musicie wiedzieć, że miał on również potomków tam, na Północy, nad wielką zatoką Oceanu Lodowatego, czyli Morzem Karskim. Mojego ojca Vendela Gripa z Ludzi Lodu sprowadziła do naszej wioski wojenna tułaczka. Ja się urodziłam, moja matka umarła w połogu, a Vendela Gripa siłą zmuszono do powrotu. Wychował mnie dziadek, ojciec mojej matki. Tej nocy, gdy przyszłam na świat, odwiedziły go cztery żywioły: Powietrze, Woda, Ziemia i Ogień. Nakazały mu wychować mnie na najczystsze go człowieka, nieskażonego złem. Czeka mnie bowiem zadanie, jakie, miałam dowiedzieć się później.

Tak też się stało.

W latach czterdziestych osiemnastego wieku zabrano mnie do Góry Czterech Wiatrów, na skalną wysepkę na morzu. Tam zaczęła się moja koszmarowa wędrówka.

Czterdzieste lata osiemnastego wieku, pomyślała Miranda, właśnie wtedy przybyła tu rodzina czarnoksiężnika, chociaż to nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Musiałam przebyć wiele grot - tłumaczyła Shira. Przejść próby, które miały wykazać, czy jestem godna dotrzeć do źródła jasnej wody. Żadnemu człowiekowi nie życzę takiej wędrówki.

Umilkła, twarz ściągnął jej smutek, a potem podjęła:

- Z pomocą przyszedł mi mój najgorszy wróg Mar, który później stał się miłością mego życia. I dotarłam do źródła. Wyprawa ta jednak pozostawiła w mojej duszy nie gojące się rany, jeśli więc wędrówka do Gór Czarnych będzie podobna, nie ukończę jej i mam nadzieję, że okażecie mi wyrozumiałość.

- Nikt nie będzie od ciebie wymagał kolejnej ofiary - obiecał Ram z powagą. - Chcielibyśmy jedynie, abys poszła z nami i pomogła nam zlokalizować i zidentyfikować źródło.

- Mówisz „nam” - rzekł Uriel, mąż Taran. - Czy to znaczy, że weźmiesz udział w wyprawie?

- Wydawało mi się, że już o tym wspominałem - uśmiechnął się Ram.

- Jako dowódcy?

Ram zawahał się chwilę.

- Nie. Przewodząc nam będzie ten czcigodny Obcy.

Jego imię brzmi Talornin i znaczy „Ten, który wie wszystko”.

Miranda starała się zapamiętać wymowę. Talornin, z akcentem na „a”.

Wszyscy przenieśli spojrzenie na wysokiego Obcego, który wstał i ledwie dostrzegalnie się im skłonił. Teraz on przemówił, a jego głos brzmiał inaczej niż ludzki, przypominał poszept wiatru, krył w sobie eony czasu i przestrzeni, jakby niósł w sobie całą wieczność.

- Od dawna już czekamy na rozpoczęcie wyprawy w Góry Czarne. Gdy tu przybyliśmy w zaraniu dziejów, wybrali się tam moi pobratymcy, nigdy jednak nie powrócili z tych przerażających szczytów. Później próbowali i inni, z takim samym tragicznym rezultatem. Tym razem mamy świadomość, czego powinniśmy szukać. My także słyszeliśmy legendę o jakichś źródłach, lecz dopiero teraz, gdy Ludzie Lodu pomogli nam ją zrozumieć, wiemy, że to coś więcej niż tylko legenda. Cieszę się, że Ram wezwał mnie na to spotkanie, i dziękuję młodej Mirandzie z Ludzi Lodu za to, że pojęła znaczenie tego, co usłyszała w Królestwie Ciemności.

Miranda z Ludzi Lodu! Jak pięknie to zabrzmiało.

Dziewczyna musiała otrzeć kilka zdradzieckich łez wzruszenia, ale promieniowała radością. Ów Obcy, pozbawiony wieku, był naprawdę wielki i potężny. Poznali wcześniej Strażnika Góry i Strażnika Słońca, lecz oni byli tylko Strażnikami, pilnowali Świętego Słońca, które zostało na świecie, i skalnej ściany, na której wyryto tajemne runy, pokazujące drogę do złocistej kuli.

Strażnik Góry został ojcem Armasa. Armas także wyróżniał się wśród jej przyjaciół, miał w sobie ukryte siły. Mieszkał w północnej części krainy należącej do Obcych, lecz nigdy nie opowiadał o pobratymcach swego ojca. Tak mu przykazano i rówieśnicy to szanowali. Shira i Obcy usiedli. Teraz głos zabrać mógł każdy.

Ellen chciała coś powiedzieć.

- Pomysł, by uratować świat, dając ludziom czystość duszy, jest naprawdę wspaniały, ale to nie wystarczy. Sama dobroć i troskliwość to nie wszystko, pozwólcie, że przytoczę

parę przykładów. Kiedyś życzliwi misjonarze przekonywali mieszkańców Dalekiego Wschodu, że należy polerować ziarnka ryżu, bo dzięki temu będą czystsze. Pozbawili przy tym życia tysiące tamtejszych ludzi, bo z ryżu usunięto wszystkie witaminy i zdrowe elementy. A Norwegowie, tylko i wyłącznie w dobrych zamiarach, podarowali Sri Lance wielkie trawlerzy rybackie z myślą o bardziej racjonalnym rybołówstwie. Niestety, odebrali w ten sposób źródło utrzymania tysiącom rodzin rybaków, którzy każdego ranka wypływali na połów swymi małymi katamaranami. Nie było już zbytu na ich ryby. Istnieje wiele podobnych przykładów tak zwanego miłosierdzia.

- Rozumiemy, co masz na myśli, Ellen - zapewnił Ram. - I o tym także myśleliśmy. W skład tej kuracji dla całej ludności świata wchodzi również inteligencja i pojmowanie, co w danym przypadku jest słuszne.

- Dobrze, jestem zadowolona - odparła Ellen.

Rękę do góry podniósł Oko Nocy, Indianin. Chciał zabrać głos.

- Ten, na którego wciąż czekacie, który ma wam towarzyszyć w wyprawie w Ciemność do Gór Śmierci, kim on jest?

Ram zawahał się, a Jaskari dokończył pytanie:

- Czy ta osoba w ogóle istnieje?

- Tak - odparł Ram powoli.

- Czy jest tutaj, w Królestwie Światła? - dopytywała się Taran.

- Tak.

- Czy to ktoś, kogo znamy? - zastanawiał się Nataniel.

- Nie, jeszcze go nie spotkaliście.

Ach, tak, to jakiś „on”, pomyślała Miranda, a na głos spytała:

- Dlaczego musimy czekać?

- Ponieważ jego czas jeszcze nie nadszedł.

- Opowiedz nam o nim - poprosił Móri.

Ram zastanowił się.

- Dobrze. Mogę wam powiedzieć, że jest on trochę podobny do Shiry, Nataniela i Dolga, a po części także do Tarjeia.

Miranda nie potrafiła dostrzec żadnego podobieństwa między wymienionymi osobami, ale Ram ciągnął:

- Wszyscy czworo zostaliście wybrani, wyznaczeni do dokonania wielkich czynów.

Zadanie Tarjeia nie zostało wypełnione, gdyż nie miał on możliwości nawet rozpocząć

działania, lecz wyznaczono go do pokonania Tengela Złego. Kilkaset lat później takie

samo zadanie przypadło Natanielowi, ale on został starannie przygotowany. Nataniel

przyszedł na świat jako siódmy syn siódmego syna, jako potomek Ludzi Lodu,

oczywiście, lecz także Czarnych Aniołów, Demonów Nocy i Demonów Wichru, a dziad

jego babki, ojciec Marca, nie był byle kim. Shirę wychowano w czystości, postarano się,

aby stała się na wskroś dobra, by mogła dotrzeć do źródła jasnej wody. A Cień i duchy

Móriego przygotowały Dolga do odnalezienia Świętego Słońca. Fakt, że przy okazji

odzyskał także niebieski szafir i czerwony farangil, nie był przeszkodą, przeciwnie.

- A więc ów nieznajomy również został wybrany - podsumował Gabriel.

- Owszem, ale jego przygotowania jeszcze nie są zakończone.

Miranda wysilała umysł, żeby ustalić, kto to może być. Nie znała, rzecz jasna, wszystkich mieszkańców Królestwa Światła, ale powinna się domyślić, że tu czy tam może żyć jakiś szczególnie człowiek. O nikim takim jednak nie słyszała.

Upłynął jeszcze kwadrans i spotkanie dobiegło końca. Marco zatrzymał Mirandę.

- Zostaniesz chwilę, chciałbym z tobą porozmawiać.

Marco chciał z nią mówić! Miranda nie posiadała się z radości.

Zostali również Ram i wysoki Obcy, Talornin, a także jeden z Lemurów i Móri.

Jestem razem z wielkimi, pomyślała. Widziałam te zazdrosne spojrzenia Joriego i reszty.

Nie poproszono jej, by usiadła, wszyscy sześcioro stali.

Na twarzy Rama malowała się niezwykła powaga.

- Mirando, nie chcieliśmy wymierzać ci kary w obecności wszystkich, ale sama chyba rozumiesz, że to, co zrobiłaś, jest niewybaczalne.

Opuścił ją dobry humor. A więc dlatego ją zatrzymano.

Mogła tylko kiwnąć głową w odpowiedzi. Mężczyźni patrzyli na nią surowym albo zasmuconym wzrokiem.

- Zwiodłaś Rama i przekonałaś go, aby dał ci Słońce - powiedział Marco, w jego głosie brzmiał wielki żal. - Ty, jedna z Ludzi Lodu, podstępnie wyciągnęłaś informacje o Ciemności od życzliwych ci Strażników, szpiegowałaś tych, którzy wyprowadzali tego łotra Johna...

- Właściwie nie - Miranda zachłysnęła się słowami. Przypadkiem zobaczyłam, jak idą w stronę muru. Po prostu tam byłam i nawet nie podeszłam bliżej.

- Ale widziałaś, jak otwierano mur - rzekł Móri - Nie zdradzając swojej obecności.

- Tak - odpada Miranda ze spuszczoną głową. - Przyznaję, że tak było.

- Potajemnie zabrałaś też broń i przyrządy nie przeznaczone dla ciebie - ciągnął Ram. - Nie rozumiesz, jak niebezpieczny może być pistolet laserowy w ręku wroga?

- Czy nie masz nic na swoją obronę? - spytał Talornin, ten o niezwykłym głosie. - Oprócz tego oczywiście, że chciałaś tamtejszym ludziom zanieść Słońce.

- Nie, chociaż może... Jeśli to można uznać za obronę, naprawdę próbowałam na wszelkie możliwe sposoby dotrzeć do nieszczęśników w Ciemności.

- To prawda - kiwnął głową Ram. - Miranda z ogromnym uporem zadawała pytania i nieustannie prosiła.

Dziewczyna rozjaśniła się na moment, ale zaraz wtrącono ją w otchłań rozpacz.

- Postanowiliśmy już, jaką karę poniesiesz, Mirando - oznajmił Talornin. - Nie weźmiesz udziału w pierwszej wyprawie, tej do ludu Timona, mającej na celu zdobycie dalszych informacji o Górach Czarnych.

- Nie!

W tym jednym krótkim słowie mieściło się rozpaczliwe błaganie.

Bardziej dotkliwej kary nie mogli jej wymierzyć.

14

Gondagil leżał w swym leśnym mieszkaniu, nie mogąc zasnąć. Wstał wreszcie i wyszedł w wieczną noc panującą w krainie Timona.

Być może to jego przyjaciela Harama należałoby nazwać dzielniejszym, lecz on był jednocześnie bardziej zuchwały i bezwzględny. Gondagil posiadał przynajmniej pewną

dawkę inteligencji i zdolności przeżywania świata. W niebezpiecznych chwilach Gondagilowi zawsze można było ufać, nikt nie miał więcej śmiałości niż on, ale nikt też nie potrafił lepiej ocenić sytuacji. Haram po prostu na osłep rzucał się do boju i przyjaciel zwykle w ostatniej chwili musiał go ratować.

Dorastali razem, razem bawili się jako dzieci, ćwiczyli siłę w udawanych bójkach, teraz jednak gdy przeszli do świata dorosłych, różnice między nimi stawały się znacznie wyraźniejsze. Gondagil zauważył, że coraz częściej dystansuje się od tego, co robi przyjaciel. Bardzo mu się to nie podobało, nie chciał rozwijać się w innym kierunku niż Haram, sprawiało mu to ból, szarpało duszę.

Ostatnio wszystko jeszcze się pogorszyło. W świecie Gondagila pojawił się nowy element, budzący niepewność, a zarazem dodający życiu nieznanego dotąd napięcia. Nieodmiennie tęsknił za światłem. Marzenie o jego zdobyciu nigdy nie gasło, teraz jednak z Królestwem Światła zaczęło łączyć się coś więcej, coś, czego na razie nie potrafił określić. Gondagil przywykł do tego, by mieć kontrolę nad wszystkimi stronami swego życia, tym razem jednak było inaczej.

Znalazł się poniżej wzgórz barwy piasku, od tyłu odgradzających krainę Timona, w dole roztaczała się Kraina Mgieł. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje jego ukryta siedziba, nikt poza Haramem. Przyjaciel mieszkał w najbliższej wiosce, Gondagil zaś wolał żyć po swojemu, potrzebował samotności, poczucia swobody.

Lecz i tę potrzebę w ostatnich dniach coś naruszyło.

Niemal bezradnie rozejrzał się dokoła po przepięknej okolicy, w której brakowało tylko jednego: słońca i światła. Wszystko kryło się w wiecznych cieniach. Jego wzrok oczywiście do tego nawykł, widział więc równie dobrze jak w jasny słoneczny dzień. Nienawidził jednak tego wiecznego zmroku, całą swą duszą rozpaczliwie tęsknił za Królestwem Światła. Mógłby tam zamieszkać, lecz wrodzone poczucie sprawiedliwości skłaniało go, by raczej marzyć o przyniesieniu światła do własnego kraju.

Niewiele brakowało, by się to spełniło. Może dlatego cierpiał takie udręki? Przekłęta dziewczyna, dlaczego nie powiedziała tylko jemu, że ma przy sobie słońce? Na myśl o straconej szansie ogarniała go głęboka frustracja, zrozpaczony uderzył pięścią w drzewo.

Przekłęty Haram, wtedy przez krótki moment odczuł do przyjaciela prawdziwą nienawiść, przecież to wcale nie dziewczyna, lecz Haram zmarnował wspaniałą możliwość.

Kiedy uznali, że nie zdołają dogonić dziewczyny z umieszczonego wysoko punktu obserwacyjnego śledzili jej wędrówkę. I wtedy Haram zranił się w nogę, ześlizgnął się ze skały i zawisł nad przepaścią.

Jednego doświadczeni wojownicy nie mogli pojąć. Dlaczego ona wróciła? Uratowała człowieka, który chciał ją zabić. Może właśnie wtedy Gondagil podjął decyzję, że nie będzie jej dłużej ścigać? Sam nie wiedział, ale przecież mógł ją dogonić, mimo że wyciągnięcie Harama zajęło sporo czasu. Postanowił jednak zostać z rannym przyjacielem.

Na jego decyzję miało też zapewne wpływ przeświadczenie, że dziewczyna - Miranda, ładne imię - i tak nie zdoła się przeprawić przez terytorium potworów, a on mógłby przy okazji narazić się na prawdziwe niebezpieczeństwo. Ale i to nie wszystko. Miał dla niej

jakiś szacunek, taki sam, jaki niekiedy odczuwał dla leśnych zwierząt, szczególnie dla świętych jeleni. W jakiś niezwykle sposób podzielał jej sposób myślenia. Nic zresztą w tym dziwnego, sam wszak odznaczał się poczuciem sprawiedliwości. Z tą tylko różnicą, że on pragnął sprawiedliwości dla siebie i dla swego ludu, ona zaś myślała o innych, nawet o istotach, których wcześniej nie widziała.

Ta jej broń... Ach, jak bardzo chciałby ją mieć! Ale Haram kompletnie oszalał na punkcie pistoletu, powtarzał, że musi go zdobyć, nie mogli jednak nic zrobić, stali na górze i patrzyli, jak dziewczyna zabiera najpierw swój drogocenny plecak, a później budzącą takie pożądanie broń. Haram ledwie mógł utrzymać się na nogach, przeklinał niemal bliski płacz, lecz Gondagil musiał przyznać, że dziewczyna trochę mu także zaimponowała. Na długą chwilę zniknęła im z oczu, z trudem wspięli się wyżej, by ją widzieć, Gondagil przez cały czas musiał pomagać rannemu Haramowi.

Dotarli wreszcie do najlepszego punktu obserwacyjnego i wtedy daleko w dole znów ją zobaczyli. Zauważyli też potwory podkradające się do niej od tyłu i porozumiewszy się wzrokiem, obaj sięgnęli po łuki.

Prawdziwie mistrzowskie strzały, nie posiadali się potem z dumy. Miranda podziękowała im gestem.

Na tamto wspomnienie Gondagilowi wciąż ciepło się robiło na sercu. Cieszyło go również, że Haram nie chciał jej zabić.

Później śledzili ją nadal, chwilami migąła im w lesie,! Zauważyli też to samo zjawisko, które do szaleństwa, wystraszyło bestie: dziewczyna świeciła!

Nie mogli pojąć, co się stało.

I znów stracili ją z oczu, niedługo jednak się pojawiła, tym razem znacznie bliżej muru. Ta dziewczyna albo musiała być kimś wyjątkowym, albo też towarzyszyły jej potężne niewidzialne moce. Wiele na to wskazywało. Święte zwierzęta... I dwukrotnie przeszła przez Krainę Cieni, nie padając ofiarą potworów. Już samo to było niepojęte.

Zauważyli mniej więcej, w którym miejscu przedostała się przez mur na ich stronę. Tamtędy też wróciła, w tym samym punkcie niekiedy widywali Obcych i Strażników, wyprowadzających ludzi, którzy najwidoczniej im się nie podobali.

Haram i Gondagil zapuścili się w tę okolicę tylko jeden jedyny raz, narażając własne życie. Nie zauważyli jednak nic szczególnego, żadnych wrót, nic.

Prawdopodobnie dlatego, że właściwie nie wiedzieli, czego szukać.

Lud Timona spał. Czuwał jedynie Gondagil i dwaj wartownicy pełniący straż tej nocy. Miękkie pasma mgły podpełzły bliżej. Sosna, którą Gondagil w dzieciństwie widział jako małą roślinkę, stała teraz przy jego siedzibie, wysoka i strzelista. Trawa u stóp Warega była wilgotna od rosy, która w słońcu zapewne by lśniła. Tak też się stało, gdy poświecił na nią latarką, prezentem od Mirandy.

Był to drogi sercu podarunek. Dzieci w osadzie traktowały jego i Harama jak bohaterów, Haram nie pozwalał nikomu nawet wziąć latarenki do ręki, ale Gondagil pożyczył swoją grupce chłopców. Walczyli o to, by móc ją gasić i zapalać, i w końcu miał kłopoty z jej odzyskaniem. Za nic nie chciał utracić latarki - oświetlała mroczne jamy, odstraszała przeróżne paskudztwa, no i przydawała poważania.

Gondagil miał tak wiele marzeń związanych ze swoją krainą! Był to najbardziej urodzajny obszar w Ciemności, lecz gdyby zaświeciło nad nim Słońce, o ileż więcej mógłby przynieść plonów. Miał ochotę zasadzić coś na zboczach, na których często przebywał, mogłoby tu być tak pięknie. Miranda opowiadała o kwiatkach, Gondagil znał jedynie rosnące w mchu cienkie łodyżki zwieńczone bladziutkimi koronami. Razem z nią mogliby tu założyć przepiękny...

Co to za myśli? Jaki związek miała ta dziewczyna z jego zapomnianą krainą? No, mogłaby mu pomóc w zdobyciu roślin, zmusiłby ją do tego siłą, gdyby jeszcze raz przyszła.

Dziewczyna i tak już się tu nie zjawi, pomyślał zniechęcony, a on wcale nie ma ochoty uciekać się do użycia siły. Na pewno nie w stosunku do niej, tak bardzo różniła się od wszystkich znanych mu kobiet. Odznaczała się poczuciem godności, tak samo jak i on. Chociaż nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą, to zdawał sobie sprawę, że on i Miranda są do siebie niezwykle podobni, wręcz tęsknił za tym, by móc z nią porozmawiać. Z Haramem, brutalnym i bezmyślnym, rozmowa na pewne tematy w ogóle nie była możliwa.

Gondagil dopiero po spotkaniu z Mirandą pojął, że brak mu osoby, którą mógłby traktować jak równą sobie. Rządzący wioską, wódz i jego ludzie, posiadali pewną mądrość, lecz dość ograniczoną. Dopiero teraz Gondagil zdał sobie sprawę ze swojej wyjątkowości. W krótkich przeblaskach uświadamiał to sobie już wcześniej, z tego właśnie powodu wyniósł się z wioski, nigdy jednak dotąd nie potrafił nazwać słowami swego poczucia obcości wśród pobratymców.

Po drugiej stronie krainy Timona leżało pasmo wzgórz, gdzie Haram i on spotkali Mirandę. A za wzgórzami wznosiło się potężne, oszalamiające i upragnione Królestwo Światła. Olbrzymia kopuła tak wielka, że jej kształt można było tylko odgadywać. Niedostępny świat.

Nie przestawał przeklinać Mirandy. Teraz, kiedy za jej sprawą był tak bliski realizacji marzenia o słońcu, tęsknota za nim stała się po dwakroć silniejsza. Ogarnął go także gniew na przyjaciela z dzieciństwa. Przez chwilę czuł, że nie chce go już widzieć na oczy. To on wszystko zepsuł, wszystko! Nie tylko zaprzepaścił szansę na zdobycie słońca, lecz także odstraszył Mirandę, na zawsze. Dziewczyna już nigdy tu nie wróci.

15

Gabriel przyszedł do Rama.

- Moja córka cierpi - powiedział zatroskany. - Nigdy jeszcze nie widziałem wesołej, pełnej pomysłów Mirandy w takim stanie. Nawet jej siostra Indra zaczęła się o nią martwić.

Ram popatrzył na przyjaciela zamyślony.

- Wiedzieliśmy, jaką karę wymierzyć, tak aby najdotkliwiej zabolą, prawda?

- O, tak, to więcej niż pewne. Ona tak bardzo się cieszyła, że znów będzie mogła porozmawiać z Waregami. Swój udział w wyprawie uważała za oczywisty, a tu nagle taki zimny prysznic. Zgadza się z wami, że zasłużyła na surową karę, nie przypuszczałem jednak, że przyjmie to z tak wielkim bólem. Nie poznaję jej. Ona po prostu jest w głębokiej depresji.

Ram zamyślił się.

- Niedobrze. Nie sądziłem...

Gabriel zaczął mówić z zapalem:

- Czy nie moglibyście spojrzeć na to nieco inaczej? Owszem, Miranda złamała wiele zasad, ale mogła przecież zachować swą ryzykowną wycieczkę w tajemnicy. Nikt nie musiał wiedzieć, że wyprawiała się poza mur. Postanowiła jednak przyznać się do wszystkiego, ponieważ to mogło pomóc innym. Ze szczegółami opowiedziała o swoich przeżyciach, niczego nie ukrywała, a to dlatego, że informacje, jakie udało jej się zdobyć, mają ogromne znaczenie dla nas wszystkich w Królestwie Światła.

Ram pokiwał głową.

- Myśleliśmy już o tym. Rozważaliśmy za i przeciw. Jutro zamierzam się spotkać z osobami zaangażowanymi w tę sprawę i mogę jeszcze raz poruszyć tę kwestię, ale niczego się nie spodziewaj, a już na pewno nie wspominaj o niczym Mirandzie, kara może zostać utrzymana.

- Niczego więcej nie mogę żądać - odparł Gabriel.

Odszedł, wysoki Strażnik długo patrzył za nim. Postanowił sam poobserwować Mirandę. Sprawdzić, czy jej reakcja to tylko zwyczajny młodzieńczy bunt, czy też dziewczyna naprawdę cierpi.

Miranda odwiedziła las elfów. Miała wrażenie, że z jedną tylko osobą może porozmawiać. Tylko jej leśny przyjaciel Tsi-Tsungga pojmie tę sytuację.

Nietrudno było go znaleźć, skierowała się prosto w jego ulubione miejsce w głębi lasu, gdzie mech był miękki jak najwygodniejsze łóżko, a w czystym powietrzu rozlegał się śpiew drozda. Słyszała także słowiki, ich trele rzeczywiście zachwycaly, lecz Miranda zawsze uważała, że piosenka drozda jest piękniejsza, bardziej melodyjna, pełniejsza wyrazu. W lesie żyły także inne ptaki, niektórych w świecie na powierzchni Ziemi nigdy nie słyszała.

Jak zdołam przekrzyczeć ten rozradowany świergot, zastanawiała się. Zawołała jednak Tsi-Tsunggę i długo czekać nie musiała. Przybiegł w podskokach przez kamienie i pełne kwiatów podszycie.

- Mirando, ależ się cieszę, rzadko mnie ktoś odwiedza.

Miranda poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. I ona zaniedbała zielonobrunatnego przyjaciela.

- Chłopcy nie mają czasu - mówił dalej Tsi. - Całymi dniami pracują, a dziewczęta twierdzą, że się boją.

A to dlaczego, już chciała zapytać, ale ugryzła się w język. Domyślała się, co może być tego powodem.

Na twarzy fauna pojawił się smutek.

- A Siska w ogóle nie chce mnie znać. Uważa, że jestem niebezpieczny, twierdzi też, że nie można przyjaźnić się ze zwierzętami.

- No, sporo czasu już upłynęło, odkąd tak powiedziała - wtrąciła Miranda. Tsi jak zwykle wzbudzał niezwykły niepokój w jej ciele. - Wydaje mi się, że Siska zmieniła swój pogląd na wiele spraw, musisz pamiętać, że była księżniczką w jednej z najmroczniejszych części świata we wnętrzu Ziemi. Izolowana od pozostałych członków plemienia, wychowana tak, by zachować dystans do ludzi, zwierząt i leśnych duchów. Teraz jednak

dzieli dom z Sassą, która ma kota, i Nero często je odwiedza, bo mieszkają przecież z dziadkami Sassy. Ellen i Nataniel na pewno uczą ją zrozumienia dla ludzi i zwierząt, możesz być tego pewny. I pamiętaj też, że to nie ty tak się jej nie podobałeś, tylko twoja wiewiórka Cziki.

Tsi nie wyglądał na całkiem przekonanego. Usiedli na mchu, plecami oparci o wielki kamień. Las był tu naprawdę przepiękny, blask słońca sączył się przez przezroczystą zieleń liści. Wysokie komnaty pełne... nie, nie ciszy, bo przecież dźwięczała tutaj radosna piosenka ptaków, ale na pewno spokoju. Cziki także był z nimi, przywitał się z Mirandą i zaraz pobiegł na drzewo szukać szyszek.

- Ale ty mnie wezwałaś - przypomniał sobie Tsi-Tsungga. - Co się stało? Jesteś blada i smutna, czy coś złego się wydarzyło?

- Słyszałeś, jaką karę mi wymierzono?

- Tak, ale chyba wyjdzie ci to na zdrowie. Przynajmniej unikniesz kolejnego spotkania z bestiami.

Czy on musi siedzieć aż tak blisko? Z jakiegoś powodu jej myśli poszybowały do Gondagila, nie bardzo wiedziała dlaczego, lecz wspomnienie Warega o dumnej twarzy w jednej chwili nabrało wyrazu. Co czyniło jego oblicze tak pociągającym? Nawet w połowie nie był tak przystojny jak Haram, a jednak to on właśnie ją zainteresował. Natychmiast. Prawda, że okazał się o wiele sympatyczniejszy od przyjaciela, lecz wcale nie z tego powodu wywarł na niej takie wrażenie. On, prymitywny barbarzyńca.

- Ale ja chcę tam iść - poskarżyła się Miranda. - Spotkałam człowieka, którego chciałabym znów zobaczyć.

- Mężczyznę? - ostrożnie spytał Tsi-Tsungga.

- Tak.

Westchnął.

- Dlaczego tak już musi być, że zawsze wy, dziewczęta, przychodzicie do mnie ze swymi miłosnymi kłopotami? Dlaczego nikt nie przyjdzie dla mnie samego?

Jego słowa wywołały wzburzenie w sercu Mirandy.

- Ależ drogi przyjacielu, po pierwsze, nie ma mowy o miłości, po prostu chciałabym jeszcze z nim porozmawiać, tyle nas łączyło, chociaż z pozoru mogło się tak nie wydawać. A po drugie, przychodzę do ciebie z tego samego powodu, a mianowicie dlatego, że tak wiele nas łączy. Las, zwierzęta, miłość do przyrody.

Tsi podskoczył i rozgniewany popatrzył jej w oczy. - Dobrze, ale, u licha, nie przychodź opowiadać mi o innych mężczyznach, mów o tym, co zbliża ciebie i mnie.

Miranda zmieszała się, nie wiedziała, jak się zachować. Przypomniało jej się jednak, co powiedział Tsi.

- „Wy dziewczęta?” Ile właściwie przybiega ci się zwierzać?

- To nie twoja sprawa - odparł zagniewany i znów usiadł, opierając się o kamień.

Miranda musiała przyznać, że sprawiło jej to ulgę.

Roześmiała się nieco nerwowo.

- Na powierzchni Ziemi znałam pewnego właściciela baru, zamontował sobie pewne urządzenie. Kiedy goście za dużo już wypili, spod lady wyskakiwały wielkie różowe słonie i przypominały im, że pora iść do domu.

Tsi uśmiechnął się, lecz zaraz spytał:

- Dobrze, ale co, u licha, ma to wspólnego z nami?

- No, może to zbyt skomplikowane porównanie, ale szczerze mówiąc... Czy mogę być szczerą, nawet jeśli to cię zaszokuje?

- Oczywiście.

- Dziękuję. A więc, szczerze mówiąc, twoja bliskość wywołuje straszny chaos w ciele nieszczęsnej dziewczyny. Równie dobrze zza drzew mogliby się wychylić jako ostrzeżenie Gondagilowie, chociaż nie za bardzo różowi.

Tsi popatrzył na nią.

- Czy on ma na imię Gondagil?

- Może i tak - odpowiedziała Miranda z ponurą miną.

- Ale dlaczego miałby być ostrzeżeniem?

- No, nie wiem, masz rację. Chyba tylko dlatego, że przyjąłem już za dużą dawkę ciebie i powinnam iść do domu.

Tsi usiadł wreszcie wygodniej.

- Mirando, dlaczego żadna z was, dziewcząt, mnie nie lubi?

- Ojej! - jęknęła. - Wszystkie jesteśmy tobą zachwycone i śmiertelnie przerażone uczuciami, jakie w nas budzisz.

- W takim razie wszystkie z wyjątkiem Siski. Ale ja chyba nie jestem osobą, której należy się śmiertelnie bać.

- Och, Tsi, jesteś najwspanialszym stworzeniem, jakie znam, ale przerażają nas popędy, które w nas, biednych kobietach, budzisz. Boimy się dać im ujście, tym popędom lub instyktom czy jak wolisz je nazwać. Są być może zbyt silne dla zwyczajnych ziemian.

Tsi westchnął przygnębiony.

- Kogo powinienem więc szukać?

- A co masz na myśli?

- Może i ja odczuwam potrzebę dania ujścia moim własnym popędom, ale dla mnie nie ma nikogo. Elfom nie wolno się ze mną zadawać, wam także nie, moi pobratymcy ze Starej Twierdzy nie chcą na mnie patrzeć...

- Tsi, żałuję, że nie porozmawialiśmy o tym, zanim wyprawiłam się do Królestwa Ciemności. Tak jak wtedy przy wodospadzie, pamiętasz?

- Oczywiście, to były bardzo miłe chwile, prawda?

- Bardzo. Gdybyś wtedy powiedział o swej samotności, wszystko być może wyglądałoby inaczej. Teraz już za późno.

Tsi spuścił głowę.

- A więc to jednak miłość?

- Może i tak - odparła cicho. - Ale ja przecież tego nie chcę. On jest taki brutalny, silny i dziki.

Tsi odwrócił twarz w jej stronę.

- Żałuję, że nic o tym wtedy nie powiedziałem - szepnął.

Miranda popatrzyła mu w oczy, przypominające rozedrgane zielone sadzawki. Poczula, że wzbiera w niej pożądanie. Nie była w stanie dłużej się opierać, przysunęła się do elfa. On już na nią czekał, zaraz poczula jego usta na wargach.

I wtedy znów przed jej oczami ukazała się twarz Gondagila. Odwzajemniła pocałunek, który tylko w części miał związek z Tsi-Tsunggą. Poczowała pulsowanie w piersiach i w dole brzucha, drżąc nabrała powietrza w płuca. Tsi objął ją, Mirandę ogarnęła słabość. Poczowała, że leśny elf bez trudu może ją mieć.

Tsi jednak wiedział, że tak być nie powinno.

Chciał być kochany dla siebie samego, a nie ze względu na aurę zmysłowości.

Wprowadził bardzo niechętnie, lecz odsunął się od dziewczyny. Miranda później szczerze mu za to dziękowała.

- Nie wiesz nawet, jak wiele mnie to kosztowało - uśmiechnął się z wysiłkiem. - Przekonałabyś się.

Miranda przełknęła ślinę.

- Lepiej nie - wyjąkała, a po chwili dodała z prawdziwym ciepłem: - Tsi, jesteś niczym żagiew rozpalająca ogień w duszy kobiety. Zazdroszczę tej, która doświadczy kiedyś twej miłości i która ofiaruje ci żar uczucia, na jakie zasługujesz.

- Dziękuję ci, Mirando.

Z Czikiem na ramieniu odprowadził ją do skraju lasu.

Po drodze wyznał jej jeszcze w zaufaniu:

- Kochana Mirando, wiem, że ci przykro, ponieważ nie możesz wziąć udziału w pierwszej ekspedycji, ale wiesz, ja jestem taki szczęśliwy. Czy możesz sobie wyobrazić, że wybrano mnie do udziału w tej drugiej wielkiej wyprawie w Góry Umarłych?

Miranda miała wrażenie, że wielki kamień przytłacza ją do ziemi. Wybrano Tsi, a jej nie?

- Kiedy się o tym dowiedziałeś?

- Tamtego dnia po spotkaniu. Ram mi o tym powiedział.

Miranda zmusiła się do uśmiechu.

- Tsi, ogromnie się cieszę w twoim imieniu. Nie boisz się?

- Ależ skąd - odparł z niezmaconą pewnością siebie. - To chyba nie może być takie groźne.

- Och, nie masz nawet pojęcia, jak straszne są te bestie. No a później? Nic nie wiemy o Górach Czarnych. Czy wiesz, kto jeszcze ma iść?

- Tak, Oko Nocy, Ram rozmawiał z nami oboma.

- To dość naturalne, że wybrano Oko Nocy, on tak dużo wie o lasach, górach i nieszczęsnych duszach, które nie mogą zaznać spokoju. Ktoś jeszcze?

- Nie, nic więcej nie wiem, byliśmy wtedy tylko my dwaj.

- Rozumiem. Ja też nie słyszałam, żeby ktoś wspominał o tej niebezpiecznej wyprawie. Ale pamiętasz, surowo nakazano nam milczenie.

- Tak, czy to nie wspaniałe? Tylko my, którzy byliśmy na tym spotkaniu, cokolwiek wiemy. Jedyni w całym kraju.

- Rzeczywiście to dość szczególne uczucie, gdy ma się świadomość, że się należy do uprzywilejowanych. Bo chyba tak możemy się nazywać, nikogo przy tym nie raniąc.

- Nikt inny przecież o tym nie wie - zauważył Tsi-Tsungga, obejmując ją na pożegnanie, dotarli już bowiem do miejsca, w którym las się kończył.

Nie rób tak, błagała Miranda w duchu, nie dotykaj mnie, czuję się jak pochodnia, wystarczy maleńka iskierka, a może dojść do katastrofy.

Tsi z Czikiem na ramieniu pomachał jej na pożegnanie, a Miranda odeszła z sercem ciężkim od tęsknoty i pragnienia, by pokochał ją inny.

16

Spotkanie zakończyło się wynikiem negatywnym dla Mirandy. Kara to kara i nie można jej cofnąć.

Tak postanowili wielcy.

Decyzję swoją utrzymali do chwili, gdy mieli wyruszyć do krainy Waregów. Do tego czasu zdążyli się zastanowić.

- Dziewczyna poradziła sobie nadzwyczaj dobrze stwierdził Strażnik Rok, również wyznaczony do udziału w tej wyprawie.

- Rzeczywiście, ogromnie dużo wie - przyznał Marco.

- I zdołała się zaprzyjaźnić z dwoma przedstawicielami ludu Timona - uzupełnił Ram.

- To znacznie więcej niż udało się tobie i mnie - zauważył Strażnik Słońca, który także miał im towarzyszyć. - My potrafimy z nimi rozmawiać, ale trzymając ich na muszce, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Pozostali pokiwali głowami.

- Wroga neutralność, owszem, znamy to - powiedział Ram.

- Sądzę, że Miranda została już dostatecznie ukarana - rzekł Marco z przekonaniem. - Straciła cały swój zapał do reform i radość z pracy, jest już teraz tylko cieniem samej siebie.

Strażnik Słońca, dowodzący nimi czterema, skinął głową.

- Idź, pomów z nią, Marco, i... czy nie powinniśmy zabrać ze sobą któregoś z czarnoksiężników?

- Obu - podchwycił Ram.

Ale Marco nie w pełni się z nimi zgadzał.

- W tej wyprawie nie kryją się żadne elementy czarów, mamy po prostu przeprowadzić negocjacje i zdobyć więcej informacji. Wiem, że Móri i Dolgo prowadzą intensywne rozmowy z Shirą na temat źródeł, sądzą, że w tej drugiej wyprawie na pewno przydadzą się nam ich umiejętności. Teraz jednak, moim zdaniem, powinniśmy pozwolić im odpocząć i skupić się na następnej, ważniejszej wyprawie.

Uznali jego argumenty za rozsądne.

- Masz rację - przyznał Ram. - Im mniej nas będzie, tym mniejsze będziemy budzić przerażenie.

- Ale czy posiadamy dostatecznie dobre wyposażenie, by przedostać się przez terytorium bestii? - zastanawiał się Rok.

- Z potworami sobie poradzę - odparł Strażnik Słońca. - Lecz oczywiście przydałaby nam się Miranda i jej doświadczenia. Porozmawiaj więc z nią, Marco.

Urodziwy potomek Ludzi Lodu się uśmiechnął.

- Z ogromną przyjemnością przekażę jej naszą decyzję.

- Czy to prawda? - W rozpromienionych oczach Mirandy dało się jeszcze dostrzec niedowierzanie. - Mówisz poważnie?

- Oczywiście, uznaliśmy, że poniosłaś już dostateczną karę.

- Co najmniej - powiedziała wolno, czując ogarniający ją zachwył. Zaczynało do niej docierać, co naprawdę oznacza wiadomość. - Uważałam, że słusznie należy mi się kara, ale byłam naprawdę zdruzgotana, myślałam, że nigdy nie zdołam się z tego podnieść. Dziękuję, Marco, dziękuję wam wszystkim.

W przyływie szczęścia rzuciła się na szyję swemu potężnemu krewniakowi Marco, który rzadko dotykał innych ludzi, stwierdził nagle, że uścisk pachnącej czystością, świeżej, młodej dziewczyny jest bardzo przyjemny. Zauważył, że Miranda zapuściła włosy, co sprawiło, że stała się łagodniejsza, bardziej kobieca. Młodsza córka Gabriela była wszak taka urodziwa, chociaż mało kto zwracał na to uwagę, wszystkie pełne podziwu spojrzenia zwykle padały na Indrę, Miranda bowiem nigdy nie zabiegała o komplementy i nie dbała o to, co myślą o niej ludzie.

Teraz jednak się zmieniła.

Marco puścił ją z uśmiechem, ale poczuł w sercu ukłucie. Wiedział, że to owa nieznana siła, siła miłości, tak bardzo odmienia ludzi.

Dla niego jednak pozostawała nieosiągalna. Krótkotrwały związek z Tiili nie miał na niego wpływu, traktował ją wyłącznie jako ogromnie nieszczęśliwą dziewczynę, potrzebującą jego wsparcia. Gdy rozstali się jako przyjaciele, a Tiili zakochała się w jego bracie, odczuł jedynie ulgę. Nie łączyło ich nigdy fizyczne współzycie, nie licząc tylko tego jednego razu, gdy wyzwolił ją z diabelskiej pułapki Tengela Złego, a i wtedy uczynił to z konieczności i ze współczucia, nic więcej się za tym nie kryło. Wyraźne zainteresowanie Mirandy Gondagilem przypominało mu boleśnie o tym, czego nigdy nie dane mu będzie doświadczyć.

- Przygotuj się więc, Mirando. Wyruszamy jutro wieczorem.

- Doskonale - powiedziała dziewczyna. - Zdołam stwierdzić, że wartownicy potworów nocą pozostają najmniej czujni. Jeśli w ogóle można mówić o nocy tam, gdzie stale panuje szarocarny mrok.

Marco spowaźniał.

- Rozumiem i szanuję twoje nastawienie, Mirando, i przekonanie, że im także potrzeba światła, Obcy jednak wiedzą najlepiej, jaki obszar może oświetlić Słońce i kto jest godzien, by żyć w jego świętym blasku. Wiesz chyba, że Słońce ma niestety tę wadę, że pogarsza jeszcze to, co złe.

- Tak, gdyby jednak udało się znaleźć ten ostatni składnik do tajemniczego wywaru Obcych i Madragów, czy bestie także zrobiłyby się grzeczniejsze?

Uśmiechnął się, słysząc jej naiwne określenie.

- Tego nie wiemy, zawsze jednak można mieć nadzieję.

- I wtedy Święte Słońce będzie mogło zaświecić nad ich Doliną Cieni?

Marco pogładził ją po jasnorudych włosach.

- Czy tylko o potworach myślisz teraz, Mirando? Nie, nie musisz mi odpowiadać. Wiem, że serce ci krwawi także z ich powodu, jesteś naprawdę niezwykłą osobą, moja droga. A teraz pospiesz się i zacznij szykować do wyprawy. Wkrótce przecież wyruszamy.

Mirandzie nie trzeba było tego powtarzać.

Miranda miała ogromne kłopoty z wybraniem ekwipunku. Zwykle ubierała się raczej praktycznie niż elegancko, teraz jednak zastanawiała się, czy nie zabrać nie noszonej jeszcze cieniutkiej sięgającej ud tuniki, którą do tej pory tak głęboko pogardzała. W końcu jednak zwyciężył głos rozsądku, nie chciała też narażać się na śmieszność, postanowiła więc iść na kompromis i zdobyła nowe wygodne i trwałe ubranie, lecz w weselszych kolorach niż nosiła dotychczas. Prawdę powiedziawszy, dużo częściej też przeglądała się w lustrze niż do tej pory.

Włosy sporo jej urosły, zresztą zadziwiająco szybko, lekko się kręciły, z czym nawet zdaniem Indry było jej do twarzy. „Masz przecież takie ładne nogi, dziewczyno, dlaczego zawsze je chowasz w długich spodniach, muszę ci powiedzieć, że w całości cholernie dobrze wyglądasz, tylko pozwól mi poprawić bluzkę, wisi na tobie jak worek, i wyprostuj się, nie garb się jak kupa szmat, to może uda mi się ciebie sprzedać”.

Indra zawsze umiała dodać otuchy.

- Czy on jest przystojny? - spytała nagle.

Miranda drgnęła i odpowiedziała bez zastanowienia:

- Nie taki przystojny jak Haram, ale... zresztą jaki on o kim ty mówisz?

- Nie wyglupiaj się, nie nabierzesz starszej siostry. Jest na to zbyt doświadczona. W każdym razie cieszę się, że zmienili zdanie, zasłużyłaś na to, żeby jeszcze raz się z nim spotkać.

- O czym ty mówisz?

- Zakochałaś się pierwszy raz w życiu, prawda? I żadne ważne typki nie powinny ci rzucać kłód pod nogi. O, tak, tak powinnaś nosić tę bluzkę, a twój dzikus stanie w płomieniach. Teraz naprawdę ładnie wyglądasz.

Indra zawiązała poły bluzki i rozpięła ją nieprzyzwoicie nisko, ale Słońce nadało skórze Mirandy złocistobrazowy odcień, zwykle bowiem chodziła dość lekko ubrana, więc nie wyglądało to brzydko, przeciwnie. Talię miała smukłą, ale chyba nie ośmieli się tak pokazać.

Phi, kto nie ryzykuje... pomyślała w nagłym przyptywie odwagi.

- Nie rozumiem, jak możesz nazywać tych szlachetnych mężczyzn ważnymi typkami - zauważyła z wyrzutem. - To niesprawiedliwe.

Indra skrzywiła się.

- Wiem, wiem, ale dlaczego zawsze trzeba być sprawiedliwym? - powiedziała to, żeby rozdrażnić młodszą siostrę, która zawsze zębami i pazurami broniła sprawiedliwości.

- I jeszcze jedno, Indro - rzekła Miranda surowo. - Zapamiętaj sobie, że wcale nie jestem w nim zakochana, nie można się zakochać w kimś, kogo się widziało tylko raz, w dodatku w tak niecodziennej sytuacji. Przecież ja nic o nim nie wiem. Owszem, zainteresował mnie, i to wystarczy.

- Oczywiście - w głosie starszej siostry dała się słyszeć ledwie wyczuwalna ironia.

Miranda musiała oddać Słońce, które wyludziła od Rama. Uczyniła to z wielkim żalem, wciąż bowiem marzyła o tym, by zanieść światło ludowi Timona. Niestety swoją szansę już zmarnowała.

Przechodząc przez wrota w murze wraz z czterema mężczyznami czuła się bardzo mała.

Spodziewała się, że będą traktować ją z lodowatym chłodem bądź też całkowicie ignorować, lecz oni okazywali jej życzliwość. Czasami nawet z nią żartowali, a ona odpowiadała im z taką samą wesołością. Odczuwała nieopisaną ulgę, czekało ich trudne zadanie, zły nastrój w grupie w niczym by nie pomógł.

- A więc to jest jedyna droga? - spytała Rama.

- Och, nie, jest ich znacznie więcej, słyszałaś chyba, w jaki sposób przybyła tu rodzina czarnoksiężnika: poprzez Głęboką Ciemność po drugiej stronie pasma gór, rozdzielających Ciemność na dwie części. Widzisz te góry o barwie piasku przed nami? Miranda знаła je już bardzo dobrze, to one stanowiły granicę krainy Timona.

- Istnieje tajemny korytarz prowadzący do nas z Głębi Ciemności - powiedział Ram.

- Ach, tak?

Po raz pierwszy usłyszała określenie „Głębia Ciemności”. No tak, Siska wspominała o jeszcze ciemniejszych okolicach niż jej rodzinne strony, bardzo odległych od światła.

- Istnieją też dwa inne przejścia, o których nie będziemy teraz mówić. Wiesz, że nasza granica jest długa, ale masz rację mówiąc, że to jedyne wrota w tej okolicy.

- A my? Jak weszliśmy? Którędy?

- Za dużo chcesz wiedzieć - uśmiechnął się Ram: - Wy przybyliście ze świata na powierzchni Ziemi wprost do Królestwa Światła. Na Ziemi istnieje wiele wrót, które prowadzą do różnych miejsc wewnętrznego świata, zarówno w obrębie muru, jak i poza nim.

- Przepraszam, teraz już będę milczeć.

- Nie, nie będziesz - włączył się Strażnik Słońca. - Pokażesz nam teraz dokładnie, którąś stąd poszłaś. Mówiłaś, że w prawo wzdłuż muru.

Dokładnie? To nie będzie łatwe! Miranda rozejrzała się dokoła, chłód i otaczający ją mrok wskazywał, że znaleźli się już na zewnątrz, teraz jednak wszystko wydawało się jej jakieś inne. Zatręsknęła nagle za poczuciem bezpieczeństwa, jakie dają światło i ciepło, ale tylko przez moment.

Fakt, że wszystko wydawało się odmienne, brał się, rzecz jasna, stąd, że wiedziała, co ją tu czeka. Dolina Cieni potworów, położona nieco wyżej kraina Timona... Na wspomnienie Waregów cieplej jej się zrobiło na sercu. Czy zobaczy ich jeszcze raz? Musi!

Dziwne, jak zmienia się pejzaż, gdy człowiek do niego wraca i poznaje widziane już rzeczy, rozmyślała. Przedtem Królestwo Ciemności było dla niej tylko nazwą, teraz już wiedziała, że płynie tędy niewielka rzeka, że są tu wzgórza i osady. Za lasem.

- Tak, szłam wzdłuż muru, i dobrze dawałam sobie radę - odparła. - Problem polega jedynie na tym, że ich siedziby leżą tak gęsto obok siebie.

Strażnik Słońca kiwnął głową.

- Dopóki tylko się da, postaramy się unikać konfrontacji. Potrafię wprawdzie zapanować nad bestiami, ale przywódcy tych gromad zawsze chcą się targować i utrudniać przejście. Staram się traktować ich humanitarnie, wszak to ich terytorium, ale te dyskusje z nimi, czy jak to nazwać, zawsze pochłaniają bardzo wiele czasu. Mówiłaś, że drogę pomógł ci odszukać olbrzymi jeleni.

- Tak, ale wtedy dotarłam już do połowy Doliny Cieni. Wskazała na grzbiet wzgórza, ciągnącego się w stronę płaskowyżu daleko na prawo. Wszędzie widać tu było podobne

wzniesienia. Okolica przypominała trochę pejzaż Hawajów z licznymi równoległymi wznoszącymi się grzbietami, niektórymi zwieńczonymi nagą skałą, w większości jednak porośniętymi bladozieloną roślinnością. Miranda domyślała się, że kiedyś, w zamierzchłych czasach, musiał mieć tu miejsce wybuch wulkanu.

- Jesteśmy obserwowani - szepnął Marco.

Na szczycie jednej ze skał w oddali dostrzegli dwie sylwetki.

- To może być Gondagil i Haram - szepnęła Miranda. - Po dwóch pełni warty w mglistej krainie Timona.

- To na pewno konieczne - stwierdził Rok z ponurą miną. - Idźmy twoją drogą, Mirando. Ach, jakże dumna się czuła, prowadząc ich wzdłuż muru, jak bardzo zawstydziła się i zmieszała, gdy chwilę później musiała przyznać, że nie pamięta, w którym miejscu zoczyła z bezpiecznej drogi. W dodatku las rósł tu gęsty, nie mogła się zorientować gdzie leżą wzgórza.

Stała teraz w bladozielonym, jakby chorym lesie, który nigdy nie oglądał słońca, i czuła się dość głupio. Przynajmniej jednak było tu cicho i spokojnie.

Ram wyjaśnił, że dla potworów nastala już pora snu, mimowolnie bowiem stosowały się do rytmu doby Królestwa Światła.

- No właśnie, jak to z tym jest? - spytała Miranda, chcąc zyskać na czasie i nerwowo usiłując sobie przypomnieć, w którym miejscu powinni odejść od muru. - Czy to wy nami manipulujecie, czy Słońce?

- I tak, i tak. Wiesz, że wybudowaliśmy osłony wokół największego Słońca, którymi możemy poruszać z wieży. Gdy blask Słońca przygasa, widać to także tutaj i wszyscy, zarówno w obrębie muru, jak i na zewnątrz, odczuwają potrzebę udania się na spoczynek.

- Nie jestem pewna, czy blask Słońca w istocie przygasa - stwierdziła Miranda. - Po prostu jego barwa w jakiś sposób się zmienia.

- Owszem, ale to wystarczy. Prawdę mówiąc, w tym odcieniu znajduje się pewien usypiający element.

- Który nie działa na tyle silnie, by nie można się mu przeciwstawić, jak na przykład dzisiejszej nocy.

- Całkiem słusznie. Jesteś bystrą obserwatorką.

- Dziękuję - uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Nagle wykrzyknęła:

- To było tutaj! Tędy przeszłam na terytorium potworów! Ach, dzięki wszystkim dobrym mocom, przez chwilę miałam już niezłego stracha! Bałam się, że się wygłupię! Ale pamiętajcie, że od razu wpadłam na jedną z osad! Pójdźmy więc nieco bardziej na prawo. Miejmy nadzieję, że trafimy na pułapki na zwierzęta, a stamtąd znam już drogę. Mężczyźni zadrżeli ze zgrozą, słysząc o takim bestialstwie jak pułapki na zwierzęta, lecz ruszyli za Mirandą. Teraz już ostrożniej. Opuścili bezpieczną strefę i porozumiewali się ściszonymi głosami.

- Czy nie mogliśmy zabrać gondoli powietrznej? - spytała Miranda szeptem. -

Przelecieliśmy nad całym tym okropieństwem.

Rok, który szedł najbliżej, pokręcił głową.

- Po pierwsze, gondola nie zmieściłaby się w tych wąskich drzwiach, i to już jest wystarczający powód. A po drugie, nie chcieliśmy zabierać tak cennego pojazdu. Nie wiadomo, czy zniósłby klimat, przystosowano go przecież do warunków panujących w Królestwie Światła, mogłyby go też zniszczyć mieszkające tu istoty. Pst!

Wszyscy się zatrzymali. Zaczęli nasłuchiwać.

Nie mieli wątpliwości: W pobliżu znajdowała się osada.

Ram dał znak towarzyszom, by czekali, a sam zniknął w zaroślach.

Niedługo wrócił.

- Tędy nie przejdziemy. Nie wiem, co one robią, lecz ustawione są w długą linię czy też łańcuch, od lewa do prawa. Wygląda to niemal, jakby posuwały się tyraliera.

- Idą w naszą stronę?

- Nie, stoją w małych grupkach i rozmawiają, a raczej się kłóć, to właściwe słowo.

Wygląda na to, że to sami mężczyźni. Nie bardzo wiem, co zamierzają.

Strażnik Słońca się zamyślił.

- Nie mam ochoty pertraktować ze wszystkimi tymi istotami, sam przywódca sprawia dość kłopotu. Mirando, mówiłaś, że zostałeś uratowana trzykrotnie. Opowiedz nam o tym jeszcze raz!

- Pięciokrotnie - poprawiła go dziewczyna. - Najpierw ocalił mnie olbrzymi jelen, potem zaś pistolet laserowy. A w powrotnej drodze najpierw Waregowie zastrzelili bestie z łuku, potem potwory uciekły wystraszone wspomnieniem śmiertelnego wystrzału z pistoletu. A na koniec uznały, że jestem boginią, ponieważ świeciłam.

Mężczyźni zaczęli się zastanawiać.

- Jelenia nie mamy - stwierdził Ram. - Waregów też. I absolutnie nie wolno nam używać broni! - uśmiechnął się. - Sądzę, że powinniśmy zmienić się w boskie istoty i wszystkich ich wystraszyć.

- Ale... - zaczęła Miranda.

Ram uciszył ją gestem uniesionej ręki.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Mam przy sobie Słońce. To samo, które ty pożyczyłaś.

Nie, nie zamierzam oddawać go Waregom, dopóki nie zapewnimy bezpieczeństwa Słońcu i ludziom. Ale zrobimy tak jak Miranda, przyłożymy na chwilę dłoń do kasetki ze Słońcem. Zobaczymy, co się stanie.

Dziwny był widok dziesięciu dłoni przylegających do światłoszczelnego pudełka. Ciemne dłonie Marca tak idealne w kształcie, że ich piękno wprost ścisnęło za serce. Osobliwe dłonie Strażnika Słońca, Obcego, o sześciograniastych palcach, silne, smukłe dłonie Lemurów, Rama i Roka, i jej własne, takie niepozorne. Paznokcie stale jej się przecież łamały i rozwarstwiały. Ale nie zamierzała chować rąk, chciała uczestniczyć we wszystkim, co robią!

- Nie - oświadczył Marco prawie od razu i odsunął dłoń. - Tak nie będzie dobrze. Nas czterech bestie znają, wiedzą, że nie jesteśmy bogami. To Mirandę czcili jak boginię.

Proponuję, aby tylko ona świeciła.

Mężczyźni uznali jego uwagę za rozsądną i zaraz przy kasetce została sama tylko Miranda.

Och, ten pełen skargi jęk w oddali!

Stali przez chwilę w milczeniu, wreszcie Strażnik Słońca skinął głową i odebrał jej kasetkę. Miranda głośno odetchnęła.

- Nie od razu widać - szepnęła. - A po kilku godzinach poświata znika.

Strażnik Słońca spytał:

- Zdajesz sobie chyba sprawę, Mirando, że po dwóch takich „kuracjach” stałaś się prawdopodobnie nieśmiertelna?

- Czy nie jest tak ze wszystkimi mieszkańcami Królestwa Światła?

- Mniej lub bardziej. Z tobą bardziej.

Rozjaśniła się powoli w promiennym uśmiechu. Nagle uderzyła ją pewna myśl.

- Czy Waregowie także są nieśmiertelni?

- Nie, oni żyją mniej więcej tak długo, jak ludzie na Ziemi.

- Aha - uśmiech dziewczyny przygasał.

A więc i ja nie chcę być nieśmiertelna, pomyślała. - A gdyby dostali Słońce?

- Wówczas wszystko wyglądałoby inaczej. Naprawdę życzyłybyś sobie nieśmiertelności potworów?

Perspektywa rzeczywiście nie była przyjemna.

- To znaczy, że jeśli Waregowie muszą czekać na Słońce przez rok, to zdążą się postarzeć o lat dwanaście?

- Właśnie tak jest.

Trzeba się spieszyć, myślała rozgorączkowana. Oni muszą dostać Słońce jak najprędzej, za trzy lata on będzie o trzydzieści sześć lat starszy, a za pięć lat o sześćdziesiąt. Cóż za straszne widoki na przyszłość!

- Ile czasu upłynęło ostatnio, zanim zaczęłaś świecić?

Miranda myślała głośno:

- Najpierw siedziałam trzymając ręce wokół kasetki, a potem szłam przez kilka minut, zanim spotkałam grupę, która mnie rozpoznała i uciekła przerażona wspomnieniem wystrzału. Nie mogłam wtedy świecić, bo pamiętam, że potarłam czoło, kiedy bestie uciekły, sama więc bym to zauważyła. Potem mogło się to stać w każdej chwili, bo wyszłam prosto na osadę, wtedy już na pewno otaczała mnie błękitna poświata.

- Już zaczynasz świecić - stwierdził Strażnik Słońca. Na razie jednak jeszcze nie dość mocno. Poczekamy chwilę, ukryjemy się wśród krzaków, żeby nikt nas nie widział.

Miranda przyglądała się swoim dłoniom. Siedzieli w bladym z braku słońca, zarośniętym zagajniku. Dlaczego oni nie uporządkują lasu? Może chcą, żeby pozostał nieprzebyty.

Rzeczywiście zaczęła świecić, sama już to widziała.

- Czy to nie jest niebezpieczne? - spytała z lękiem.

- Przeciwnie - zapewnił Strażnik Słońca. - Nie zorientowałaś się, że już zrobiłaś się ładniejsza? Twoja inteligencja także będzie uszlachetniona, a myśli czystsze.

Nie bardzo mi się chce w to wierzyć, pomyślała z goryczą. Te myśli, które zaczęłam snuć o Gondagilu...

Strażnikowi Słońca nie o taką czystość myśli jednak chodziło. To poprzednie epoki tworząc zasady etyki przydały erotyzmowi brudu i nazywały go nieczystym. Miranda rozumiała, że także inne myśli mogą być czyste i nieczyste. Dość charakterystyczne, że najbardziej utkwiała jej w głowie pierwsza uwaga Strażnika. Czyżby naprawdę wyładniała?

Miranda była wniebowzięta. Miała ochotę odpowiedzieć żartem, uznała jednak, że nie pora na to.

Ale już po raz drugi w tym tygodniu ktoś stwierdził, że ładniej wygląda. Prędko jednak wyrwano ją ze słodkich marzeń.

- Świecisz teraz jak koguty na samochodzie policyjnym - cierpko zauważył Marco. - Nic dziwnego, że bestie popadały plackiem. No, idziemy dalej.

- Nie wiadomo, dlaczego nie śpią dzisiejszej nocy - powiedział Ram. - Ale musimy jakoś przejść.

Mężczyźni postanowili, że Miranda pójdzie przodem, oni sami natomiast mieli tworzyć orszak jej oddanych wyznawców.

- Bardzo mi przyjemnie - zaczęła Miranda. Gdy jednak wzięli kurs na wrzeszczącą hałas trzę w lesie, doszła do wniosku, że wołałaby raczej trzymać się z tyłu.

Potwory? Och, jak ich wiele! Zdrętwiały, a ich gadanina ucichła, gdy cała piątka wyszła na polanę. Niektóre z bestii uderzyły w krzyk, co z kolei wywołało rozmaite reakcje, jedne gotowały się do ucieczki, inne reagowały agresją, a pozostałe rzuciły się na kolana, bijąc czołami o ziemię.

Strażnik Słońca przemówił do nich potężnym głosem:

- Nie chcemy wyrządzać wam krzywdy, nasza bogini nocy pragnie jedynie przejść w pokoju przez wasze terytorium.

Bogini nocy? Ach, dziękuję za te miłe słowa. No cóż, ta błękitna poświata na pewno nie jest atrybutem bogiń opiekujących się dniem, doszła do wniosku Miranda.

Mogła teraz z bliska przyjrzeć się potworom i uznała je w istocie za niezwykle odpychające. Nie były ani ludźmi, ani zwierzętami. Nosy czy też ryjki miały wciśnięte w twarz, a szczęki z wielkimi zębami drapieźników rozrośnięte w groteskowy sposób. Spod kępek włosów błyszcząły złośliwe wylupiaste oczka. Przykry ostry odór brudu i resztek surowego mięsa, które zwisało im u pasów, przyprawiał o mdłości. Bestia będąca najwidoczniej przywódcą usiłowała zachowywać się dostojnie, lecz jej przestraszone spojrzenie biegło od Strażnika Słońca do Mirandy. Przyboczny przywódcy w podnieceniu usiłował protestować przeciwko ich wtargnięciu, lecz dowódca pięścią zdzielił go w głowę. Buntownik runął na ziemię jak kłoda.

Aby dać dowódcy czas do namysłu, Strażnik Słońca zapytał:

- Co się tutaj dzieje?

Z mamrotania, jakie się podniosło, Miranda zrozumiała, że jakieś mieszkające w sąsiedztwie plemiona porwały ich kobiety. Teraz więc bestie zamierzają szukać odwetu i skraść kobiety tamtym.

- Sąsiednie plemiona? - szeptem spytała Miranda Rama. - Nie mają chyba na myśli Waregów.

- O, nie, potwory stale toczą wojnę między sobą.

Dlaczego nie miałyby powyrzynać się nawzajem, pomyślała bluźnierczo, zaraz jednak tego pożałowała. Takie stwierdzenie pasowało do Indry, nie do niej.

Strażnik Słońca zaproponował, że jego grupa sprowadzi z powrotem ich kobiety.

Lecz nie, okazało się, że to ich wcale tak bardzo nie interesuje. Zależy im przede wszystkim na przyjemnych, smacznych kobietach z sąsiedztwa. No i na zemście, to przecież główny powód łupieżczej wyprawy.

W takich porachunkach Strażnik Słońca nie zamierzał uczestniczyć, więc piątka z Królestwa Światła dostojnym krokiem ruszyła dalej wzdłuż nieporządných szeregów bestii. Miranda usiłowała się zachowywać jak przystało bogini, o ile to w ogóle możliwe w praktycznych szortach i mocnych sportowych butach. Ale potwory i tak przerażone padały na ziemię, chowając twarze. Stał tylko przywódca i jeszcze ze dwóch wystraszonych buntowników.

- Wasza życzliwość zostanie wynagrodzona - uroczyście oświadczył Strażnik Słońca małemu, brudnemu stworkowi, który dowodził plemieniem. - Porozmawiamy o tym, gdy będziemy tędy wracać. Wówczas też chcemy mieć wolną drogę.

Wódz wyprostował głowę.

- Jeśli o nas chodzi, to bogini nocy może czuć się tu bezpieczna, nie odpowiadam jednak za naszych przeklętych sąsiadów, nie mają kultury za grosz.

Strażnik Słońca wysilił się na uśmiech.

- Twoje słowo nam wystarczy. Postaramy się unikać wrogich plemion.

Wódz dostojnie pokiwał głową.

Miranda wiedziała, że nie tylko poważanie dla niej jako bogini zdecydowało o przebiegu rozmowy, zdawała sobie też sprawę, że bestie żywią wielki szacunek dla wszystkich czterech mężczyzn z jej grupy. Strażnik Słońca wspomniiał, że potrafi sobie radzić z potworami, i Miranda nie miała cienia wątpliwości co do prawdziwości jego słów. Lecz także Marco nie miał sobie równych, a i Strażnicy Ram i Rok zapewne już się z nimi kiedyś zetknęli.

Ale Ram powiedział, że to aparaciki Madragów umożliwiły jakiegokolwiek porozumienie z nimi, ich język bowiem był pod każdym względem niemożliwy do pojęcia. Brakowało w nim prawdziwych słów, składał się jedynie z pochrząkiwań i mlaskań. Paskudne dźwięki, tylko tak dało się go określić. Przed przybyciem Madragów nie było innego wyjścia, jak tylko uciekać się do użycia siły, a to nikomu nie sprawiało przyjemności.

Najważniejsze, że udało im się przejść.

- Trochę za łatwo nam poszło - stwierdził Marco, kiedy dotarli do pułapek na zwierzęta i musieli posuwać się z wielką ostrożnością.

- No cóż, zwykle bywają dość uległe w obliczu intelektualnej przewagi - odparł Strażnik Słońca. - Znają mnie i wiedzą, że dysponuję środkami zdolnymi całkiem ich pognębić.

- Masz na myśli pistolet laserowy? - dopytywała się Miranda.

- Och, nie, unikam zadawania gwałtu. Potrafię ich pokonać oddziaływaniem psychicznym, kilkakrotnie musiałem tak robić.

- Jak to, w jaki sposób?

Strażnik Słońca nie miał szczególnej ochoty odpowiadać, uczynił to jednak, podczas gdy badali każdą napotkaną pułapkę, sprawdzając, czy nie wpadło w nią jakieś zwierzę.

- Mam nad nimi władzę i mogę nimi pokierować tak, jak zechcę. To dość nieprzyjemne uczucie i staram się tego unikać. Plemię, na które się natknęliśmy, pozostaje w dużym

stopniu pod moją kontrolą. Inne są bardziej zbuntowane, lecz wszyscy wiedzą, że potrafię zniszczyć cały klan samą tylko siłą woli.

- Naprawdę? - zdumiała się Miranda.

- To jednak sprzeciwia się wszelkim naszym zasadom. Staramy się więc traktować potwory humanitarnie, chociaż surowo.

- To dobrze. Skąd one się wzięły? Chodzi mi o to, że to ni pies, ni wydra.

- Zastaliśmy je, kiedy tu przybyliśmy, a to było już dawno temu.

- Na pewno - syknęła przez zęby.

Strażnik Słońca uśmiechnął się do dziewczyny.

- Zastanawiam się, czy wiara ludzi w diabły mieszkające pod ziemią nie wzięła się przypadkiem od tych istot, które nazywamy potworami.

- Podobieństwo jest niewątpliwe - przyznała, zamyślona kiwając głową. - Chociaż nie całkiem odpowiadają tradycyjnemu wyobrażeniu diabła. Spójrzcie, tutaj jest ten dół, z którego pomogłam się wydostać jeleniowi.

Zaskoczeni mężczyźni z niedowierzaniem patrzyli na głęboką jamę, na drzewo, z którego lina otarła korę, i na dziewczynę, taką drobną, że w jamie zmieściłyby się co najmniej dwie jedna na drugiej. Większość z nich miała też wcześniej okazję ujrzeć na własne oczy jelenia olbrzymia.

- Mówiłeś o sile woli - Rok zwrócił się do Strażnika Słońca. - Moim zdaniem to szczyt tego, co siłą woli da się osiągnąć.

- Ja tylko chciałam uratować jelenia - zmieszała się Miranda. - Po prostu.

Strażnik Słońca objął ją i mocno uściskał.

Miranda czuła, że wybaczone jej wszelkie przewinienia.

Jakby w przesyconej złem odpowiedzi od strony Czarnych Gór dobiegł ich niezwykle przeciągły jęk. Powietrze zadrgało od skargi. Dźwięk podnosił się i opadał, a za szczytami gór wykwitły czerwone płomienie ognia. Zgasły i na ich miejsce pojawiło się niebieskie światło, niczym kulisty piorun tańczyło po wierzchołkach, przeskakiwało od szczytu do szczytu, gasło i pojawiało się w innych miejscach.

Miranda zauważyła, że to zjawisko wywarło silne wrażenie nawet na chłodnym i spokojnym Ramie.

Ona sama drżała na całym ciele, przeniknięta prymitywnym lękiem ludzi przed potężnymi siłami natury.

17

- Nie wiem, czy chciałabym mieć tę niebieską poświatę przy spotkaniu z Waregami - wyznała lekko zdenerwowana Miranda, gdy wspinali się w górę zboczy.

- Będziesz się musiała z tym pogodzić - stwierdził Ram z uśmiechem. - Przez jakiś czas jeszcze nie zniknie.

Och, nie, pomyślała. Nie mogę się tak pokazać. Byle to nie oni obserwowali nas sokolim wzrokiem ze skał. Już wkrótce będziemy tam na górze, oby to nie oni pełnili dzisiejszej nocy straż.

Ram nie miał dla niej litości.

- Możesz przyjąć, że już poprzednio widzieli cię jako jaśniejącą niezwykłą postać. Mieli dobry widok na całą Dolinę Cieni i prawie przez cały czas mogli śledzić twoją wędrówkę.

I co sobie pomyśleli, zastanawiała się Miranda. Że jestem nieczystym duchem otoczonym chmurą piekielnego ognia? Och, to w ogóle nie jest zabawne.

Od dawna już wspinali się po beznadziejnie stromym zboczu i Strażnik Słońca zarządził wreszcie przystanek. Miranda ogromnie się z tego ucieszyła. Po pierwsze, dyszała już jak miech kowalski, a po drugie, cieszyła się z każdej chwili zwłoki. Może jej blask zdąży choć trochę zblednąć?

Marco ułożył się na ziemi tuż obok.

- Nerowi podobałaby się ta wyprawa - stwierdził.

- To prawda - kiwnęła głową Miranda. - Ale mogłaby się okazać zbyt dla niego niebezpieczna, nie chciałabym, żeby trafił do brzuchów potworów.

- Tego staralibyśmy się uniknąć. Jak to było, czy Gabriel nie miał psa, który wszystkim wydawał się wręcz nieśmiertelny? Co się z nim stało?

- Masz na myśli Peika - uśmiechnęła się Miranda z żalem. - Rzeczywiście dożył bardzo sędziwego wieku. Ale następnej nocy po tym, jak mama i Filip zginęli w wypadku, Peik zasnął i nigdy się już nie obudził. Tak jakby nie mógł poradzić sobie z żalem. Nam nie było wcale łatwiej, kiedy straciliśmy i jego, ale dla Peika tak chyba było najlepiej. Pies nie rozumie, dlaczego człowiek po prostu nagle znika, może traktuje to jak zdradę.

- Tak myślisz? - wolno spytał Marco. - Pies potrafi zrozumieć znacznie więcej, niż nam się wydaje. Sądzę, że Peik po prostu postanowił odejść.

Miranda nic nie mogła poradzić na łzy, które zakręciły się jej w oczach.

- Ogromnie za nim tęsknię, Marco. Dlatego tak bardzo się ucieszyłam, że Nero jest tutaj. W pewnym sensie mi go zastępuje. Nera też mi teraz brak.

- Wiem, ale jemu najlepiej w domu, razem z...

Marco leżał oparty na łokciu, odwrócony do Mirandy, i patrzył w inną stronę niż pozostali. Teraz zerwał się na równe nogi.

- Co to było?

Powiedli oczyma za jego spojrzeniem. Zdążyli dostrzec dziwaczne, na poły biegające, na poły czołgające się stworzenia, które zniknęły za skałami poniżej szczytu wzgórza. Strażnika Słońca przeszedł dreszcz.

- Ach, te tam! Naprawdę wciąż jeszcze istnieją? Prawdziwy koszmar! Część tych istot przedarła się niegdyś do Królestwa Światła, chociaż powinny zostać tam, gdzie były. Buntownicze, skore do wojny, uparte. Wiecznie kłócący się awanturnicy, nikomu dobrze nie życzący. Svilowie, tak ich nazywano. Nasi ludzie prędko usunęli ich z Królestwa Światła. Svilowie wymknęli się potworom i osiedlili się w jakimś nieznanym miejscu daleko w górach. Ale to było już tak dawno temu, sądziłem, że wszystkie te stwory wymarły przed wiekami.

- Czy one są niebezpieczne? - zapytała Miranda ze strachem.

Strażnik Słońca wahał się z odpowiedzią, lecz wreszcie rzekł krótko:

- Tak.

Pozostali milczeli.

Miranda sądziła, że po przejściu przez Dolinę Cieni najgorsze niebezpieczeństwa mają już za sobą. Tymczasem dalsza wędrówka nie zapowiadała się wcale na łatwą.

Żadne z nich nie wiedziało, że Siska, mała księżniczka, w drodze ku światłu zauważyła ślady trzech Svilów. To właśnie ich ścigali Waregowie, których spostrzegła później tamtej nocy. Zresztą sama Siska nie wiedziała, do kogo należały wielkie ślady stóp.

- Sądysz, że nas widziały, Marco? - zapytał Rok.

- Nie potrafię na to odpowiedzieć - rzekł Marco po namyśle. - Lecz jeśli wolno mi zgadywać, to raczej nie. Sprawiały wrażenie, że nie patrzą w tę stronę. Wzrok miały skierowany przed siebie, ale pewien nie jestem, mignęły mi przed oczami zbyt późno.

- Idziemy dalej - zwięźle polecił Strażnik Słońca. Zauważyli jego wyraźny niepokój i zatroskanie. Najwidoczniej uważał, że świat został już oczyszczony z tego paskudztwa. Teraz, kiedy mieli szczyt w zasięgu wzroku, wspinaczka była łatwiejsza. Miranda zorientowała się, że zbliżają się już do krainy Waregów, i ogarnął ją przemieszany z radością strach.

- Jak wyglądam, Marco? - spytała szeptem.

Uśmiechnął się czule, z wyrozumiałością, i wyskubał jej z włosów kilka listków.

- Bardzo ładnie, poza tym, że lśniesz jak gwiazda wieczoru. Ale i ta poświata dodaje ci uroku, choć nie jest wrodzoną ci cechą. Powinnaś się o to postarać - zażartował.

Nagle przystanął.

- Chyba ktoś do nas przyszedł.

Pozostali także się zatrzymali. Znaleźli się już niemal na szczycie wzgórza, wśród ostatnich resztek roślinności po tej stronie wzniesienia.

Błagalne prośby Mirandy zostały wysłuchane. Stali przed nimi dwaj wartownicy Timona, jasnowłosi i wysocy, z napiętymi, gotowymi do strzału łukami, lecz nie byli to jej Waregowie.

- Stać, kto idzie? - ostro spytał jeden.

Wyglądali na starszych niż Gondagil i Haram, a także na bardziej wrogo usposobionych. Spojrzenia skierowali na Strażnika Słońca, w którym natychmiast domyślili się przywódcy grupy. Udawali, że nie widzą Marca ani tym bardziej jaśniejszej Mirandy, a może bali się na nich patrzeć? Książę Czarnych Sal wyglądał przecież także bardzo szczególnie.

Lemurów najwidoczniej znali lepiej.

Strażnik Słońca lekko się ukloniwszy odparł:

- Przybywamy z Królestwa Światła i przynosimy waszemu ludowi przesłanie życzliwości i pokoju. Potrzebna nam wasza rada i pomoc.

Bardziej władczy z nich dwóch wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- A kiedy to Królestwo Światła szukało pomocy i rady u innych?

- Potrzebujemy ich teraz - odpowiedział krótko Strażnik Słońca, nie tracąc nic ze swej godności ani uprzejmości. - Młoda Miranda pragnie też omówić z Gondagilem pewną ważną sprawę.

- I z Haramem - uzupełniła. - Nie możemy zapominać o nim.

- I z Haramem - powtórzył Strażnik Słońca. - Miranda spotkała ich pewnej nocy, niedawno, przekazali jej informacje niezwykle cenne dla nas wszystkich, również dla ludu Timona.

Wareg usiłował zachowywać się z taką samą godnością jak Strażnik Słońca.

- Słyszeliśmy o Mirandzie - rzekł nie patrząc na dziewczynę.

Nie dowiedzieli się, jakie miał o niej zdanie, najwyraźniej jednak wiadomość o wyprawie dziewczyny wzbudziła w Waregach wielkie zdumienie.

Wartownik podjął:

- Zaprowadzimy was do naszego wodza. Tylko on może zdecydować, czy będziemy prowadzić negocjacje.

- Z wdzięcznością przyjmujemy tę propozycję - odparł Strażnik Słońca i z szacunkiem pochylił szlachetną głowę. - Powinniście jednak wiedzieć także, że przed chwilą natknęliśmy się na inne istoty, tu w górach, a dokładniej mówiąc nieco dalej tam na prawo.

Wartownicy Timona zmarszczyli brwi.

- Potwory?

- Nie, ich siedziby już dawno minęliśmy, to były istoty, które nazywamy Svilami.

- Tutaj? Teraz?

- Tak.

Wartownicy popatrzyli po sobie. Z ich twarzy dał się wyczytać niepokój.

- Wielu?

Strażnik Słońca obrócił się do Marca, który odpowiedział:

- Zauważyłem ich za późno. Naliczyłem mniej więcej dziesięciu, lecz gromada mogła być liczniejsza.

Oczywiste się stało, że ta wiadomość nie jest przyjemna.

- Musimy jak najprędzej wracać do domu - oznajmił krótko Wareg.

Poprowadzono przybyszów przez szczyt i Miranda ponownie miała okazję popatrzeć z góry na czarodziejską Krainę Mgieł. Widok był tak piękny, że poczuła, jak wzruszenie dławi ją w gardle. Marco, który widział ten kraj po raz pierwszy, zdumiony zachłysnął się powietrzem.

- Jak możecie żyć w tej wilgotnej mgle? - dziwił się Ram.

- Przyzwyczailiśmy się - odparł drugi z wartowników. - W końcu przestaje się to zauważać.

Trawa szeleściła pod ich stopami, gdy strącali z niej rosę. Ram posłał Mirandzie spojrzenie, które ją zastanowiło. Czyżby doszedł do takich samych wniosków jak ona, uznał, że lud Timona zasługuje na lepszy los? Taką przynajmniej miała nadzieję.

Siska nigdy nie wspominała o mgle. Musiała minąć tereny Waregów albo też mgła nie gościła tu na stałe, może pogoda się zmieniała.

Dwaj wartownicy rozglądali się nieustannie. Maszerowali w wielkim pośpiechu, przybyszom z Królestwa Światła z trudem udawało się dotrzymywać im kroku.

Wkrótce znaleźli się w paśmie mgły i widzieli już tylko najbliższej idących. Wartownicy pewnie prowadzili ich przez nie znany teren, tu punktami charakterystycznymi były tylko wysokie sosny. Rozmawiali z gośćmi, Miranda przysłuchiwała się temu z zainteresowaniem.

Wspomnieli, że nie będą mieli dość czasu, by zatrzymać się w wiosce. Zaraz zawrócą na posterunek, zwłaszcza że napotkano tak niebezpieczne stworzenia jak Svilowie.

Stworów, których obecność nigdy nie zapowiadała nic dobrego, nie widziano w okolicy już od kilku miesięcy. Waregowie powiedzieli także, że aparaciki, które dostali Gondagil i

Haram, wzbudziły wielkie zainteresowanie, wielu pragnęło mieć podobne. Ram zapewnił, że sporo ich ze sobą przynieśli, właśnie po to, by rozdzielić je wśród ludzi Timona, jeśli tylko wizyta wypadnie pomyślnie. Jeden z Waregów zdziwił się, dlaczego by tak miało nie być, na ogół nigdy nie sprawiało im kłopotów dogadywanie się z ludźmi, to przede wszystkim potwory stanowiły główny problem w nawiązaniu porozumienia między Królestwem Światła a mieszkańcami Doliny Mgieł.

Rok wręczył już aparaciki Madragów dwóm wartownikom, przyjęli je z wielkim nabożeństwem. Oczywiście się stało, że będą się od tej pory cieszyć większym poważaniem wśród współplemieńców. Dostali je niemal jako pierwsi, to ważne. Delikatne przypomnienie, że Haram i Gondagil otrzymali również maleńkie latarki, sprawiło, że twarz Roka rozjaśniła się w uśmiechu. Wręczył każdemu z wartowników po latarce. Uprzedził przy tym, że nie ma ich za wiele, słowa te najwidoczniej ucieszyły Waregów, teraz już naprawdę mogli zaliczyć się do uprzywilejowanych.

Nastrój wyraźnie się poprawił, by u Mirandy natychmiast opaść do zera. Dowiedzieli się, że Haram owszem, przebywa w wiosce, Gondagila natomiast nie było.

- Gdzie on wobec tego jest? - w jej imieniu spytał Marco, zorientował się bowiem, że dziewczynie nie starczy śmiałości.

- Gondagil chadza własnymi ścieżkami, nie mieszka z nami, lecz jeśli to będzie konieczne, Haram na pewno go sprowadzi.

Och, tak, pomyślała Miranda, to będzie bardzo, ale to bardzo konieczne.

- To on wiedział więcej o... - zaczęła, lecz Strażnik Słońca natychmiast jej przerwał.

- O tym porozmawiamy, gdy dojdziemy do osady.

Miranda wielkimi oczami rozglądała się po wiosce, głównej siedzibie Waregów. Tej osady nie dało się nawet nazwać miasteczkiem, kraina Timona była nieduża, mieszkańcy nieliczni, a wioski łatwo policzyć.

Miała wrażenie, że znalazła się w większej osadzie wikingów albo... Nie, nie miała racji. Waregowie nie zatrzymali się na etapie rozwoju wikingów. Ich budownictwo było bardziej zaawansowane, lecz wszystkie domy wzniesiono z grubych bali, które krzyżowały się na zwieńczeniu dachu. W wiosce wyczuwało się jakąś niemal rozpaczliwą bezradność, jak gdyby jej mieszkańcy walczyli z jakąś mocą, której nigdy nie zdołają pokonać. Czyżby z ciemnością? A może z potworami albo też innym wrogami, na przykład Svilami?

Wszystko w tej wiosce świadczyło o walce o przetrwanie i wysiłkach, by liczba ludności pozostała mniej więcej taka sama, chociaż wrogie siły starały się wyniszczyć plemię. Takie wrażenie odniosła Miranda, lecz trzeba przyznać, że dziewczyna obdarzona była dość żywą wyobraźnią. To, co ujrzała, utwierdziło ją jeszcze w zamiarze niesienia pomocy.

Dwaj wartownicy, podnieceni, jak najszybciej zaprowadzili gości do domu wodza, jednocześnie pokazując swoje aparaciki i latarki i opowiadając każdemu, kto tylko miał ochotę słuchać, o tym, kim są przybysze, o pojawieniu się Svilów w pobliżu ich granic i o własnych przeżyciach w drodze do wioski.

Nie dało się ukryć, że przybycie gości wzbudziło wielkie zainteresowanie. Gwałtownie wzywano Harama, wartownicy bowiem wspomnieli, jak ważną odegrał rolę. Nim dotarli

do siedziby wodza, z jednego z domów wyłonił się Haram. Ze zdumieniem przyglądał się orszakowi. Trudno opisać wyraz jego twarzy, gdy rozpoznał Mirandę, która go zawołała. Surową miną usiłował pokryć uśmiech, za wszelką cenę nie chciał dać poznać po sobie, że pamięta, jak podczas gdy ścigał dziewczynę, ona uratowała mu życie. Później zaś on ocalił ją.

Miranda pilnowała się, by nie od razu spytać o Gondagila. Podeszła do Harama i powiedziała ciepło:

- Ogromnie się cieszę, że znów cię widzę. Nie miałam okazji podziękować tobie i Gondagilowi za wspaniałe strzały. Gdzie on zresztą jest? Jak się miewasz?

Haram z całych sił starał się zachowywać godnie, ich spotkanie bowiem obserwowali wszyscy mieszkańcy wioski.

- Zraniłem się w nogę - oznajmił lekko oskarżycielskim tonem, jakby to była jej wina.

- Ach, jak mi przykro! Podczas upadku? Możesz chodzić?

Niepotrzebne pytanie, widziała przecież, że zbliżył się do niej, nawet nie kulejąc.

Haram zaś prędko oświadczył:

- Gondagila nie ma tutaj.

- To wiem, mówiono nam, że ty jesteś jedyną osobą, która może go sprowadzić.

Czcigodni mężczyźni, którzy przybyli wraz ze mną z Królestwa Światła, chcieliby porozmawiać z wami oboma.

- O czym? - Haram podejrzliwie zerknął na kobietę, która ukazała się w drzwiach domu, z którego wcześniej wyszedł. Miranda życzliwie skinęła jej głową, kobieta wyglądała jak większość niewiast z tej wioski, jasnowłosa i mocno zbudowana, bez oznak szczególnej inteligencji, jaka charakteryzowała Gondagila. Miranda znów odwróciła się do Harama.

- O czym chcą rozmawiać? Na pewno o niczym nieprzyjemnym.

Strażnik Słońca zawołał ją, mieli wejść do domu wodza. Haram poszedł za nimi, odepchnąwszy kobietę, która chciała mu towarzyszyć.

Miranda zadrżała w wilgotnym, przesyconym mgłą powietrzu. Nie mogła pojąć, jak ludzie mogą tutaj żyć. Było jednak zapewne tak, jak mówił któryś z wartowników: człowiek się przyzwyczaja, ludzkie ciało posiada zdolność przystosowania się do środowiska i klimatu. Co prawda z wielu domów w wiosce dał się słyszeć kaszel dzieci.

Przyjemnie było znaleźć się w ciepłym domu. Na palenisku płonął ogień, a na ścianach zawieszono miękkie skóry. Nie było jednak wśród nich skór jeleni, świętych nie należało tykać.

Wódz, chudy, niemal wyniszczony mężczyzna, przyjął ich z pełną rezerwy uprzejmością.

Wyjaśnili mu, z czym przychodzą, powiedzieli, że potrzebna im rada i pomoc ludu Timona, za którą hojnie ich wynagrodzą.

Wódz, usłyszawszy ich prośbę, popatrzył z gniewem na Harama.

- Dlaczego jeszcze nie sprowadziłeś Gondagila?

Haram poderwał się i chciał już wybiec z chaty, lecz Miranda go zatrzymała.

- Zaczekaj, może da się to załatwić szybciej. Nie zdając sobie z tego sprawy, wskazałeś kierunek, w którym on może się znajdować. Tam wysoko, w pobliżu tych jasnych gór? No właśnie, a pamiętasz, jak ty, Gondagil i ja rozmawialiśmy o raketnicach, jakich używamy w Królestwie Światła?

Haram kiwnął głową.

Miranda poprosiła Strażnika Słońca o zezwolenie na wystrzelenie rakiety. Uznała, że Gondagil zrozumie sygnał, był wszak inteligentnym człowiekiem.

Wszyscy, łącznie z wodzem, wyszli, by popatrzeć, jak Rok wypuszcza świetlistą racę poprzez morze mgły. Wielkie zdumienie i jeszcze większy zachwyt zapanowały zwłaszcza wśród młodszych mieszkańców wioski. Miranda spytała jeszcze Harama, czy Gondagil przebywa dostatecznie wysoko ponad pasmem mgły, inaczej nie dostrzegłby rakiety. Haram stwierdził, że na pewno ją zobaczy.

Wszyscy czterej mężczyźni z orszaku Mirandy zdawali sobie sprawę, że o Górach Umarłych równie dobrze mógł im opowiedzieć każdy z mieszkańców miasteczka, nie chcieli jednak sprawiać przykrości dziewczynie. Nie wiedzieli natomiast, że nie wzywając Gondagila, zbudziliby takie samo rozczarowanie również w nim.

Gondagil sprawdzał właśnie swój sprzęt wędkarski, gdy nagle mgłę i szare niebo z sykiem rozdarł płomień.

Zdażył ujrzeć raketę w całej urodzie i podczas gdy jej blask dogasał, starał się domyślić, co też to może być.

Miranda wspominała o czymś podobnym. On i Haram naśmiewali się z niej trochę, niepewni, czy z nich żartuje, czy sama wierzy w takie bzdury. Nie zastanawiając się dłużej, puścił wszystko, co trzymał w rękach, i pognął w stronę wioski.

Po drodze zdażył się zastanowić. To na pewno jakieś zjawisko przyrodnicze, doszedł do wniosku. A może przybył ktoś z Królestwa Światła i przyniósł to, o czym mówiła Miranda? To nie mnie wzywają, wystrzelili ją raczej dla zabawy. Właściwie mógłbym zawrócić, skoro jednak zaszedłem tak daleko... Dawno już nie byłem w wiosce, i tak potrzebuję stamtąd kilku rzeczy, dlaczego więc miałbym tam nie pójść? Wcale nie jestem ciekaw, przecież i tak wiem, co to może być. Raketnica, tak chyba to nazywała. No tak, ale jej wystrzelenie może oznaczać, że ktoś w wiosce zachorował albo może potwory zaatakowały, albo też...

W każdym razie to na pewno nie Miranda, to niemożliwe.

Był już na dole w pobliżu wioski, zwolnił więc kroku. Nie chciał przybiegać jak jakiś dureń, któremu się wydaje, że ktoś go wzywa.

Wolno przeszedł przez wioskę i dotarł do głównego placu, gdzie zebrali się niemal wszyscy mieszkańcy. Dopiero teraz ujrzał gości. Rozpoznał Strażników, czyli Lemurów, i jednego Obcego! I tego pięknego ciemnego człowieka, którego widział przez chwilę wtedy, gdy tamta dziewczynka, Siska, tak nazywała ją Miranda, przybyła do Królestwa Światła, a potwory porwały młodego chłopaka. Wtedy właśnie ci mężczyźni, którzy teraz byli tutaj, uwolnili chłopca ze szponów bestii, tylko do nich przemawiając.

Gondagil starał się udawać kompletnie nie, zainteresowanego. Zbliżył się do wielkiej grupy i wśród dostojników - stał tam również wódz - ujrzał Mirandę. Dech zaparło mu w piersiach, najwidoczniej biegł za prędko. Nie wiedział że ma taką kiepską kondycję.

Serce waliło mu nienormalnie mocno i prędko.

- To on! - zawołał ktoś. - Gondagil przyszedł!

A więc jednak to jego wzywano. Ta świadomość go ucieszyła. Nie wolno na nią patrzeć, patrz przed siebie.

Dzieci i młodzież z wielkim rozczarowaniem przyjęli wiadomość, że nie zobaczą drugiej rakiety. Wprawdzie Strażnik Słońca wielkodusznie zaproponował, że wystrzeli kolejną, lecz wódz powstrzymał go gestem. Jeśli prawdą jest, że Svilowie znajdują się w pobliżu, to nie powinni oni ujrzyć broni, jaką dysponują Waregowie. Goście zgodzili się z jego argumentami.

Przybysze wraz z kilkoma wybranymi członkami plemienia przeszli do chaty wodza. Przypatrując się wnętrzu chaty Miranda miała wrażenie, że czas zatrzymał się tu przed wieloma wiekami.

W paradnej Sali, gdzie wódz zwyczajem wikingów miał swe poczesne miejsce, stało wysokie krzesło. Miranda i Gondagil, sami nie bardzo wiedząc, jak do tego doszło, przypadkiem usiedli obok siebie.

Miranda czuła przyjemny, czysty zapach wilgotnego, lasu unoszący się z ubrania i włosów Gondagila, i miała nadzieję, że na jej skórze utrzymała się jeszcze bodaj odrobina perfum Indry, które w ostatniej chwili pożyczyła sobie bez wiedzy siostry. Sama nie miała takich „zbytków”. Teraz jednak bardzo by się jej przydały. Dziwne, jak prędko człowiek może zmienić zdanie, pomyślała ironicznie.

Gondagil dowiedziawszy się, o co chodzi, poprosił, by wezwać jeszcze dwoje z najstarszych członków plemienia, którzy zapewne wiedzą najwięcej na temat Gór Czarnych.

Zaraz też przybyli starszycy, połamani reumatyzmem, onieśmieleni wizytą dostojnych gości, w dodatku w tak godnej siedzibie. Marco, w którym wszyscy natychmiast wyczuli osobę królewskiego rodu, choć nikt nie zdradzał, kim naprawdę jest, zasiadł u boku wodza. Z drugiej strony miejsce zajął Strażnik Słońca, Obcy. Marco szeptem poinformował plemiennego dostojnika, że posiada środki, które pomogą sędziwej parze pozbyć się dolegliwości, jeśli tylko oboje zechcą przekazać mu interesujące go wiadomości. Wódz powtórzył jego propozycję starszycy, którzy pokręcili tylko głowami, nie wierząc słowom Marca, lecz o Górach zgodzili się opowiedzieć.

Dłoń Mirandy przypadkiem dotknęła ręki Gondagila i oboje błyskawicznie odsunęli się od siebie jak oparzeni. Przybrawszy obojętne na pozór miny, przysłuchiwali się słowom starej kobiety:

Rzeczywiście istniała prastara legenda o Górach Czarnych, powiadano, że to przeklęte dusze tak krzyczą, dusze ludzi, którzy za życia byli tak źli, że zatonęli w źródle czarnej, nieprzejrzystej wody i z powierzchni ziemi wpadli w jamę, która sprowadziła ich aż tutaj. Miranda wiedziała, że prawda jest inna, знаła wszak opowieść Ludzi Lodu. Nikt nie potrafił wyjaśnić, skąd biorą się krzyki, na pewno jednak nie istniała żadna piekielna otchłań, w którą strącano złych ludzi. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o samym złym źródle i oczywiście o tym, co jeszcze ważniejsze - o drugim źródle.

Tak, tak, powiedziała starszycy, a jej mąż pokiwał głową. Istniało jeszcze jedno źródło, z samym dobrem, podczas jednak gdy źródło z ciemną wodą łatwo było odnaleźć, to jasne pozostawało ukryte, trudno do niego dotrzeć.

No cóż, westchnęła Miranda w duchu, na pewno nie pozwolą mi na udział w drugiej ekspedycji, zresztą chyba powinnam się z tego cieszyć.

- Czy znacie drogę do źródeł? - spytał Strażnik Słońca.

Staruszkowie przerazili się nie na żarty.

- Ach, nie, nikt nie był tak szalony, by wyruszyć w Góry Śmierci.

Wtedy o udzielenie głosu poprosił Gondagil.

- Mój dziad, ojciec mej matki, mówił mi o tajemnej drodze, o której dowiedział się od swych przodków. Trudno, było mi ją sobie wyobrazić, lecz wydaje mi się, że zapamiętałem kilka charakterystycznych punktów.

- Doskonale - ucieszył się Strażnik Słońca i spytał wodza: - Czy to możliwe, abyśmy wypożyczyli Gondagila na tę niebezpieczną wyprawę, którą zamierzamy przedsięwziąć w Góry Umarłych, jeśli oczywiście on sam na to przystanie?

Wódz wyraził zgodę, a Gondagil oświadczył, że wskazanie im drogi będzie dla niego zaszczytem.

Na kiedy planują wyprawę?

- Upłynie jeszcze dużo czasu - wyjaśnił Strażnik Słońca. - Jeden z uczestników nie jest jeszcze gotów, musimy na niego poczekać.

Mirandę, która zafascynowana wsłuchiwała się w głos Gondagila, ogarnęło przerażenie.

Przecież trzeba się spieszyć, pomyślała, pamiętajcie o różnicy czasu, jaka nas dzieli.

Jeśli będziemy czekać zbyt długo, Gondagil się zestarzeje.

Zanim ktokolwiek zdążył poruszyć ten problem, do chaty wpadł jeden z wartowników, zdyszany i zupełnie błądy.

- Svilowie atakują. Wielką gromadą nadciągają z gór!

18

Powstał nieopisany chaos, ludzie biegali bezładnie we wszystkich kierunkach, a Miranda znalazła się nagle na rynku.

Słyszała, że Strażnik Słońca obiecał wodzowi pomoc wszelkimi środkami, jakimi dysponowali podczas tej wyprawy. Najpotężniejszy z Waregów serdecznie mu za to dziękował. „Przypuszczam, że nie jest tego mało - mruknął. - I nie myślę wcale o tym, co da się wziąć do ręki”. Strażnik Słońca uśmiechnął się na to cierpko.

Ktoś szarpnął Mirandę z taką siłą, że omal się nie przewróciła. Gondagil.

- Będziesz tu tkwić jak tarcza strzelecka? Zbierz wszystkie dzieci, jakie tylko spotkasz, i ukryjcie się w jaskini. Znajdziesz ją pod skałą, jeśli pójdziesz w górę tą ścieżką. Svilowie, jak sądzę, nie znają tej groty.

- Czy tam właśnie mieszkasz?

- Nie. Pospiesz się, ruszaj!

Miranda poprosiła o pomoc jakąś młodą kobietę, wspólnie zebrały sporą grupkę dzieci i cała gromada opuściła wioskę, podczas gdy Svilowie przypuścili atak przy granicy od drugiej strony.

Opuszczając zabudowania, Miranda przez moment ujrzała Gondagila. Widziała, jak rozwścieczony, wymachując mieczem, rzuca się na wrogów. Przekonała się teraz, jak bardzo w istocie potrafi być dziki. Dotychczas sądziła, że Haram przesadzał, mówiąc o

nieopanowanej gwałtowności towarzysza. Długo jednak nie mogła się Gondagilowi przyglądać, musiała wyprowadzić dzieci.

Przyłączyło się do nich kilka matek, które bały się spuścić swoje latorośle z oka. Kiedy już dzieci zostały dobrze ukryte, Miranda zastanawiała się, co powinna dalej robić.

I wtedy spotkała ją nieoczekiwana przykrość.

Młoda kobieta, którą wcześniej poprosiła o pomoc, popatrzyła na nią z nieskrywaną wrogością i syknęła:

- Trzymaj się z dala od Gondagila, nawet nie próbuj go ukraść, wcale go nie interesujesz, mówię ci.

Mirandę ogarnęło niepomierne zdumienie.

- Ale ja przecież...

Również dwie inne kobiety zaatakowały ją nieprzyjawnymi słowami, powtarzały wciąż, że nie tak łatwo go złapać i że nie dopuszczają, by dostała go jakaś obca. „On jest mój!” - krzyczała młoda dziewczyna, a inna zaraz zaprotestowała: „Nie, mój!” W awanturę wchodziły jeszcze inne, podkreślając swoje prawo do najatrakcyjniejszego mężczyzny plemienia. Miranda rozumiała, że awantura wkrótce może przemienić się w rękoczyn, i po cichu się wycofała.

Dzieci znalazły się już w bezpiecznym miejscu, mogła więc bez przeszkód wrócić do wioski. W grocie zostać nie powinna, było to dla niej zbyt ryzykowne.

W połowie drogi zatrzymała się gwałtownie i pospiesznie ukryła za gęstymi krzakami. W niewielkiej odległości dostrzegła bowiem kilku Svilów.

Miranda przyglądała im się oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Były naprawdę straszne, niepodobne do niczego, co dotychczas widziała. Owszem, miały dwie ręce, dwie nogi i jedną głowę, nosiły barwne stroje i buty ze skóry. Na tym jednak wszelkie podobieństwo się kończyło.

Wychylone w przód głowy o wystającym ryjku, małe, czarne, przenikliwie patrzące oczka i długie zęby przywodziły na myśl szczury. Serce Mirandy jednak zawsze krwawiło na myśl o nieszczęsnych prześladowanych gryzoniach, nie sądziła, by szczury chciały przyznać się do jakiegokolwiek podobieństwa do tych wielkich, skradających się dziwnie kolebiącym krokiem istot. Spojrzenia, którymi omiatały wszystko dookoła, przesiąknięte były na wskroś złem. Co to za istoty i dlaczego nigdy wcześniej o nich nie słyszała?

Długie szpony zaciskały się wokół jakiejś straszliwej kłującej i siecznej broni.

Najwidoczniej ta grupa odłączyła się od pozostałych lub też usiłowała zaatakować wioskę Waregów od tyłu.

Z osady dochodziły odgłosy zaciętej walki. Nagle jednak błysnęła smuga światła i rozległ się przeciągły, przenikliwy krzyk przerażenia.

Oto Strażnicy z Królestwa Światła włączyli się do akcji, pomyślała Miranda. Nie wiedziała, jakie kroki podjęli, lecz ta broń niewątpliwie pochodziła z jej nowej ojczyzny.

Na myśl o Gondagilu czuła lęk. Był taki śmiały, taki nieostrożny.

Nagle skulona dziewczyna zdrętwiała, usłyszała jakiś odgłos za plecami.

Odwróciła głowę. Jeden ze strasznych Svilów patrzył na nią świdrującymi złośliwymi oczkami.

Miranda nie czekała na to, co się stanie. Poderwała się i rzuciła do ucieczki. Nie mogła biec ku wiosce, tamtędy bowiem przebiegali też Svilowie, wybrała więc jedyną możliwą drogę, w dół i na prawo. Trudno się tu było poruszać, blade krzewinki plątały się wokół jej stóp.

Zaskoczona ujrzała płynący w dole strumień. Wprawdzie już wcześniej wędrując przez Dolinę Cieni napotykała potoki, ten jednak był odrobinę większy. Ale tak, musiała się już przedzierać przez taki strumień, by dojść do muru. Zapewne to ten sam strumień, który wpływał do Królestwa Światła i zmieniał w Złocistą Rzekę.

Myśli jej szybowwały, rozważała możliwość zejścia w dół. Svil, który ją gonił, poczekał na swych kompanów, tracąc nieco czasu. Teraz jednak ścigały ją już wszystkie złe stwory. Porozumiewały się jakimś piskliwym, niekiedy groźnie syczącym językiem, plątanina zarośli jednak chyba dość skutecznie hamowała ich ruchy.

Miranda nie miała czasu na rozmyślenia. Jedno spojrzenie za siebie, nikt chyba akurat jej w tej chwili nie widział - i skoczyła prosto na lekko nachylony brzeg. O mało nie wpadła do wody, na szczęście nie zrobiła sobie żadnej krzywdy, w każdym razie nie stało jej się nic poważnego.

Z ulgą zauważyła, że skała nieco dalej tworzy nawis nad korytem strumienia, prędko więc się tam ukryła. Teraz mogła przejść spory kawałek, pozostając niewidoczna od góry. Zatrzymała się na chwilę, aby odetchnąć.

Dręczyło ją nieprzyjemne pytanie: jak zdoła z powrotem wejść na górę? Czy będzie musiała iść wzdłuż strumienia przez krainę potworów aż do Królestwa Światła? Dość nieprzyjemna perspektywa!

Walka w wiosce dobiegała końca. Broń, przyniesiona przez gości, i ich duchowa siła zmusiły większość Svilów do ucieczki. Gondagil postanowił teraz sprawdzić, co się stało z Mirandą i dziećmi.

Spostrzegł, co się dzieje, widział, jak dziewczyna, uciekając przed grupą wrogów, biegnie w stronę urwiska, za którym płynął strumień.

Gondagil nie tracił czasu na pogoń za Svilami. Ruszył na skróty, by wyprzedzić Mirandę, i zdążył akurat zobaczyć, jak ta niezwykła istota rzuca się w dół.

Jedno można powiedzieć: na pewno nie jest strachliwa, pomyślał. I na dodatek zawsze jej się udaje bez względu na sytuację, w jakiej się znajdzie. Niekiedy zastanawiał się, czy nie pomagają jej jakieś nadprzyrodzone moce. Kobiety, które znał, potrafiły być twarde, nie umiały jednak myśleć tak szybko i logicznie jak Miranda.

Gondagil znajdował się nieco poniżej miejsca, z którego zeskoczyła Miranda. Postąpił tak jak ona, orientował się jednak w okolicy znacznie lepiej i wiedział, gdzie najbezpieczniej wylądować. Sądził, że Svilowie go nie zauważyli, że nie dotarli jeszcze do krawędzi urwiska. Nie przypuszczał też, by któryś poszedł w jego ślady, znał ich naturę. Tak naprawdę były to niezwykle tchórzliwe istoty. Zaatakowali wioskę, ponieważ wielokrotnie przewyższali liczebnością jej mieszkańców, byli lepiej uzbrojeni, no i uderzali z zaskoczenia. Obecność dostojnych gości u Waregów potraktowali widocznie jako obrazę dla siebie.

Gondagil, goniąc Mirandę, która biegła wzdłuż podnóża skalnego nawisu, z radością wspominał jej szlachetnych towarzyszy i ich pomoc w obronie wioski Waregów. Postępowanie przybyszów wywołało szok. Dwaj Strażnicy, Ram i Rok, posługiwali się tym, co Miranda nazywała pistoletem laserowym, Ram krzyknął do Gondagila, że nie zdecydowałiby się na jego użycie, gdyby przewaga wroga nie była tak znaczna i gdyby nieprzyjaciel nie zamierzał zmasakrować niewinnych ludzi. Naprawdę potężni okazali się jednak Strażnik Słońca i Marco. Ciemny książę Czarnych Sal wyciągnął tylko rękę, a z koniuszków jego palców wystrzeliły niebieskie błyskawice, które trafiły Svilów prosto w pierś. Wrogowie padali, żywi, lecz niezdolni się podnieść. Wili się tylko po ziemi, zawodząc żałośnie.

Podobnie postąpił Strażnik Słońca. Kiedy podbiegła do niego grupa Svilów, wyciągnął obie ręce nad ich głowami jak gdyby w geście błogosławieństwa. Miał jednak całkiem odmienne zamiary niż Marco, Svilowie nie mogli się do niego zbliżyć, stanęli jak skamieniali, a wtedy rozprawili się z nimi Waregowie. Gondagil niewiele jednak zdążył zobaczyć, dość miał zajęcia z napastnikami, przed którymi sam musiał się bronić. Zachował się naprawdę dzielnie, mógł być z siebie dumny. Svilowie zrezygnowali wreszcie z walki. Zorientowawszy się, że ich przewaga nie jest, jak się tego spodziewali, wcale taka pewna, rzucili się do odwrotu.

- Mirando! - krzyknął Gondagil na cały głos, bo woda w strumieniu szemrała dość głośno. Dziewczyna nareszcie się zatrzymała, dzięki Bogu, już zaczynał się na nią złościć.

Spostrzegłszy, że to Gondagil, uspokoiła się i ruszyła w jego stronę.

Spiesząc do niej po porośniętym trawą brzegu strumienia pod skałą, przypomniał sobie, jak dobrze im się ostatnio współpracowało, pamiętał o porozumieniu, jakie ich łączyło, a jakie nigdy nie stało się udziałem Harama. Gondagil nigdy jeszcze nie zaznał takiego poczucia więzi z drugą istotą, z innym człowiekiem, jak z tą dziewczyną. Ale nie bardzo mu było to w smak, czuł się wyprowadzony z równowagi.

Teraz było tak samo, a zarazem inaczej. Wszystko w niej mu się podobało, dziewczyna się odmieniła, zrobiła ładniejsza, bardziej łagodna. Jednocześnie coś w nim protestowało, był wszak samotnikiem z wyboru, a te nowe uczucia naruszały jego suwerenność. Wszystko to nastąpiło z jej winy, stało się tak, ponieważ istniała i tak nagle wdarła się w jego życie.

Przeklęta dziewczyna!

Stanął nagle tuż przy niej, z ciał obojga po biegu przez las biło gorąco, Gondagil wiedział, że zadano mu kilka ran, że jest poplamiony krwią, nie tylko własną, a włosy ma splątane. W jej oczach wciąż widniał strach przed Svilami, zdawała się nie zauważać jego przerażającego wyglądu. Jakby u niego szukała ratunku. Ciało Gondagila zareagowało bez udziału jego woli, objął ją i mocno przycisnął do siebie.

Miranda nie opierała się, przeciwnie, tuliła swój miękki policzek do jego twarzy, z wysiłkiem oddychając po biegu, i szepnęła coś, czego nie dosłyszał, chociaż mocno chciał, tak bardzo w jednej chwili zrobiło się to ważne. Czuł pod swymi dłońmi kruche dziewczęce ciało, wysportowane i sprężyste, nie takie obfite jak wioskowych kobiet, których dotykanie wcale go nie pociągało. Czuł każdy oddech Mirandy. Wzruszony

okazywanym mu zaufaniem, nie pragnął niczego innego, jak tylko opiekować się nią i chronić.

Nowe, całkiem nieznane Gondagilowi uczucie.

Nie zrozumiał, co szepcze dziewczyna, przerwał im bowiem jakiś sygnał. Miranda uwolniła się z jego objęć i wyjęła aparacik, przez który można było rozmawiać. To Ram chciał się dowiedzieć, gdzie ona jest. Zaczęli się już niepokoić i bardzo się ucieszył, gdy usłyszał jej głos.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała, porozumiewawczo zerkając na Gondagila. Potem znów wbiła wzrok w ziemię. - Oddaliłam się dość znacznie, bo gonili mnie Svilowie, ale teraz jestem już bezpieczna.

- To dobrze, oni już odeszli, uciekli z powrotem w góry. Nie widziałas przypadkiem Gondagila?

- Owszem, jest tutaj, przyszedł po mnie, zaraz wracamy.

- Świetnie, skontaktuj się z Markiem, on cię szuka.

- Dobrze.

Natychmiast wezwała Marca krążącego w pobliżu.

I tak się to skończyło. Niezwykła chwila, krótki moment bliskości z innym człowiekiem, minął.

Ten moment jednak całkowicie odmienił życie Gondagila. Nic już nie miało być jak przedtem.

- Co wtedy szepnęłaś? - spytał niemal ostro, chcąc ukryć swoje prawdziwe uczucia.

Popatrzyła na niego zdziwiona. Ach, jak blisko była, jak bardzo blisko, lecz Marco już szedł w ich stronę.

- Kiedy? - spytała. - Już wiem. Powiedziałam tylko: „Dziękuję, że to ty przyszedłeś”, nic więcej.

Ale to wystarczyło Gondagilowi. Ukrył uśmiech radości.

- Chodź - rzekł ochryple, wskazując jej drogę na skały.

19

Pragnę cię, Mirando, myślał Gondagil stojąc w drzwiach chaty wodza. Goście wraz z najbardziej zasłużonymi członkami plemienia siedzieli na ławach wokół wielkich stołów oświetleni blaskiem ognia, płonącego na palenisku, i paroma pochodniami tam, gdzie mrok był najgłębszy. Znalazł się tu także Haram, wprawdzie nie należał do najgodniejszych, ot, po prostu zrzędzeniem losu spotkał wtedy Mirandę, a ona zawsze się za nim wstawiała. Gondagil wiedział, dlaczego dziewczyna tak postępuje, i dręczyła go świadomość, że Haram najprawdopodobniej źle rozumie okazywaną mu życzliwość. Gondagil najchętniej odesłałby przyjaciela do wszystkich diabłów.

Pragnę cię, Mirando, nie sądziłem, że tak będzie, myślałem, że jesteśmy po prostu przyjaciółmi, owszem, najlepszymi na świecie, ty jednak obudziłaś we mnie coś, co dotychczas tkwiło uśpione. Przez wiele lat trwało pogrążone w letargu, przez wiele dni i nocy, poranków pełnych rosy i mgieł, wieczorów gorzkiej samotności.

Ty i ja, Mirando, ty i ja...

Wsluchał się w słowa Strażnika Słońca.

- Kim są Svilowie? Nic nie wiemy o ich obecnym życiu. Gdy moi przodkowie przybyli tutaj, opisywali wielkich, przypominających szczury ludzi, którzy sprawili im mnóstwo kłopotów. Zanim wybudowaliśmy mur wokół Królestwa Światła, istoty te pojawiały się i znikwały. Niespodziewanie, tak jak dzisiaj, przystępowały do ataku i zawsze rzucały się do ucieczki, gdy tylko się zorientowały, że przegrywają. Oczywiście nie mogły dostać się do naszego Królestwa, ich miejsce było wszak w Ciemności. Od tamtej pory już o nich nie słyszeliśmy. Dopiero teraz, ale tak rzadko zapuszczamy się poza mury. Opowiedzcie nam o ich losach i miejscu pobytu.

Wódz, oświetlony blaskiem ognia, poprawił się na wysokim krześle i odparł dostojnie:

- Po Svilach nigdy nie należy spodziewać się niczego dobrego. Wprawdzie nie widzimy ich często, sporo czasu już upłynęło, odkąd pojawili się tu po raz ostatni, ale zawsze przybywają we wrogich zamiarach. Jedyne, czego pragną, to zawładnąć naszą urodzajną ziemią. Przychodzą, by zabijać, chcą zniszczyć nas całkowicie. Sądzę bowiem, że ich celem jest przedostać się jak najbliżej Królestwa Światła, by podbić także tę krainę. Ale gdzie mieszkają...?

Zniżył głos, jedna z pochodni nieprzyjemnie zamigotała.

- Przypuszczam, że przybywają z Gór Czarnych, nikt jednak nie wie tego na pewno.

Gondagil napotkał wzrok Mirandy, starał się przekazać jej spokój i poczucie bezpieczeństwa, w oczach obojga odmalowała się wzajemna sympatia i ciepło.

Dziewczyno, pomyślał. Wiesz, że nie chcę być taki jak Haram, wiesz, że gdyby Marco nie przyszedł nad strumień, wszystko skończyłoby się inaczej, ale wówczas utraciłbym szacunek dla samego siebie, który tak wiele dla mnie znaczy. Ty jesteś inna niż niezliczone kobiety Harama. Jesteś czymś więcej, o wiele, wiele więcej.

Strażnik Słońca nawiązał do słów wodza:

- A więc Svilowie pragną was zniszczyć, unicestwić, potwory mają chyba podobne zamiary.

- Oczywiście, przed nimi jednak możemy się chronić bacznią obserwacją.

Strażnik Słońca spytał po namyśle:

- A jak przedstawia się sprawa z waszymi najbliższymi sąsiadami? Nie znam ich, czy są przyjaźnie usposobieni?

- Owszem, ci, którzy mieszkają na zboczach gór, to dobrzy ludzie, którzy tak samo jak my tęsknią za Królestwem Światła, a przynajmniej za światłem.

Strażnik Słońca pokiwał głową.

- Myślicie, że mogą coś wiedzieć o Górach Czarnych?

- Prawdopodobnie więcej niż my. Chcecie ich odwiedzić?

- Tak, pragniemy zdobyć jak najwięcej informacji. Myślicie, że to da się zrobić?

Wódz się zastanowił. Najwidoczniej uznał tę chwilę za niezwykle ważną. Gościł u siebie tajemniczych przybyszów z Królestwa Światła, to jego pytali o radę.

- Są czujni i podejrzliwi, Obcym, takim jak wy, i mam tu na myśli obcość w ogólnym sensie, niełatwo się do nich dostać. Jeśli jednak towarzyszyć wam będzie ktoś z nas, powinno się udać. Sprawa, z którą przybywacie, ma wielkie znaczenie również dla nich. Omawiano dalej możliwość podarowania Słońca Królestwu Ciemności i problemy, jakie się z tym wiązały, skoro istniały takie stworzenia jak potwory czy Svilowie. Mówili także o

konieczności wyprawy w Góry Czarne, Miranda jednak nie przysłuchiwała się temu uważnie, wszystko bowiem знаła już wcześniej. Siedziała zapatrzona w Gondagila, opartego lekko o framugę drzwi. Wyglądał w tej pozycji niezwykle męsko i pociągająco, za każdym razem, gdy na nią spojrzał, serce uderzało jej mocniej, a ciało przenikała przyjemna fala gorąca. Musiała wówczas odwracać głowę, by ukryć uśmiech szczęścia. Mężczyźni naradzali się nad wyprawą do sąsiedniej krainy. Wódz wyjaśnił, że dotarcie tam potrwa cały dzień, wybierano osoby, które miały towarzyszyć grupie z Królestwa Światła. Wyznaczono Gondagila, Miranda rozjaśniła się, spostrzegła jednak, że twarz Harama pociemniała.

- I Haram oczywiście musi iść z nami - powiedziała prędko, nie zastanawiając się nad słowami. - Bez niego sobie nie poradzimy, wiem o tym.

Zebrani popatrzyli na nią zaskoczeni, zrozumiała, że jako młoda dziewczyna nie powinna była się wypowiadać.

Ale wódz kiwnął głową.

- Dobrze, i Haram. Chciałbym także, by towarzyszyło wam pewne małżeństwo, ona pochodzi z sąsiedniego plemienia, a on często tam bywał, to będzie gwarancją, że was przyjmą.

Miranda napotkała spojrzenie Harama i zaskoczyło ją to, co w nim dostrzegła. Triumf mający swe źródło w przeświadczeniu, że wie, czemu ona chce go zabrać na wyprawę. Ukradkowe spojrzenie Harama rzucone na Gondagila i pełen współczucia chichot, który mówił: „Wiem, że on cię pragnie, Mirando, lecz ty wolisz mnie, myślisz, że tego nie rozumiem? Niech sobie tam stoi”.

Miranda jęknęła przerażona. Co ona najlepszego zrobiła? Jak to możliwe, by Haram tak to odebrał, jak można w ogóle coś takiego sobie wyobrazić?

Z rozpaczą w oczach popatrzyła na Gondagila, on jednak przysłuchiwał się akurat wodzowi i nie zauważył reakcji Harama.

Miranda z całego serca pragnęła, by dało się cofnąć jej nierozważne słowa.

Wyprawa w góry okazała się naprawdę długa, była jednak konieczna. Potwory nie mogły się liczyć jako sąsiedzi Waregów, stanowiły dla nich jedynie źródło udręki.

Grupa opuściła już Dolinę Mgieł, ze wzgórz roztaczał się zachwycający widok. Widać stąd było Królestwo Światła tak, jak po raz pierwszy ujrzała je Siska: pośród mrocznego świata wznosiła się olbrzymia kopuła lśniącego, zamkniętego w niej światła.

Od czasu do czasu natykali się na ślady Svilów, ich wielkie stopy w sztych butach odbijały się w gliniastym czy podmokłym podłożu. Uczestników wyprawy dręczył stale rosnący niepokój: a jeśli Svilowie zaatakowali sąsiednią krainę?

Miranda patrzyła z góry na mglisty kraj Gondagila i serce ścisnęło jej się ze współczucia. Oni powinni mieć Słońce, Ram zabrał ze sobą świetlistą kulę, uznali jednak, że na razie jeszcze nie mogą jej oddać. Nie śmiał nawet wspominać o tym w wiosce Waregów, to mogło być niebezpieczne.

Raz z daleka dostrzegli niewielką grupę olbrzymich jeleni, Miranda zastanawiała się, czy są wśród nich również zaprzyjaźnione z nią zwierzęta. Gondagil natomiast się niepokoił, czy stado nie zagrażają Svilowie.

- O tym nie może być mowy - pocieszał go któryś z jego ziomków. - Nie odważą się zaatakować tak wielkich stworzeń, od wszystkiego, co jest od nich większe, uciekają jak od zarazy.

Te słowa uspokoiły Gondagila.

Zostali z Mirandą nieco z tyłu, grupa akurat miała zrobić postój w niedużej dolinie. Inni przeszli już za skały, Gondagil jednak, rozmawiając z dziewczyną, szedł coraz wolniej, a Miranda nie miała najmniejszej ochoty go ponaglać.

- Nie podobają mi się spojrzenia, jakie śle ci Haram - rzekł Gondagil i całkiem się zatrzymał. Ona także.

- Mnie też nie, chyba postąpiłam zbyt lekkomyślnie mówiąc przy wszystkich, że chciałabym, aby poszedł z nami. Ale ty wiesz, dlaczego.

- Tak, to moja wina, to ja powinienem był powiedzieć, że trzeba go zabrać.

Stali teraz bardzo blisko siebie. Gondagil z góry patrzył na dziewczynę, objął ją w pasie z takim wyrazem twarzy, jakby nigdy nie miał już zamiaru jej puścić. Po raz kolejny poczuł, że ma ochotę nie tylko jej bronić. Był jednak zbyt niedoświadczony, by zrozumieć, że nie powinien robić tego, co zrobił. Delikatnie, trochę niepewnie przyciągnął ją do siebie, otoczył rękami jej plecy i przytulił głowę do swego ramienia. Miranda oddychała drżąco.

Stali nieruchomo, objęci, dziewczyna delikatnie gładziła jego jasne gęste włosy opadające na kark. Gondagila przeniknął dreszcz i odwzajemnił pieśczość.

Nie wiedział, że obejmowanie kobiety może sprawiać taką przyjemność. Ale Miranda nie była dla niego pierwszą lepszą kobietą, lecz przyjacielem i sprzymierzeńcem. Nikomu nie wolno wtrącać się w uczucia, które nas łączą, doszedł do wniosku, starając się zignorować płomień, jaki jej bliskość powoli rozpalala w ciele.

Długo patrzyli sobie w oczy, badawczo, oboje niepewni. Miranda zaakceptowała uścisk jego ramion jako wyraz łączącej ich przyjaźni, a jednocześnie było w tym coś niezwykle podniecającego i nowego. Gondagil wiedział, że zapuszcza się na nieznaną ścieżkę, lecz jej usta, kuszące, znalazły się już tak blisko... Wciąż jednak bał się, że ją wystraszy, instynkt podpowiadał mu, że niewłaściwie postąpią, jeśli przekroczą próg, jak to zawsze czynił Haram ze swymi kobietami. Teraz jednak Gondagil niczego innego nie pragnął, w głowie mu zaszumiało, ciało zalała fala gorąca, zaczął tracić kontrolę nad sobą.

Dostrzegł zmieszanie w oczach Mirandy i zrozumiał, że dziewczyna odczuwa podobnie i także się lęka, iż może się to źle skończyć. Choć łącząca ich więź była niezwykle silna, żadne z nich nie należało do ludzi lekko traktujących związek z drugą osobą.

Mieli także świadomość, że w każdej chwili może ich ktoś zobaczyć, i to również ich powstrzymywało.

Gdy Miranda jęknęła cichutko, ocknął się i zorientował, że jego palce musiały zostawić na plecach dziewczyny ślady. Nie był jednak w stanie oderwać się od niej, ogarnęła go nieodparta tęsknota...

Tak samo jak ostatnio z oszołomienia wyrwał ich dzwonek telefonu. Oboje wstrzymali oddech, a potem udręczeni wypuścili powietrze z płuc.

- Saved by the bell - mruknęła Miranda, lecz Gondagil tego nie zrozumiał, a ona nie miała siły, by mu tłumaczyć. Dzwonił Ram, a jego głos brzmiał dość surowo. Czyżby się o nią bał? Na to chyba wyglądało.

- Tak, tak, już idziemy - Miranda starała się mówić spokojnie, lecz to nie było wcale łatwe.

- Mamy tu pewną przeszkodę, dlatego tak długo to trwa.

Rzeczywiście, tak chyba można powiedzieć.

Oczy Gondagila pociemniały ze wzburzenia. Dlaczego muszą stąd odejść? Wszystko w nim protestowało, pragnął pozostać w tym miejscu na zawsze. Jeśli ona teraz zniknie, rozdzieli ich całe światy.

Zanim ją puścił, ze smutkiem koniuszkami palców obrysował wargi dziewczyny. Jak gdyby się bał, że już nigdy nie poczuje dotyku jej ust na swoich. Miranda miała wielką ochotę go pocałować, nie wiedziała jednak, czy to przyjęte w obyczajach jego ludu.

Uśmiechnęła się tylko czule i szepnęła:

- Najlepiej chyba będzie, jak już pójdziemy.

Z ogromną niechęcią rozluźnił objęcia, dziewczyna ujęła go za rękę, uściśnęła ją i tak okrążyli skałę.

Haram długo się im przyglądał, Mirandzie bardzo się nie podobało jego podejrzliwe spojrzenie. Co on miał do nich? Znowu gorzko żałowała, że nalegała na jego udział w wyprawie.

Wyraźnie dało się zauważyć, że sąsiednie plemię wywodzi się ze znacznie późniejszej epoki niż Waregowie. Ich kraina była większa, lecz bardziej jałowa, zabudowa osad przywodziła na myśl późne średniowiecze. Daszki, wykusze, wieżyczki w zupełnie niepotrzebnych miejscach i ulice wykładane kocimi łbami, przy widocznym braku materiałów, by budować jak należy. Wszystko kończyło się właściwie na chaotycznych próbach.

Było tu mroczniej niż na terenach Waregów, a już na pewno potworów. Ludność wydawała się pochodzenia niemieckiego, Miranda i Marco żalowali więc, że nie ma z nimi nikogo z rodziny czarnoksiężnika, która niegdyś mieszkała wszak w Austrii. Być może łatwiej udałoby im się znaleźć wspólny język.

Ale kiedy pierwsze lody zostały przełamane, powitano ich życzliwie. Co prawda dawano się wyczuć pewną rezerwę, trochę brakowało otwartości i serdeczności Waregów, którzy przyjęli ich o wiele naturalniej.

Dotarli na miejsce dość późno i Mirandzie zaraz nakazano położyć się do łóżka w maleńkiej izdebce połączonej z większym pomieszczeniem, które oddano do dyspozycji jej czterem towarzyszom. Dziewczyna protestowała, nie mogła pojąć, dlaczego musi iść spać, skoro zamierzają omawiać sprawę, z którą przybyli, a ona może mieć coś ważnego do dodania.

Ale Ram nie ustępował.

- Wolimy, żebyś zeszła nam z drogi, Mirando. Wcale nie dlatego, że nie chcemy, abyś brała udział w naradzie, lecz ponieważ jesteś powodem wrogości tych dwóch mężczyzn. Widzisz, nie jesteśmy tacy ślepi na to, co się dzieje.

Miranda poczuła rumieniec wypełzający na twarz. Dobrze wiedziała, że Ram ma rację, powiedziała więc dobranoc i wycofała się do swojej izdebki.

W nocy obudził ją dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia głos Marca. Rozmawiał z kimś, mówił cicho, dość monotonicznie, przekonująco.

Odpowiedziano mu bardziej podnieconym tonem, Miranda drgnęła, rozpoznając głos Haramy, który wcześniej tego wieczoru zniknął w jakimś domu wraz z młodą dziewczyną. A teraz był tutaj? Nie słyszała, co mówił, zorientowała się tylko, że się przy czymś upiera. Znów rozległ się łagodny głos Marca, a potem wzburzony Harama: „Przecież ona na mnie czeka!”

Ależ skąd, pomyślała Miranda przerażona. Co sobie Marco pomyśli?

Marco jednak myślał słusznie, bo Haram najwyraźniej został usunięty z tego domu. Jego ostatnie słowa: „Rozumiem, sam masz na nią ochotę, przystojniaczkę”, przerwało trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Miranda odetchnęła z ulgą. Zaraz potem usłyszała jakieś szuranie za ścianą, jakby ktoś próbował się wspinać po niej od zewnątrz, ale bez powodzenia.

Upłynęło jednak sporo czasu, zanim znów zasnęła. Przeciągłe głuche wycie od strony Gór Śmierci wcale jej tego nie ułatwiało.

Miranda zrozumiała, że narada zakończyła się pomyślnie. Przyjaciele uzyskali więcej informacji o Górach Czarnych czy też Górach Umarłych, jak niekiedy je nazywano. Miedzy trzema krainami zawarto pakt, mówiący, że władcy Królestwa Światła uczynią wszystko, aby dać Słońce pozostałym. Wymagało to jednak odnalezienia ostatniego składnika eksperymentalnego wywaru Madragów, wody z jasnego źródła, ukrytego w mrocznych górach. Dopiero wtedy będą mogli zwalczyć zło tkwiące w potworach i Svilach, a być może i w innych istotach zamieszkujących dalej położone, nieznanne obszary.

Miranda przeraziła się nie na żarty.

- Strażniku Słońca, nie wolno nam czekać zbyt długo!

- Wiemy o tym - odparł. - Niestety, Mirando, nic nie mogę na to poradzić. Upłynie kilka lat, zanim będziemy mogli wyruszyć na wyprawę w poszukiwaniu źródła.

- Och, nie - jęknęła. - Och, nie, ty nic nie rozumiesz. Nie możemy pozwolić, aby ci ludzie, którym daliśmy nadzieję, umarli, zanim to się stanie. Przecież oni się starzeją o wiele szybciej niż my. To niemożliwe, nie pozwalałam!

- Już dobrze, uspokój się, na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie - zapewnił, lecz Miranda widziała, że jego myśli powędrowały gdzie indziej.

Wyruszyli już w powrotną drogę, niemiecką osadę dawno zostawili za sobą. W pewnej chwili Miranda zawołała za oddalającym się od niej Strażnikiem Słońca:

- A czy nie moglibyśmy na ten czas zabrać ich do Królestwa Światła?

Odwrócił się do niej, nie krył smutku.

- Drogie dziecko, tu nie chodzi o kilka osób, lecz o całe plemiona, to niemożliwe, nie pomieścimy tylu nowych ludzi. Musimy czekać.

- Jak długo?

- Trudno powiedzieć - rzekł zamyślony. - Nie tak znów bardzo długo, może dziesięć lat.

- Dziesięć lat? - Miranda wykrzyczała te słowa.

Za dziesięć lat Gondagil będzie o sto dwadzieścia lat starszy niż dzisiaj, podczas gdy ona prawdopodobnie zatrzyma się między dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia.

Strażnik Słońca odszedł, pozostawiając ją z rozpaczą w sercu.

Muszę sprowadzić Gondagila do Królestwa Światła, to jedyne rozwiązanie, myślała zdesperowana. Muszę, muszę!

Gondagil czekał na nią.

- Co się stało, moja droga, dlaczego płaczesz?

Nie mogła mu tego powiedzieć. Nie mogła mu zdradzić, że Czas rozdzielił ich w najbardziej brutalny sposób.

- Och, nic szczególnego - pociągnęła nosem. - Smutno mi, że musimy się jutro rozstać. Tak bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

Gondagil milczał. Nie zdążył jeszcze się nad tym zastanowić, wydawało mu się, że mają dużo czasu.

A przecież nie wiedział tego co ona.

Opadła rosa, również tutaj, na skraju krainy Timona, kładła się miękkim dywanem w lasach i na łąkach. Kiedy świecili latarkami, kropelki błyszczały jak tysiące szlachetnych kamyków.

Miranda szła obok Gondagila, wsłuchana w ich własne kroki. Nad pola nadciągały wilgotne opary, zbliżali się do Doliny Mgieł.

Do głowy przyszedł jej pewien pomysł.

Istnieje rozwiązanie, mówiła sobie w duchu. Jest przykre, ale w ostateczności tak właśnie można zrobić.

Ja zostanę tutaj.

Gdyby wszystkie inne próby zawiodły, mogła tak uczynić, lecz musiałaby zapłacić za to ogromnie wysoką cenę. I nie miała wcale pewności, czy nie zacznie się starzeć tak jak Gondagil, przyjdzie jej też zrezygnować z całego dobra i piękna, jakie istnieje w Królestwie Światła, utraci rodzinę i przyjaciół, no i przede wszystkim światło.

Ale będzie żyć razem z Gondagilem, przynajmniej przez kilka lat. Możliwość bycia razem z nim wyrówna wszelkie straty.

20

Atak nastąpił zupełnie nieoczekiwanie.

Nie widzieli Svilów przez całą drogę do sąsiedniej krainy ani też podczas powrotu i byli przekonani, że wycofali się oni do swych jam ukrytych wysoko w górach lub też, jak ktoś twierdził szeptem, powrócili w budzące grozę Góry Czarne. Wszystko jedno, skąd się wywodzili, i tak nikt nie wierzył, że to Svilowie wydają z siebie owo przeciągłe, pełne skargi zawodzenie docierające aż do Królestwa Światła.

Grupa składająca się z pięciorga przybyszów z Królestwa Światła, Gondagila, Harama, mieszanego małżeństwa i jeszcze trzech Waregów, szła akurat przełęczą między wysokimi skalnymi zboczami. Dolgo zapewne dostrzegłby tu niejaki podobieństwo do Drekagil na Islandii, skały wznosiły się tak stromo, że nad ich krawędziami widać było zaledwie wąskie pasmo światła czy raczej szarówki, jaka zawsze panowała w tej krainie wiecznego półmroku.

Miranda szła zajęta rozmową z Gondagilem. Wspominali zabawne epizody z dzieciństwa i młodości, mieli ochotę zwierzyć się sobie z całego swojego życia. Przełęcz była wąska, obok siebie nie mieściły się więcej niż dwie osoby. Grupa musiała więc

rozciągnąć się w dość długi orszak. Gondagil i Miranda szli niedaleko środka grupy; na samym początku maszerowało mieszane małżeństwo, oni najlepiej znali drogę.

Nagle Miranda usłyszała huk, nie potrafiła jednak stwierdzić, skąd dobiegał. Za to Gondagil natychmiast się zorientował. Podniósł głowę i zawołał:

- Spójrzcie w górę!

Ujrzeni, że z wysoka spada na nich olbrzymi blok kamienia, i odruchowo przyłgnęli do skalnych ścian. Gondagil zdążył przewrócić Mirandę na ziemię, chociaż ona na pewno nie znalazła się w strefie zagrożenia. Przycisnął ją do skały i osłonił własnym ciałem. Kamień jednak, który spadając obijał się o przeciwległe ściany, uderzył ponad nimi i nieoczekiwanie przeleciał na drugą stronę, a potem runął tuż przed Gondagilem. Noga Warega została uwięziona między głazem a skalną ścianą, teraz posypał się na nich jeszcze grad odłamków.

Głaz zarył się głęboko w ziemię.

- Łapcie ich! - zawołał Gondagil. - Widziałem, widziałem ich ohydne szczurze sylwetki, to Svilowie! Nie, nie jestem ranny, po prostu tu utknąłem, pospieszcie się, inaczej znów spróbują nas zaatakować.

Zorientowali się, że głaz rzeczywiście przycisnął mu nogę, lecz nie wyrządził poważnej krzywdy.

- Potem cię uwolnimy - obiecał Marco i natychmiast wszyscy pognali za przewodnikiem, który dobrze znał drogę pod górę z przełęczą.

Miranda została z Gondagilem, widać było, jak bardzo się ucieszył.

Wystraszona popatrzyła na ogromny kamień. Nie tak łatwo da się go poruszyć, a już na pewno nie bez łomu. Pocieszała się jednak, że są tu liczną gromadą.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Dobrze - odparł, nie całkiem zgodnie z prawdą. Dziewczyna zauważyła bowiem, że pot wystąpił mu na czoło. - Gdybyś tylko pomogła mi oswobodzić rękę...

Miranda wciąż leżała pod skalną ścianą. Oczywiście mogła się już podnieść, uznała jednak, że tak jest jej dość wygodnie, nawet bardzo wygodnie. Gondagil był zwrócony do niej twarzą.

- Muszę teraz wracać do domu, do Królestwa Światła - oświadczyła. - Ale przybędę tu znów tak szybko, jak tylko będę mogła, jeśli ty tego zechcesz.

- Dobrze wiesz, że tak - odparł stanowczo. - A kiedy wrócisz? Za kilka dni?

- Nie wiem, Gondagilu, gdy tylko będę miała taką możliwość.

- Ale jak wyminiesz potwory?

Miranda odparła beztrąsko:

- Raz mi się powiodło, dlaczego nie miałyby mi się udać znów?

- Wyjdę ci na spotkanie, jeśli tylko będę wiedział, kiedy. Czy nie możemy się porozumieć przez te maszynki do rozmawiania?

- One nie działają przez mur, mur izoluje.

Świadomość tego przygnębiła ich oboje.

- Muszę cię znów zobaczyć - cicho powiedział Gondagil. - Już niedługo.

Jego silna ręka delikatnie gładziła dziewczynę po ramieniu, od góry w dół i znów do góry.

- Mirando... ja... myślę o tobie nie tylko jako o swoim przyjacielu, mam też inne myśli.

Miranda pochyliła głowę, by ukryć rumieniec.

- Nic nie szkodzi, Gondagilu. Widzisz, sądziłam, że nie interesuje mnie to, co może się zdarzyć między mężczyzną a kobietą, ale to nieprawda. I wcale się tego nie boję, nie widzę w tym nic złego. Tsi nauczył mnie, że to nieodłączna część życia.

Gondagilowi pociemniały oczy.

- Tsi? Twój zielonoskóry przyjaciel?

- Tak, co prawda jest bardziej złocistobrunatny niż zielony, lecz trochę zieleni w sobie ma. Takie nieduże plamki - paplała nerwowo, zrozumiała bowiem, że zapuściła się na głęboką wodę. - On jest istotą natury...

- I czego cię nauczył?

- Ależ, Gondagilu, Tsi-Tsungga jest jednym z naszej grupy przyjaciół, chociaż to prawda, że się z niej wyróżnia.

- W jakim sensie? Myślałem, że żartujesz, kiedy o nim opowiadałaś. Czy on naprawdę istnieje?

- Och, tak, jest siłą przyrody, zmysłową istotą, która nauczyła mnie, że zmysłowość trzeba traktować jak dar. Ale nigdy, przenigdy mnie nie tknął.

Boże, wybacz mi, bo kłamię teraz, lecz nie mogę przyznać się do pocałunku, Gondagil by tego nie zrozumiał.

- Widzisz, najmilszy przyjacielu, to Tsi otworzył mi oczy i pomógł uświadomić sobie, jak bardzo cię lubię.

- Brzmi to dość zawile - stwierdził Gondagil zdezorientowany. - Jak się to mogło stać?

- Kiedy mówił mi, jak piękna może być miłość, fizyczna miłość między mężczyzną a kobietą, pomyślałam o tobie i tak ciepło mi się zrobiło na sercu. Zapragnęłam, by znaleźć się blisko ciebie. Potem powiedziano mi, że nie mogę tu więcej wrócić i nigdy jeszcze nie przeżyłam podobnej rozpaczy.

Gondagil uspokoił się, jego twarz znalazła się bardzo blisko twarzy dziewczyny.

- A więc szliście i rozmawialiście o tym?

- Tak - odparła Miranda szczerze.

- I tęskniłaś za mną? Ile ten Tsi dla ciebie znaczy?

- Jest moim leśnym przyjacielem, wiele nas łączy, las, zwierzęta, cała przyroda, ale słuchaj, to niesprawiedliwie, że wyciągasz ze mnie wszystkie tajemnice, nic nie mówiąc o sobie.

- Ja także lubię zwierzęta i mieszkam w lesie - rzekł gniewnie. - Nie mam żadnych tajemnic, a już na pewno takich. Och, słysząc, że wracają. Mirando, czy nie możesz zostać ze mną, w krainie Timona?

- Zastanawiałam się nad tym i wiesz, że bardzo bym tego chciała.

- A więc zrób tak. Miranda zawahała się. Myślała o różnicy czasu, o której wciąż jeszcze nie śmiała mu powiedzieć.

- Wydaje mi się, że o wiele lepiej by było, gdybyś to ty poszedł ze mną do Królestwa Światła.

- A czy mogłabyś się o to postarać? - spytał z żalem w głosie. Rozmawiali teraz pospiesznie, słyszeli już głosy zbliżających się towarzyszy.

- Nie wiem, uczynię co w mojej mocy. Marco jest moim krewnym i przyjacielem, jeśli go poproszę, wstawi się za tobą, ale Strażnik Słońca i Ram są pod tym względem wyjątkowo surowi Gondagilu, tak bardzo, bardzo cię lubię.

- A ja ciebie, musimy być razem, obojgu nam tego potrzeba.

Uśmiechnęła się, słysząc takie słowa z jego ust, i zaraz nadeszli towarzysze.

- Jak wam poszło? - spytał Gondagil.

Miranda dopiero teraz spostrzegła, że jej przyjaciel ma mokre od potu czoło.

Najwidoczniej dokuczał mu silny ból, chociaż pewnie się nad tym nie zastanawiał. Każda chwila, jaką mogli spędzić tylko we dwoje, była dla niego nieskończenie cenna.

- Wszystko w porządku - krótko odparł Ram.

Więcej nic nie chciał powiedzieć.

Nie miał ochoty wracać do strasznych wydarzeń, jakie rozegrały się na górze.

Svilowie już odchodzili, poruszając się na swój dziwaczny sposób, na wpół czołgając się.

Gdy się zorientowali, że nieprzyjaciele podążają za nimi, nawet przyspieszyli kroku.

Strażnik Słońca zatrzymał ich jednak krótkim okrzykiem i wyciągnięciem ręki.

Usłuchali bez najmniejszych oporów. Jak zahipnotyzowani albo raczej jak zombi na chwiejnych nogach przysunęli się bliżej, popiskując. Było ich ośmiu, może dziesięciu, odpychających z wyglądu.

„Jakie to dla was charakterystyczne - rzekł Strażnik Słońca - napaść od tyłu. A teraz już się wam wydawało, że jesteście bezpieczni”.

Usiłowali schować się jeden za drugiego, powstał więc niemały chaos, lecz Strażnik Słońca był bezlitosny.

„Długo już dręczyliście zacne plemiona w Królestwie Ciemności, nie chcę więcej o tym słyszeć, dość!”

Marco zrozumiał, co zamierza uczynić potężny Obcy, zbliżył się więc do niego i rzekł spokojnie:

„Zaczekaj chwilę, Strażniku Słońca, sądzę, że da się to rozwiązać w inny sposób niż destrukcja, mam pewne podejrzenia, że te istoty naprawdę pochodzą z Gór Czarnych i że zanedbano się zbliżyły do źródła z ciemną wodą”.

„Wcale w to nie wątpię - odpowiedział Strażnik Słońca - chociaż raczej jej nie piły”.

„Nie, nie, to uczynić mogą jedynie istoty w rodzaju Tengela Złego. Pozwolisz mi?”

„Bardziej niż chętnie, nie lubię unicestwiać”.

„Ja także nie. Czy możesz całkiem ich uśpić? Muszę ich dotknąć”.

Strażnik Słońca skinął głową, a potem wykonał kilka gestów dłonią i Svilowie zamknęły oczy. Osunęli się na ziemię, pogrążeni w głębokim śnie.

Marco podszedł do nich wraz ze Strażnikiem Słońca i przyklęknął.

„Wydzielają nieprzyjemny zapach” - zauważył Strażnik Słońca, obserwując poczynania Marca. Książę Ludzi Lodu delikatnie dotykał wszystkich Svilów po kolei, wypowiadając przy tym niezwykle słowa.

„Czynię teraz tak, aby całe tkwiące w was zło rozwiało się jak pył na wietrze”. Taką ceremonię powtórzył z każdym ze Svilów, a potem jeszcze dodał: „Wróćcie teraz do istnienia, jakim kiedyś żyliście, zanim zła moc zmieniła was w ohydne bestie”.

Ze zdumieniem ujrzeni, jak wymyślne stroje, które nosili Svilowie, z wolna opadają. Ich ohydne głowy i przypominające szpony palce zaczęły się kurczyć, niknąć. Ze stosów ubrań wypełzło stadko szczurów i pognało w stronę płaskowyżu za skałami. Marco odetchnął i wstał.

„Niech sobie teraz zwieraczki radzą same, nikomu już nie będą mogły zaszkodzić” - rzekł, zwracając się do oniemiałych świadków zajścia.

„Jest ich więcej - stwierdził Strażnik Słońca - ale tych w każdym razie się pozbyliśmy. Dziękuję, Marco, stale mnie czymś zaskakujesz”.

Marco uśmiechnął się przelotnie.

„Teraz chciałbym się umyć”.

Doskonale go rozumieli. Znaleźli niewielki szemrzący strumyk, w którym Marco do czysta oplukał ręce. Potem znów wrócili do przełęczy.

Wspólnymi siłami starali się podnieść kamienny blok, który uwięził nogę Gondagila. Głaz zarył się jednak głęboko w ziemię, a oni nie mieli ze sobą żadnych narzędzi. W dodatku musieli być bardzo ostrożni, aby kamień mocniej nie przycisnął Warega.

- Przydałbyś się nam teraz właśnie ty, Gondagilu - stwierdził Haram. - Musicie wiedzieć, że on jest bardzo silny.

- Byłoby mi jednak trochę niewygodnie - zauważył Gondagil zgryźliwie. Widać było, jak bardzo cierpi.

- Marco, czy nie mógłbyś dokonać teraz jakiegoś małego cudu? - spytał Rok.

Odpowiedziała mu Miranda:

- Sądzę, że wobec takich realnych ciężarów Marco nic nie może zdziałać, odkąd powrócił do naszego rodu. Marco, myślę teraz oczywiście o tym, jak byliśmy zamknięci w Kverkfjöll na Islandii. Mówiłeś wtedy, że nie masz już takich sił. Wówczas jednak pomogli nam twoi przyjaciele, teraz, jak przypuszczam, to niemożliwe.

- Nie, nie wyobrażam sobie tego, ale, Strażniku Słońca, mam pewną propozycję.

Uważam cię za równego sobie, gdybyśmy obaj skupili naszą duchową siłę na zmniejszeniu ciężaru kamienia, być może innym w tym czasie udałoby się go odsunąć.

Strażnik Słońca zgodził się na taką próbę i przyłożyli dłonie do głazu, podczas gdy Lemurowie i Waregowie wyteżyli wszystkie siły. Miranda i kobieta z rodu Waregów także pomagały.

Tym razem się powiodło - nie wiadomo, czy to za sprawą wiary w powodzenie akcji, czy też naprawdę dwaj niezwykli byli w stanie zmniejszyć działanie siły ciężenia. To zresztą nieistotne, wspólnie zdołali przesunąć kamień na tyle, by Gondagil mógł wyciągnąć nogę.

Głaz ostatecznie legł na ziemi z ciężkim, przypominającym westchnienie łoskotem.

Odetchnęli z ulgą.

- Jak się czujesz? - dopytywał się Strażnik Słońca. - Możesz stanąć na nogi?

Gondagil sprawdził. Zrobił kilka chwiejnych kroków, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie, i odparł, że tak, musi się tylko trochę rozchodzić.

Miranda ujęła go za rękę.

- Chodźmy, wesprzyj się na mnie.

Ruszyli.

- Wiesz, o czym myślę? - spytał po chwili Gondagil.

- Nie.

- O tym, że całkiem niedawno nie mogłem nawet śnić, że ja, władca lasu w krainie Timona, miałbym wspierać się na ramieniu delikatnej, kruchej dziewczyny i jeszcze znajdować w tym przyjemność.

Miranda roześmiała się uszczęśliwiona.

Znów szli po równym terenie, Dolina Mgieł, leżąca w dole, obiecywała bezpieczne ciepło i odpoczynek.

- Przyszłość jest taka jasna, Mirando - rzekł Gondagil ufnie. - Nie brałaś udziału w rozmowie z sąsiednim plemieniem, ale Strażnik Słońca, Ram i Rok obiecali nam światło. Wierzę, że ciebie i mnie czeka dobre życie bez względu na to, gdzie się znajdziemy.

- Ja także w to wierzę - odpowiedziała Miranda z nadzieją, że nie usłyszał, jak mało w jej głosie pewności. Przynęła sobie, że uczyni wszystko, aby wyprawa w Góry Śmierci rozpoczęła się jak najszybciej.

W Dolinie Cieni czas płynął zdecydowanie za szybko. Zrozpaczona mocno uścisnęła Gondagila za rękę. On uśmiechnął się do dziewczyny pytająco, lecz ponieważ nic nie mówiła, także ścisnął jej dłoń.

21

Znajdowali się już niedaleko od osad Waregów, gdy nastąpiła katastrofa.

Strażnik Słońca zarządził odpoczynek. Zarówno Gondagilowi, jak i Haramowi wciąż dokuczwały zranione nogi, poruszali się więc z pewnym trudem, poza tym nastąpiła już pora snu i wszyscy czuli się dość zmęczeni. I tak nie dotrą do krainy Timona przed świtem, lepiej więc teraz się przespać.

Zbierali drewno na ognisko w osłoniętej od wiatru dolinie.

- Ostrzeżliście swoich sąsiadów przed Svilami?

- Tak, są przygotowani. Jeśli Svilowie zaatakują, czeka ich przykra niespodzianka. Idź, poszukaj teraz gałęzi, straszny tu chłód i wilgoć, weszliśmy już w obszar mgieł. Tylko nie odchodź za daleko.

- A gdzie Marco i Strażnik Słońca?

- Oni nie muszą spać, poszli przodem do wioski Waregów powiadomić ich o rezultatach spotkania z sąsiadami.

Mirandę przeniknął dreszcz. Wprawdzie i teraz stanowili dość liczną gromadę, lecz to głównie z Markiem i Strażnikiem Słońca wiązało się jej poczucie bezpieczeństwa.

Wypatrywała Gondagila, lecz on najwidoczniej zrezygnował już z czekania na nią.

Podreptała więc w stronę, gdzie, jak się jej wydawało, poszedł.

Chociaż odkąd opuścili przełęcz, nie musieli już obawiać się Svilów, to jednak z lękiem rozglądała się dokoła. Ta kraina była jej nieznana. Każda skała, każdy krzaczek wydawał jej się ponury i tajemniczy, w dodatku przez cały czas musiała wytężyć wzrok i właściwie jedynie domyślała się, co widzi.

Zebrała parę suchych patyków, spostrzegła jednak, że ktoś przeszedł tędy już przed nią, zostały tu bowiem tylko drobne gałązki. Zmieniła kierunek i znalazła się na terenie pokrytym gęstą roślinnością.

Ale przecież miała nadzieję, że idzie śladem Gondagila.

Zawołać go? Nie, tamci pomyślą, że zachowuje się niemądrze. Ram upominał, by się zanadto nie oddalała. Łatwo tak mówić, przecież to wstyd wrócić z pustymi rękami! Może nałamać gałęzi z krzaków i drzew? Ale nie, są mokre, będą się źle paliły.

Po omacku przesuwała się wśród zarośli. Znalazła wreszcie wywróconą sosnę, uśmiechnęła się do siebie, myśląc: „Lepsza sosna w ognisku niż ognisko w sośnie”. Ta gra słów przypomniała jej o Indrze i przyjaciółach.

Przyjaciele? Wydawali się tacy odlegli, i tak też było. Oddzielał ich mur i dolina zamieszkała przez krwiożercze bestie.

Chyba jednak poszła za daleko, lepiej zawrócić. Zaczęła więc znowu przedzierać się przez zarośla.

Gdzie może być Gondagil? Odkąd wyruszyła, nie widziała żadnego z towarzyszy, ani Roka, ani Harama, ani trzech wojowników z krainy Timona i małżonków. Miranda bardzo się cieszyła, że w tej wyprawie bierze udział także kobieta, z którą może od czasu do czasu porozmawiać. Dobrze się rozumiały, skorzystała więc z okazji, by dyskretnie wypytać ją o Gondagila. Nie, nie miał żadnej kobiety, chyba nigdy z nikim się nie wiązał. Co prawda w wiosce mało o nim wiedziano, przebywał raczej w pobliżu swej siedziby na górskich zboczach. Wioskowe dziewczęta szalały za nim, nierzadko podkradały się, chcąc odnaleźć jego kryjówkę. Nie wiadomo, czy któreś się to udało, chyba nie, inaczej nie omieszkałaby się tym pochwalić. Wszystko to ogromnie interesowało Mirandę, a sam Gondagil wydał się jej jeszcze bardziej pociągający.

Ojej, gdzie ona jest, nie rozpoznawała żadnej z tych skał!

Zawołała cicho: „hop, hop”, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Powinna chyba dostrzec ogień, a przynajmniej dym, lecz być może Ram nie rozpałił jeszcze ogniska.

Ram zaczął się niepokoić.

Co też mu przyszło do głowy, żeby wysłać Mirandę samą? Ale Gondagil właśnie opuścił obozowisko i Ram sądził, że Miranda widziała, w którą stronę poszedł. Strażnik nie bał się zostawiać dziewczyny pod opieką Gondagila, to dobry człowiek, twardy, ale porządny. Gorzej z tym drugim...

Ale przecież tylu ich było w lesie, Miranda nie powinna się zgubić.

A może jednak?

Miranda miała silną osobowość, inną niż biedna, niezdecydowana Elena. Miranda wiedziała, czego chce, i potrafiła radzić sobie w najtrudniejszych sytuacjach. Doprawdy, o nią nie trzeba się lękać.

A jednak Ram się martwił.

Nie mógł odejść od ogniska, był za nie odpowiedzialny. No, nareszcie wraca Gondagil z całym naręczem drewna.

Sam.

- Gdzie masz Mirandę? - spytał Ram. - Sądziłem, że poszła za tobą.

- Nie, myślałem, że zostaje tutaj, nie widziałem jej. Czy poszła...?

- Nie wiem, gdzie ona jest, ale są już i inni, zaraz się dowiemy.

Wrócili małżonkowie, a także Rok i jeden z pozostałych Waregów. Nie, nikt nie spotkał Mirandy, zauważyli tylko tamtych dwóch mieszkańców wioski.

Nikt nie widział także Harama.

Gondagil rzucił drewno na ziemię i pognął we wskazanym przez Rama kierunku.

Usłyszeli go, jak nawołuje Mirandę. W jego głosie dźwięczał strach. Echo poniosło wołanie ponad lasem.

Miranda usłyszała, że ktoś nadchodzi. Dzięki Bogu, tak się już bała!

- Jesteś tutaj? Sama jedna? - W głosie Harama brzmiało wyczekiwanie. - A co zrobiłaś z całą tą swoją przyboczną strażą? Czyżby wyjątkowo zostawili nas w spokoju? No tak, zrozumieli widać, że nie da się walczyć z przeznaczeniem.

Ach, jakże banalnie się wyrażał!

- Właśnie wracam - prędko powiedziała Miranda, przyciskając mocniej drewno do piersi, jakby chciała się nim osłonić. - To chyba dobra droga?

- A co nas obchodzi droga? - mruknął Haram, usiłując odebrać jej gałęzie. - No, no, czyżbyś się certowała?

- Haramie, przestań! - poprosiła Miranda, starając się, aby jej głos brzmiał spokojnie. Przez moment nie wiedzieć czemu przed oczami stanęło jej podwórko szkoły w Oslo, do której jeszcze całkiem niedawno chodziła. Nie wiadomo, skąd wzięło się to skojarzenie, mogło przywołać je jakieś słowo, zapach albo ruch, zaraz jednak znów była w ponurym, mrocznym, całkiem jej nieznanym lesie. Razem z Haramem, osobą, której obecności najmniej sobie życzyła.

Pewny siebie Haram pociągnął za jakiś patyk i całe naręcze drewna upadło na ziemię.

Miranda powiedziała mu coś zirytowana i pochyliła się, by pozbiierać gałęzie.

Zaatakował ją natychmiast, od tyłu. Usiłowała się wyprostować, lecz popchnął ją, straciła równowagę i runęła na brzuch. Uderzyła się, podrapała twarz, to jednak nie miało znaczenia, najważniejsze, że uwolniła się z jego uścisku.

Nie przyszło jej to wcale z łatwością, Haram bowiem był silny i bardzo zacięty w swym uporze. Zdawał sobie sprawę, że, chociaż brzmiało to zupełnie nieprawdopodobnie, Gondagil może mu odebrać dziewczynę, a do tego on już nie dopuści. Nikt jeszcze nie zwyciężył Harama. Każda dziewczyna z krainy Timona padała jego łupem. A wczoraj podbił także serca dziewcząt z sąsiedniego kraju. Miranda była szczególną osobą, przybyła z Królestwa Światła i nie chciała wdawać się w żadne flirty. Nie straciła dla niego głowy, tak jak do tego przywykł, lecz to, rzecz jasna, tylko udawanie, Gondagil nigdy jeszcze nie odebrał Haramowi żadnej kobiety, to nie do pomyślenia. Ta mała też tylko się puszy, żeby jeszcze bardziej go sobą zainteresować, wydaje jej się, że on nie zna tej gry. Do diabła, ależ ona silna! No cóż, tym większy będzie jego triumf, kiedy wreszcie ją pokona.

Mirandę ogarnęła wściekłość. Pluła i prychała, wiła się, nie pozwalając sobie ściągnąć spodni, usiłowała wbić Haramowi kolano w krok, lecz on temu zapobiegł, mocno szarpała go za włosy, potem ugryzła w ramię, tak że zaklął głośno. Lecz Haram był zdecydowany dopełnić tego, co zamierzył.

Złapał ją za ubranie i mocno szarpnął, Miranda zrozumiała wtedy, jak bardzo nierówne są ich szanse, i zaczęła krzyczeć. Raz po raz wzywała Gondagila, Rama i Marca, choć przecież Marca tu nie było.

Pięść Harama zdusiła jej krzyki.

- Zamknij się, przekłeta dziwko! Chcesz sprowadzić tu wszystkich? Uspokój się, stanie się tak, jak ja chcę. Zobaczysz, będzie ci dobrze, ja się znam na rzeczy, żadna jeszcze się nie skarżyła. Au, oszalałaś? Przestań drapać, przekłeta...

Urwał. Czyjaś dłoń pociągnęła go za kaftan na karku, o mało go przy tym nie dusząc. Rozwścieczony Gondagil stał tuż przed nim. Nigdy jeszcze Haram nie widział w oczach przyjaciela takiej dzikości, lecz nie miał wcale zamiaru się poddawać. Kątem oka dostrzegł skuloną na ziemi płaczącą Mirandę, ale nie to w tej chwili było istotne. Musiał skupić się na Gondagilu, z oczu przyjaciela bił nieposkromiony gniew i zapowiedź śmierci.

Haram wyciągnął nóż, Gondagil natychmiast odpowiedział tym samym, choć nie atakował, bronił się tylko.

Miranda z krzykiem protestu poderwała się z ziemi. Jej śliczna bluzka była rozpięta, spodnie podarte.

Rzuciła się między walczących mężczyzn.

- Nie, nie, jesteście przecież przyjaciółmi, nie możecie się bić. Przestańcie...

Więcej powiedzieć nie zdążyła. Starła się osłonić Gondagila przed ciosem Harama i nóż ugodził właśnie ją.

Jęknęła z bólu i osunęła się na ziemię. Gondagil przez moment stał jak sparaliżowany, lecz nagle zalała go fala gniewu i z krzykiem rozpaczy wbił nóż w pierś Harama.

Przyjaciel z dzieciennych lat padł na ziemię.

Ich przyjaźń jednak skończyła się już dawno temu, Gondagil zdawał sobie z tego sprawę. Rozwiała się, zanim jeszcze pojawiła się Miranda, po prostu każdy poszedł w swoją stronę. Gondagil nie czuł nic na myśl o śmierci przyjaciela, zapewne żał przyjdzie później.

Teraz najważniejsza była Miranda.

Dziewczyna leżała nieruchomo, z rany na szyi nieprzerwanym strumieniem płynęła krew. Wzrok Gondagila zasnuła mgła. Niezręcznie usiłował zatamować krwotok, wreszcie jednak podniósł głowę i zaczął wzywać pomocy. Wołał Rama i Strażnika Słońca, a przede wszystkim Marca.

Potem wziął ukochaną na ręce i ruszył w stronę obozowiska.

Towarzysze spotkali go w połowie drogi.

- Ona umiera - rzekł Gondagil bez tchu. - Ratujcie ją, ona nie może umrzeć, nie ona! Ram bardzo pobrał.

- To nie jest pewne, Gondagilu, lecz Miranda dość długo pozostawała pod wpływem promieni Świętego Słońca i być może, być może jest nieśmiertelna. Nie wiem, czy jest tak naprawdę, ale postaramy się zrobić wszystko, co w naszej mocy. Wracajmy do ogniska, zobaczymy, jak to wygląda. Och, na Święte Słońce, ona strasznie krwawi, spróbuję to zatrzymać. Ty ją nieś, a ja postaram się zatamować krew.

Za chwilę byli już przy ogniu, którego pilnowali trzej Waregowie.

Mirandę ułożono na ziemi, zajęli się nią Ram i Rok. Gondagil klęczał tuż przy nich, ale nic nie mógł zrobić. Serce ścisnęło mu się z bólu na widok leżącej na ziemi białej jak śmierć dziewczyny. Wiedział, że kocha ją nad życie.

Ram podniósł głowę.

- Źle się dzieje - westchnął. - Co prawda ona mocno trzyma się życia, zwykły człowiek już by umarł. Boję się jednak, że ją utracimy.

- Gdyby tylko Marco i Strażnik Słońca byli tutaj westchnął Rok z rezygnacją. - Szczególnie Marco mógłby ją uratować.

Gondagil błagał ich spojrzeniem, nigdy jeszcze w niczyich oczach nie widzieli takiej rozpacz.

- Ty nie wiesz, kim jest Marco - stwierdził Rok, potem z desperacją zawołał jak najgłośniej: - Marco! Marco!

Oczywiście nie otrzymał żadnej odpowiedzi, słychać było jedynie trzask płonących gałęzi i krople spadające z mokrych od rosy drzew.

22

Ram odzyskał wreszcie zdolność trzeźwego myślenia. Dotychczas był zbyt poruszony wypadkiem Mirandy, by rozumować logicznie.

- Wezwę Marca i Strażnika Słońca, są już pewnie w wiosce, ale warto spróbować. Może przynajmniej nam poradzą, co robić.

Gondagil już wcześniej widział telefon, lecz pozostali Waregowie nie posiadali się ze zdumienia, gdy w leśnej ciszy rozległ się nagle spokojny głos Marca.

Ram wyjaśniał:

- Marco, Miranda jest śmiertelnie ranna, krwawi z tętnicy szyjnej, nie potrafimy zatamować krwotoku. Gdzie jesteście?

- W wiosce, usiłujemy uleczyć wodza, który cierpi na daleko posuniętego raka. Zaraz do was idę, Strażnik Słońca może działać tutaj sam.

- Dobrze, ale co mamy robić w tym czasie?

W głosie Marca zabrzmiała jakaś wesoła nutka.

- W tym czasie? O to nie musicie się martwić.

Wyłączył telefon.

Ram opuścił swój aparat.

- Łatwo mu tak mówić, nie wie, jak krytyczna jest sytuacja.

Wystraszeni popatrzyli na Mirandę. Uczynili już wszystko, co mogli, pozostawało teraz tylko...

Nie zdążyli nawet dokończyć tej myśli, a Marco stanął przy nich.

- Co takiego? - zdumiał się Rok. - Czyżbyśmy byli tak blisko wioski?

- Nie - odparł książę Czarnych Sal. - Pozwólcie mi ją zobaczyć.

Gondagil, który wiedział, jaka odległość dzieli ich od osady, nie wierzył własnym oczom.

„Nie wiesz, kim jest Marco” - tak mówił Rok. Rzeczywiście kogoś podobnego trudno wyobrazić sobie nawet w snach. Miranda opowiadała mu o czarnoksiężnikach, lecz nie wspominała wtedy o Marcu.

Nie zastanawiał się jednak nad tym dłużej, teraz najważniejsza była Miranda.

Wszyscy odsunęli się na bok, by zrobić miejsce Marcowi. Zdziwieni patrzyli, jak ciemnymi dłońmi usuwa kompresy, które przyłożyli do rany.

- Szkoda, by taka wspaniała dziewczyna umierała, prawda, Gondagilu? - rzekł księżę Czarnych Sal swoim melodyjnym głosem.

Gondagil nie odpowiedział, gardło miał jak zasznurowane.

Marco podniósł głowę.

- Sądzę, że ona i tak by nie umarła. Przebywała zbyt blisko Słońca - stwierdził. - Ale rana jest rzeczywiście paskudna, dziewczyna utraciła też stanowczo zbyt wiele krwi. Upłynie sporo czasu, zanim ją odzyska.

Ram pomyślał, że mimo wszystko zabranie przez Mirandę Słońca wyszło na dobre. Tak dotkliwie chciał ją za to ukarać, a przecież dzięki temu prawdopodobnie jeszcze żyła.

- Zastanawiałem się, czy nie pozwolić, by padły na nią promienie tego Słońca, które mamy ze sobą, to jednak byłoby zbyt ryzykowne. Słońce oświetliłoby połowę Królestwa Ciemności, a już na pewno całą krainę Timona, zrobiłoby się zamieszanie, jakich mało, i prawdopodobnie wybuchłaby wojna między plemionami.

- Masz rację, dobrze, że tego nie zrobiłeś.

Delikatnie pogładził palcami ranę Mirandy, ścisnął jej brzegi i nakrył dłonią. Zebrani wokół niego z niedowierzaniem patrzyli, jak rana się zmniejsza, zmienia w wąski pasek, aż wreszcie całkiem znika.

- No dobrze, niebezpieczeństwo zażegnane - spokojnie powiedział Marco. - Ale potrzebna jej transfuzja, i to niejedna, jak najszybciej. Musimy ją zabrać do domu.

Gondagil klęcząc uniósł ciało dziewczyny i przytulił. Ze zdumieniem spoglądał na Marca.

- Kim ty jesteś?

Marco uśmiechnął się ze smutkiem.

- Sądzę, że nie bardzo by ci się spodobało, gdybyś się dowiedział. Pamiętaj jednak, nie jestem złą mocą.

- Zrozumiałem to już dawno - odparł Gondagil z powagą. - Dziękuję, dziękuję za to, co uczyniłeś dla mojej... - urwał i zaraz dokończył: - Dla mojej Mirandy.

Gondagil został przy dziewczynie, podczas gdy inni wspólnie pochowali Harama.

Miranda była głęboko nieprzytomna, a jednak czuł się jej bliski jak nigdy dotąd. Delikatnie ułożył ją na ziemi i sam skulił się przy niej. Oparł jej głowę na swym ramieniu i z czułością gładził po kredowobiałym policzku. Wiedział już, że będzie żyła, i teraz pragnął, by jak najprędzej wróciła do swej jasnej krainy i dostała nową krew. Ta krótka chwila jednak miała dla niego ogromne znaczenie, Miranda pozostawała pod jego opieką i gotów był uczynić dla niej wszystko.

Pomimo ciepła ogniska ziemia była chłodna i wilgotna. Gondagil zdjął kaftan i wsunął go pod ciało dziewczyny. Poły bluzki, które usiłowała przytrzymać, znów się rozsunęły.

Delikatnie zasłonił jej piersi, pozwolił sobie na ukradkową pieśczętę, poczuł się jednak, jakby dopuszczał się świętokradstwa, i zaraz otulił ją kurtką.

- Będzie nam dobrze razem, Mirando - szepnął cicho. - Zaopiekuję się tobą jak najlepiej, będziesz...

Przypomniał sobie, jakie bariery ich dzielą, i przymknął oczy w przyływie dotkliwego bólu.

Tak szybko jak się dało opuścili krainę Waregów. Należało jak najprędzej zabrać Mirandę do domu.

Gondagil towarzyszył im w drodze, nalegał, by pozwolili mu ją nieść, Wdzięczni mu byli za to, z noszami bowiem trudno by im było się poruszać po stromym terenie.

Dotarli do Doliny Cieni, do krainy potworów.

- Nie możemy teraz spytać Mirandy o radę - stwierdził Ram. - Udało jej się przejść tędy cało i zdrowo.

- No cóż - powiedział Rok. - Jeśli uważasz ukąszenie potwora i potłuczone łokcie i kolana za „cało i zdrowo”...

- No właśnie - westchnął Ram.

Z pomocą przyszedł im Gondagil.

- Haram i ja obserwowaliśmy ją z góry, szła u podnóża pasma wzgórz w prawo, tak daleko jak się dało. Po drodze spotkała kilka grup bestii, ale szczęśliwie przedostała się pod mur.

Serce ścisnęło mu się na wspomnienie Harama. Wciąż jeszcze nie do końca uświadamiał sobie, że przyjaciel nie żyje. Zginął z jego ręki od ciosu zadanego nożem.

Ta świadomość na razie zanadto mu nie ciążyła. Czuł, że pora na żal przyjdzie później.

Teraz pragnął jedynie, by Miranda wróciła bezpiecznie do domu.

Znajdowali się na zboczu, stąd postanowili iść w prawo możliwie jak najdalej, by ominąć krainę potworów. Oczywiście istniało niebezpieczeństwo, że zostaną zauważeni z dołu, lecz o wiele bardziej ryzykowne by było, gdyby od razu zaczęli spuszczać się na dół.

Kontynuowali mozolną wędrówkę.

Mirandzie z wolna zaczynała wracać świadomość.

Dlaczego jestem taka zmęczona? zastanawiała się.

Słyszę ludzkie głosy, rozmawiają cicho, ale nie mam siły otworzyć oczu. Próbuję coś powiedzieć, lecz nie daję rady. Moja dusza i myśli są zamknięte w nieposłusznym ciele.

Tak samo muszą chyba cierpieć ludzie dotknięci porażeniem mózgowym, obdarzeni inteligencją, a traktowani jak głupcy tylko dlatego, że ciało nie chciało ich słuchać. Nie mogli powiedzieć, że żyją, ile wiedzą i potrafią, cóż za straszna męka!

Ach, to zmęczenie, co się ze mną dzieje?

Czuję, że ktoś mnie niesie. Czuję dotyk wyprawionej skóry, zawsze lubiłam ją wąchać. To Gondagil, poznaję po zapachu. Skóra, dym z ogniska, woń powietrza puszczy, zapach jego ciała, jakże przyjemny. Gondagilu, chciałabym ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham, ale język nie chce mnie słuchać ani wargi. Gardło, nawet płuca nie pozwalają mi wydobyć dźwięku. Jestem jak umarła, a przecież wiem, że żyję.

Mój ojciec Gabriel opowiadał mi kiedyś, że przechodził operację i narkoza nie zadziałała jak powinna. Mówił, że tak wygląda koszmar jego życia, leżał, wydawało się, kompletnie nieprzytomny, nie mogąc poruszyć bodaj jednym mięśniem, a jednocześnie zachował świadomość i wszystko czuł, czuł, jak go tną, cierpiał ból.

Słyszał głosy omawiające jego przypadek, a nie mógł dać znać, że nie śpi.

Tak właśnie jest teraz ze mną.

Słyszę wszystko, co jest mówione, ale nic nie mogę zrobić.

Mówią teraz o schodzeniu w dół, znaleźli się już dostatecznie daleko na prawo, przypuszczam, że mają na myśli obszar potworów. Ach, nie! Strażnik Słońca prosi Gondagila, by zawrócił, a on nie chce. „Sam przypilnuję, by żaden potwór się do niej nie zbliżył” - mówi.

Miranda znów zaczęła tracić przytomność, usłyszała jeszcze tylko kilka zdań.

Strażnik Słońca zapewnił, że potrafi poradzić sobie z potworami, a Gondagil będzie miał kłopoty z powrotem do swego kraju.

Zabierzcie go więc do Królestwa Światła, pomyślała Miranda.

Nie zrozumiała odpowiedzi, dotarł do niej tylko głos Marca, który mówił, że utraciła dramatycznie dużo krwi. To dlatego jestem taka zmęczona, przemknęło jej przez głowę, i znów zapadła się w głęboką czarną studnię.

Oczywiście nie udało im się niezauważenie wyminąć potworów, tym razem jednak Strażnik Słońca uznał, że nie ma czasu na żadne negocjacje.

- Ram, Rok, one już widziały nasze pistolety laserowe, wtedy kiedy Miranda była tutaj sama, i boją się ich. Strzelcie kilka razy na postrach, musimy jak najprędzej przenieść ją do domu.

Strażnicy usłuchali, nie zwlekając. I rzeczywiście potwory zniknęły jak mgła w promieniach słońca, grupa wędrowców nie miała już z nimi żadnych kłopotów.

Przy murze, jeszcze przed jego otwarciem, zatrzymali się na chwilę odpoczynku.

Nie zdawali sobie sprawy, że Mirandzie znów wróciła świadomość, nie uważali więc na to, co mówią.

Strażnik Słońca westchnął.

- Sprawilo mi niemal ból, kiedy widziałem, że ten Gondagil stoi i patrzy, jak odchodzimy.

- To prawda - pokiwał głową Marco. - Wydaje mi się, że rzeczywiście żywił dla Mirandy niezwykle głębokie uczucia.

- To pewne, dla niej jednak tak będzie najlepiej. Ich wspólna przyszłość jest niemożliwa, ona należy do światła, on do ciemności.

Ram jednak nie był co do tego przekonany.

- Nie rozumiem, dlaczego to niewykonalne, on wydawał się dobrym człowiekiem.

- Tak, lecz dzieli ich Czas. Kiedy ona przeżyje rok, dla niego upłynie ich dwanaście.

Spoglądał na mur, podczas gdy Rok otwierał drzwi.

- Zamkniemy teraz te wrota na zawsze. Zbyt wiele osób już o nich wie i nic dobrego z tego nie wyniknie. Pamiętajcie, by je zniszczyć, a także zniweczyć wszystkie rytuały, potrzebne do ich otwarcia.

- Przecież musimy przez nie przejść, skoro mamy się wybrać w Góry Czarne - zaprotestował Marco.

- Kiedy nadejdzie czas, otworzymy inne wrota, w innym miejscu, daleko stąd.

- Dlaczego musimy czekać tak długo? Czy nie możemy wyprawić się jeszcze w tym roku? - spytał Marco, mając na względzie Mirandę.

- To niemożliwe - odparł Strażnik Słońca, przenosząc prowizoryczne nosze z dziewczyną do Królestwa Światła. - Chłopiec, na którego czekamy, ma zaledwie dziesięć lat, trudno go okiełznać.

- Dlaczego więc wybraliście takiego chłopca? Czy nie ma nikogo lepszego?

- Gdy się urodził, wszystko wskazywało na to, że będzie nowym przywódcą Królestwa Światła. Jak wiesz, od wielu lat nikogo takiego nie było, mamy jedynie Radę Starszyny i owszem, to jakoś funkcjonuje, lecz kiedy przystąpimy do ratowania Ziemi, potrzeba nam osoby o właściwych cechach przywódczych. Wyprawa w Góry Czarne będzie dla niego próbą sił. Dlatego właśnie musimy złożyć w ofierze miłość Mirandy. Trzeba czekać jeszcze co najmniej dziesięć lat, a wtedy Gondagil dawno już nie będzie żył.

Ram nie zamierzał jednak ustąpić.

- Dlaczego więc nie sprowadzić go do Królestwa Światła?

Strażnik Słońca tłumaczył łagodnie:

- Przyznam, że rozważałem tę możliwość z wodzem Waregów, zanim opuściliśmy ich krainę. Sądziłem, że teraz, kiedy Haram nie żyje, to może... Ściągnąłem na siebie gniew wodza. Gdyby jeden z nich miał być w ten sposób uprzywilejowany, taki zaszczyt powinien spotkać jego, a nie tego dziwaka Gondagila. Albo wszystkich. Wszyscy albo nikt. To więc okazało się niemożliwe. Nie możemy wzniecać wrogości w tak ważnym dla nas sprzymierzeńcu, jakim jest plemię Timona. Roku, czy zamknąłeś już wrota na zawsze? Chodźmy do domu!

Nie, zawołała zrozpaczona Miranda. Nie, nie!

Ale jej niemego wołania nie słyszał nikt.